grudzień
12/120

płyta cd gratis

ślizg

www.slizg.com.pl

SISTARS
PUBLIC ENEMY
PRAKTIK

WWO

ALLEN IVERSON
RAMMSTEIN
SKALPEL

numer 12/120
grudzień 2005
ISSN 1425-1760
INDEX 332682
cena: 6,90 PLN
(w tym 7% VAT)







@listy

Sądząc po Waszych reakcjach, nasz pomysł drukowania wypowiedzi czytelników na łamach SLG nawet się spodobał, toteż rzecz jasna kontynuujemy tę rubrykę, licząc na Wasz coraz większy odzew. Zapraszamy zatem do korespondencji z redakcją – czy to listownej, czy e-mailowej, zachęcamy do aktywności na forum na www.slizg.com.pl. Dzięki temu ten miesięcznik bardziej stanie się Waszym pismem, a z drugiej strony przecież fajnie przeczytać swoją wypowiedź w prasie, nieprawdaż? Co prawda dziś znowu koncentrujemy się na forum, ale obiecujemy, że w przyszłości poświęcimy więcej miejsca na listy i maile. Oto Wasze wypowiedzi nt. ostatniego numeru SLG.

Na plus: rubryka wypowiedzi czytelniczej. Fajnie się z siebie pośmiać (Nana, hahaha). Pamiętam, że w „Klanie" było coś podobnego, bardzo sympatyczne."

kozik

Wiedzieliśmy, że się Wam pomysł tej rubryki spodoba. Widzisz, Kozik, znowu jesteś w prasie:) Między nami a „Klanem" jest pewna zasadnicza różnica: SLG wciąż się ukazuje:)

„Mi osobiście z numeru na numer „Ślizg" się coraz mniej podoba. Gdy zaczynałem czytać „Ślizg", była to gazeta niemal w 100% hip-hopowa. Szedłem do kiosku, kupowałem sobie moją ulubioną gazetkę, czytałem od deski do deski i z niecierpliwością czekałem na następny numer. W ostatnim czasie jednak sytuacja się zmieniła. Czytam coraz mniej artykułów, bo zamiast o hip-hopie są one o wykonawcach, którzy raczej interesują czytelników „Metal Hammera", a recenzowane płyty w większości również nie mają nic wspólnego z hip-hopem (dobrze, że jeszcze nie było recenzji Mandaryny)."

Xxx

Oj, nigdy nie było tak, że SLG był magazynem stricte hip-hopowym. Piszemy o różnej muzyce, która ma wspólną cechę – jest muzyką dobrą. Przemiany w naszym piśmie zachodzą stale i w związku z niedawną zmianą redaktora naczelnego zachodzić będą dalej. Mamy nadzieję, że na lepsze. Co do recenzji, to sprawdź ten numer (nie, nie ma Mandaryny, ale nigdy nie mów nigdy), powinno Cię zadowolić to, co tam znajdziesz. Obejmujemy ten dział szczególną opieką od tej pory i posypujemy głowy popiołem, bo faktycznie bywało nienajlepiej...

„Hieh, pamiętam, jak F mówił kiedyś, że w SLG nie będzie gwiazdek, ocen i czego tam jeszcze w reckach. Ale są, mi to w sumie nie przeszkadza. Ale mam pytanie. Polskie płyty będą oceniane pod kątem ... omu światowego czy polskiego? Hueh, czekam na 6 ś-izgów [pisownia oryginalna – przyp. red.] dla polskiej płyty = czekam na płytę Żuroma."

zin

Oceny są i tego się teraz trzymamy. F mówi dużo i czasem mu niezbyt dobrze wychodzi:) Płyty polskie raczej będą oceniane pod kątem poziomu krajowego, ale to indywidualny wybór każdego recenzenta. I umówmy się: oceny to nie „ś-izgi" (coś Ty wymyślił w ogóle?!), tylko „eski":)

„Recenzje są fajnie uporządkowane. Jakby tylko magazyn do starej formy wrócił, bo nie lubię takiego mieszania tematów. Raz hh, raz bmx. Wierzę, że będzie lepiej, szczególnie w muzyce."

„Mojej wypowiedzi nie dali do gazety. Rządam o naprawienie tego błędu [pisownia oczywiście oryginalna – przyp. red.]."

EverlasT

Sam tego chciałeś, bo Twe „rządanie o naprawienie" to po prostu ortograficzny i składniowy mistrz, buahahaha:) Co do reszty. Teraz recenzje są jeszcze lepiej uporządkowane. Od przemieszania tematów nie odejdziemy – jest po prostu bardziej „magazynowo" i naszym zdaniem, sprawdza się, choć zdajemy sobie sprawę, że pomysł to był z kategorii tych „rewolucyjnych" i przyzwyczaić się mogło być trudno.

Redakcja

UWAGA! NOWY NUMER TELEFONU DO REDAKCJI: 0-22-635-84-10 wew. 131

Wydawca:
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
00-258 Warszawa, ul. Brzozowa 35
nr konta: Kredyt Bank IV O/Warszawa
41-1500-1777-12177006-6518-0000

Redaktor naczelny: Kuba Demiańczuk (hellboy@slizg.com.pl)
Sekretarz redakcji: Krzysztof Grabowski (grabiszczy@o2.pl)
Fotoedytor: Wojtek Antonów (wzrr@slizg.com.pl)
Redakcja: Kuba Kaczmarczyk (toysoldier@slizg.com.pl), Cessya (cess@slizg.com.pl), Flintstone (ef@slizg.com.pl),
Korekta: Krzysztof Grabowski
Grafika i dtp: Sławomir Adam Barański (szatan@slizg.com.pl)
Foto okładka: Paweł Tarasewicz
Zespół: Rafał Skarżycki, Tomek Leśniak, Marek Oleksicki, Fala, Andrzej Cała, Sebastian Rerak, Yarrek, Kada, Paweł Gadaczek, Mateusz Orłowski
Marketing i reklama: Kasia Spaleny (kaspal@slizg.com.pl)
Sekretariat i promocja: Monika Jurczak (monika@slizg.com.pl)
Finanse i księgowość: Alicja Włodarczyk

W numerze 12/120

Druk i przygotowanie: ELANDERS

Adres redakcji:
Ślizg
ul. Brzozowa 35
00-258 Warszawa
tel/fax +48 (22) 635-84-10 wew. 131
e-mail: slizg@slizg.com.pl



Nieocenieni forumowicze przysporzyli nam mnóstwo dobrej zabawy zamieszczając link do strony http://spstudio.elena.hosting-friends.de/spstudio.html, na której można stworzyć własną postać w realiach southparkowych. Prezentujemy Wam pełny skład redakcyjny. Oto ekipa SLG i stopka w wersji South Park



Kubanos
- w ciężkim stanie na dzień przed oddaniem numeru do druku



Grablszczy
- jeszcze nieogarnięty, w końcu sekretarzem jest krótko



Szatan
- jeszcze wczorajszy po nocnej sesji z Playstation2 :)))



Kaśka
- no, lepiej nie wchodzić jej w drogę.





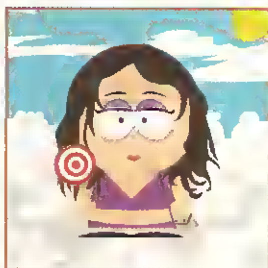
Cess i Flint
– młodzi i szczęśliwi rodzice, ale dziecka w zestawie nie było, więc zamiast małego Emila – pluszowy niedźwiadek



Wzorowy
– tradycyjnie poza redakcją. Po drodze w góry zatrzymał się w Carlmanlandzie



TolOl
– tradycyjnie poza redakcją. Po drodze nie wiadomo dokąd, zatrzymał się nie wiadomo gdzie.



Monika
- miss promocji i sekretariatu.



Pani Ala (a.k.a. Pani Ali G)
– rachuby nie mają przed nią tajemnic. Podobnie jak zawartość naszych kont w szwajcarskich bankach.



CZAPKI

Niezwykle ciepły okres jesieni już bezpowrotnie się kończy, więc nasze w większości pozbawione bujnego owłosienia głowy potrzebują czegoś co je ochorni i doda przy okazji dobrego lansu. tegoroczna kolekcja czapeczek MASS obfituje w szykowne wzorki dobre na każdą okazję. Bardzo dobry design, uniwersalność rozmiarowa, spory wybór kolorystyczny, etc. itd... Po co wam opowiadać, głowa sama się o nie doprosi!



JEANSY

Ostatnio zachwycaliśmy się wielkością kolekcji bluzowej firmy MASS, ale ze spodniami nie pozostali w tyle. Aż 7 nowych modeli pojawiło się tej jesieni już w sklepach! Prawdziwy nokaut ilościowy i jakościowy. Jego udziałem są m.in. najświeższe modele jeansów: Downtown, Relax i Smooth. Bardzo fajne tak poszukiwane ostatnio prostsze modele wyróżniające się za to ciekawymi praniami i smakowitymi dodatkami! Przymierz, nie wyskoczysz z nich prędko!



Kalesony TSG

To, co tu widzicie, to nie są wcale stare majtki waszego starego, tylko najnowsza zdobycz techniki w dziedzinie konfekcji snowboardowej. Dzięki temu przedmiotowi wasze cztery litery będą się czuć jak na Hawajach w czasie jazdy na snowboardzie na biegunie północnym. Poza tym miejsce, gdzie plecy tracą swą szlachetną nazwę, nie będzie ozdobione siniakami i krwiakami, gdyż kalesony skutecznie zamortyzują każdy upadek.



Gogle Dragon

Tylko spójrzcie na tę idealną linię, cóż za design i szyk. W tych goglach żadne salto nie wyda się wam trudne, dzięki nim przelecicie największy gap na świecie. Model ten nazywa się Mace i posiada coś, co nazywa się szybką sferyczną. Dzięki tej dziwnej rzeczy wasza widoczność w goglach niemalże się podwoi i nigdy już nie zgubicie się w górach. W pakiecie z goglami znajdziecie super zajawkową czapkę Dragona - gratis!!!!

trick miesiąca

Bartek Gumowy Rusin

180 fs. switch 5-0

foto WZRR



FLINTESENCJA
Ucieczka

W pewnym momencie dochodzisz do stanu, w którym już nawet nie jest tak, że mózg płata ci figle jak w kawałku Geto Boys. Raczej przechodzi w zupełnie inny tryb. Z przerażeniem zauważyłem, że z Cess komunikujemy się często za pomocą follow up'ów do hip-hopowych kawałków, prowadzimy dialog cytatami, będąc dla otoczenia zjawiskiem nie tylko niezrozumiałym, ale nawet i przerażającym. Kiedyś wyrzucając z półek wszystkie stare pisma pokroju „Magic Basketball" przypomniałem sobie czasy, kiedy łeb miałem zaśmiecony drukowanymi w nich statystykami z NBA. Szalone czasy w stylu: „Ej, ale z tego Wu-Tang to tylko 'Shame on a nigga' jest fajne". I nagle zauważam, że przeładowanie mózgu pierdołami pozostało, tylko dziedzina się zmieniła. Tak właściwie jestem obecnie pamięciowo przygotowany do bycia hypemanem 75% naszych mc, w tym wielu, których słuchać nie lubię. Zgroza... Osiąga człowiek ten moment, kiedy idzie Krakowskim Przedmieściem i za każdym razem, gdy widzi księgarnię uniwersytecką Liber, dostaje ataku śmiechu (swoją drogą to okrutny dowcip losu). Kiedy łażąc po supermarkecie, żeby zrobić zakupy do domu i widząc w chłodni ser „Sokół", zaczyna myśleć o nowej płycie WWO. Kiedy włącza sobie płytę DVD i nie widzi w menu opcji „Ustawienia". Widzi „usta Vienia". Oznacza to tylko jedno – potrzebę higieny umysłowej. Jeżeli zaraz nie odmoczysz myśli w ciepłym morzu i nie zastąpisz tego całego mułu dawką sensownych wrażeń, to może się nagle okazać, że jesteś jednym z tych zombie regularnie wchodzących na pih-hop. pl, względnie czytających od rana blogi nowej generacji raperów i producentów. „Fajnie. Zesrałem się. Aha. Znowu na rejonach. Pozdrawiam moją kaczuszkę. No, ogoliłem ogóra. Rasiak to pedał, co nie? Yo Yo. Play:// C:\mp3\Djniktmnieniezna_ft_kolegazpodworka.mp3". To nie jest życie.

Wyjazd planowaliśmy od dawna, bo jestem jednym z tych zezgredziałych typów, którzy w stanie absolutnego zmęczenia relaksują się patrząc na mapy. Miała to być izolacja od hip-hopu. Zawsze ma być. Z tym że Hiszpania, którą postanowiliśmy sobie w trzy tygodnie objechać na około, wyglądała jak w trakcie szczytu popularności rapu. Osobną sprawą jest Daddy Yankee, którego dźwięków pozbyliśmy się dopiero wtedy, gdy dotarliśmy na daleką północ i przez którego czułem się śledzony i prześladowany. Z okien domów i samochodów hh dochodził zaskakująco często, zarówno w zabieganej Katalonii, na rozświetlonych uliczkach Walencji (to chyba najjaśniejsze miasto świata) czy w arabskiej bardzo w klimacie Andaluzji (swoją drogą, wjeżdżając do Kordowy trafiliśmy na slumsy wyglądające jak makieta na potrzeby wiecznie pokrzywdzonych czarnych reżyserów – płonące beczki, wysypiska śmieci pod domami, wszyscy ich mieszkańcy obsiadający klatki jak muchy i ojcowie rodzin przyklejeni wiecznie do barowych stołków w kontenerowatych pawilonach. Podobno wiele amerykańskich gwiazd rapu wymięka przy oprowadzaniu po polskich blokowiskach. W tym wypadku by zasłabli, bo młodzi reagują na przejeżdżające samochody jak na wozy transmisyjne). A ucho łapało beaty takie, że ho ho... Południe to gorące temperamenty, miliony przynoszących ze sobą trendy turystów niezależnie od pory roku, setki imigrantów i sporo bezrobocia, czyli dobra społeczna pożywka dla hh. Ale kiedy w Kraju Basków rano obudził nas (poza wozem do mycia ulic i śpiewającymi bandami wieczornych chlejusów budzących nas wcześniej co kwadrans) pulsujący bas i nawijka – nawiasem mówiąc błyskawicznie kojarząca się ze stylem Ascetoholix – lekko się zdziwiliśmy. Cóż, będąc na półwyspie iberyjskim kilka lat temu i widząc, że 7 Notes 7 Colores ma kawałek z Company Flow, wiedziałem, że jest nieźle. Teraz w madryckim El Corte Ingles przy przeglądaniu dyskografii SFDK zobaczyłem, że współpracują z Promoe. O lokalnych gwiazdach rapu mogę przeczytać w zwykłym turystycznym przewodniku! A zatem dzieje się. Pokręcić się trochę po ulicach i z miejsca widać masę sklepów. Odpowiedniki naszych skateshopów, tyle że w naszych skateshopach (oddajmy honor tym odbiegającym od schematu) muł za ladą jest często znudzony sprzedawaniem drogich ciuszków bananowcom i przejarany do stopnia, w którym trudno mu oderwać jażwę od politury blatu. A w madryckich życie i samoistnie skoordynowane cztery elementy. Tu pieprzone rap-składanki mają dołączane DVD gdzie są freestyle, relacje z zawodów b-boyskich i graffiti jamów. Trafiamy do Llanes w głębokiej Asturii (taka np. Andaluzja to wielobarwne gołe skały, drzewa oliwkowe, wielkie agawy i krajobraz westernowy; Asturia przeciwnie – łąki wpadające do morza i zieleń tak nasycona, że aż pieką oczy) i miasteczko szczyci się tym, że pozwala pokryć malunkami betonowe kloce pełniące role falochronów. W okolicy wiele miejsc wyglądających jakby czas zatrzymał się kilkaset lat temu, gdyby nie młodzi w begach i bluzach z kapturami. Swoją drogą, aż chce się tam kupować płyty. Hiszpanie mogą sobie posłuchać innego hip-hopu za inne ceny. Cess wygrzebuje ostatnią Jean Grae za 13 euro, ja łapię większą okazję – połączone dwie części „In Control" Marley Marla za tyle samo. Coś tu jest nie tak, bo knajpy dwa razy droższe, a i parkować wóz zdarzało się za 28 (!) euro.

Tak więc nie zdyscyplinowałem się i nie odciąłem od rapu na wakacje. Niepomny tego, że zwykle okazuje się to klęską (tylko turecki Nefret hołubię do dziś, ale to nie ja go sobie kupiłem), nabyłem nawet lokalnych wariatów. Przesłuchałem zaledwie 3 tracki, leżą i czekają aż bardziej zmęczę się Polską. Przy następnym wyjeździe podejmę kolejną próbę izolacji. Może się uda... może od hip-hopu nie da się uciec?

Flintstone



Tym razem na naszej płycie mamy dla Was film traktujący o czołowych polskich dj'ach (600V, Kostek, Haem i Romek), zapowiedź płyty Mesa w wykonaniu samego artysty, klip do numeru „Wjaazd" tego samego rapera oraz do „Przez chwilę" Nowatora. Wreszcie epkę Gresa & Snatcha „Noc", której tracklistę i przede wszystkim recenzję przeczytacie poniżej.

Gres to raper stąpający po cienkim lodzie. Zaledwie krok od tego by teatralny głos i nawiedzone flow uznać za kuriozalne. Tylko kawałek dzielący wykwity ocienionej wyobraźni od miana usilnie udziwnionych i pretensjonalnych. A jednak udało się. Wersy są poruszające, niesamowite, często nieodgadnione, wciągające jak mało co. Zdrowo przetrącona malarsko-poetycka percepcja twórcy wzbudza autentyczny podziw. Zwłaszcza gdy beatami i świetnie dobranymi cutami ilustruje je Snatch (inspiracja starym Noonem aż do przesady). Cóż, wreszcie album-opowieść, album-zagadka, album-wyzwanie, który włączyłem i przesłuchałem od razu trzy razy pod rząd. W świecie twórców nadal chodzę o omacku, ale polecam wam gorąco wycieczkę na drugą stronę hip-hopu (nieco słabsze od reszty są tylko „Gwiazdy", gdzie mamy niestety troszkę grafomańskich wersów). Jedna z lepszych płyt roku, a w dodatku premierowo TYLKO U NAS!



„Noc EP" - Gres Snatch
www.gressnatch.com

1.	gwiazdy prolog	1:57
2.	półcień	1:46
3.	gwiazdy	3:17
4.	4 kroki	2:42
5.	półmrok	1:47
6.	dym	2:35
7.	noc	5:03

OGŁOSZENIE PARAFIALNE:

Jak pewnie zauważyliście (albo dopiero zauważycie) w tym numerze „Ślizgu" nie ma rubryczki „Byliśmy tu...". Niektórych może to ucieszyło, innych zmartwiło, jednak brak tego działu nie oznacza, że nie będzie go w przyszłości. Postanowiliśmy oddać go – przynajmniej w jakiejś części – w Wasze ręce. Byliście na fajnym koncercie, imprezie, premierze? Braliście udział (jako zawodnicy lub widzowie) w zawodach sportowych lub jamie graffiti? Wysyłajcie zdjęcia i krótki (3-4 zdania) opis na nasze adresy mailowe. Każda opublikowana przez nas mini relacja zostanie nagrodzona płytą! Nie zapomnijcie o podaniu swojego adresu.



Mamy jak zwykle dla Was parę upominków. I jak zwykle, nic za darmo... Trzeba trochę pogłówkować. Oto zadanie: gdyby słowo ŚLIZG było skrótem, jak według Was brzmiałoby jego rozwinięcie? Dla ułatwienia – jeżeli chcecie, literę Ś możecie zamienić na S (żebyśmy nie czytali wciąż, że jesteśmy „Świetni", „Śliczni", ewentualnie „Świńscy"). Wasze pomysły przysyłajcie na adres redakcji: Ślizg, ul. Brzozowa 35, 00-258 Warszawa. Na specjalnym miejscu na kuponie wpiszcie nazwę nagrody, którą wybieracie. A mamy dla Was następujące atrakcje:

- Zestawy złożone z płyt „Jeszcze raz" WSZ i CNE oraz „Dread za dreadem" Dreadsquadu, ufundowane przez wydawcę Wielkie Jot
- Płyty „Czarny Piątek. Polski Beat vol. 1" (wydawca Sony Music Polska)
- Płyty Public Enemy „New Whirl Odor" (wydawca Kartel Music)
- Płyty Nowatora „Alfabetyczny spis" (wydawca Camey Studio)
- Płyty Maciory „I tak ci to ukradną" (wydawca Saport Nagrania)
- Płyty „Muzyka miejska vol. 1" (wydawca Embargo)
- Komiksy „Żywe trupy tom 1" (wydawca Taurus Media)

Na Wasze odpowiedzi czekamy do 5 stycznia, więc możecie sobie jeszcze pogłówkować w czasie przerwy świąteczno-noworocznej. Powodzenia! Rozwiązania konkursu szukajcie w numerze lutowym.





WWO wypuszcza nowe płyty. I ma ten komfort psychiczny, że zyskały one status czołowych albumów polskiego hip-hopu jeszcze przed ukazaniem się. O dojrzewaniu, zagranicznych producentach, polskich realiach i całym zamieszaniu wokół projektów opowiedzą Wam Sokół, Jędker i Deszczu Strugi

rozmawiali Marcin Flint, Grabiszczy
foto Paweł Tarasewicz

Dużym zaskoczeniem okazała się wiadomość, że pod szyldem WWO wychodzą dwie płyty solowe. Od początku tak to planowaliście, czy w pewnym momencie nastąpiło rozbicie na dwa materiały?

Sokół: Odseparowanie miało miejsce od samego początku, ale nie miały być to płyty solowe. I uważam, że nie są. Przede wszystkim, obie są robione z Deszczem, który jest ich bardzo znaczącym elementem.

Jędker: Integralną częścią.

Sokół: Poza tym, jak by nie liczyć, w jednej czwartej obu płyt jesteśmy wzajemnie.

Jędker: Razem jak to pozbierasz, to widać, że nadal w obu płytach siedzi część WWO. Pomimo że sami dobieraliśmy sobie muzyczkę i gości, podchodzimy też do tego bardziej jak do autorskich patentów niż solówek. Wydajemy więc dwie płyty WWO jednego dnia.

Sokół: W porównaniu do WWO, moja płyta solowa miałaby inny charakter. Jeśli nagramy solówki, zobaczycie, że będą one jeszcze inne. Według nas, teraz ich nie nagraliśmy. Kawałek na Kodeksie nawijałem tylko ja, ale też był podpisany WWO, bo był kawałkiem zespołu. Kiedy nagrywałem z Emade, zgoda, to był numer solowy, poszedłem w innym kierunku. Jeśli robię to z 15 Minut Projekt, to mimo wszystko też jest to Sokół, a nie WWO. Ja czuję różnicę, choć dla kogoś z zewnątrz może to wyglądać nieprzejrzyście.

Nieprzejrzyste jest również to, że jeden z albumów sygnowany jest „W Wyjątkowych Okolicznościach", a drugi odzyskaną niedawno nazwą „W Witrynach Odbicia". Nie obawiacie się, że odbiorcy tego wszystkiego nie ogarną?

Jędker: Z nami zawsze był Meksyk. I tak nikt nigdy nie kumał, co to jest W Wyjątkowych Okolicznościach.

Deszczu: A teraz przynajmniej mamy pytanie do konkursu.

Sokół: I w wywiadach będzie wreszcie coś więcej niż: „Jak poznaliście się z Soundkailem?" To moje ulubione pytanie (śmiech).

Deszczu: „Skąd wzięła się ksywa Deszczu Strugi"? (śmiech)

Sokół: Zamieszanie jest wskazanie.

Jędker: Za jego pomocą możemy ostatecznie wytłumaczyć, że chodzi o jedną rzecz.

Sokół: Tak. A poza tym to zabawa. Kiedy teraz nagramy nową płytę, to śmiem podejrzewać, że nazwiemy ją zupełnie inaczej. Też WWO, ale np. Wandale W Okolicy. To będzie oznaczać definitywne zamknięcie poprzednich dwóch nazewnictw. Bo nazywamy się WWO, a rozwijać nazwy możemy sobie stosownie do sytuacji. To dla nas dodatkowy tytuł płyty.

Jędker: Czyli wiecie, jak się będzie nazywać nasza płyta podczas powstania? Warszawa W Ogniu!

Sokół: Na przykład. To jest też zabieg czysto marketingowy. Chociaż nawet nie marketingowy... Prawny. Niepisane prawo medialne mówi, że nie można dwóch singli tego samego zespołu puszczać naraz, a kiedy są dwa różne – już można. My ruszamy z dwoma singlami jednego dnia, dwoma teledyskami jednego dnia, promujemy dwie płyty jednego dnia, obchodząc to innymi nazwami.

To rodzi element konkurencji między Wami.

Sokół: Nie boimy się konkurencji. Nigdy nie będziemy tego tak traktować, to może być konkurencja w twoich oczach. Możemy się tylko wspierać.

Jędker: A nie życzyć sobie nawzajem źle...

Sokół: Żeby on sprzedał mniej...

Jędker: To po pierwsze, a po drugie – koncerty.

Sokół: One będą miksem tego wszystkiego. I kolejnym dowodem na to, że to nie solówki. Są przygotowane tak, żeby wspólnie można było grać koncerty. Przede wszystkim z dużą inwencją i udziałem Deszcza. Nie zaprosiłem na album 15 DJ'ów. Robię to z Deszczem, bo jesteśmy razem. Choć nie, jest gościnnie DJ Mario i DJ Brzydal.

Jędker: Ten zabieg wymyśliłem sobie w głowie, myśląc o tym, ile nasz DJ Prorok może siać te skrecze. W pewnym momencie miał tego na głowie za dużo, a Mario to dobry DJ, szanowany, szlachetny gość.

Sokół: Zresztą obaj są z nami związani, stowarzyszeni.

Jędker: Ma to więc ręce i nogi.

DJ'ing stał się ważną częścią. Deszczu, Sokół z miejsca wymienił Cię jako główny czynnik łączący go z Jędkerem w ramach WWO. Jak się czujesz w tej roli?

Deszczu: Byłem i jestem cały czas obecny na bieżąco przy obu projektach. Momentami to było trudne, bo chłopaki robili jednocześnie dwie płyty, a ja jestem jeden. Musiałem poświęcić kilka dni tu i kilka dni tu. Często wychodziły konflikty: „Czemu cię nie ma?!". „A, bo jestem u Jędkera". Kiedy zaś robię coś u Sokoła, Jędker ma pretensje, dlaczego nie zrobiłem tego i tego. Trudno było to pogodzić, ale się udało. Porobiłem sporo gramofonowych historii na całą płytę, beatów nie robiłem żadnych, ale starałem się być obecny w studio.

Zmęczyliście się sobą?

Sokół: Nie, odpoczęliśmy od siebie. Jest projekt, by wydać solowe projekty, niejako odwrotnie, nie dwa WWO oddzielnie, ale dwie solówki razem jako dwupłytowy album. Jest taki pomysł. Chciałbym, żeby na mojej solowej płycie Deszczu był w każdym kawałku. Po dwuletniej trasie mieliśmy rok odpoczynku, teraz możemy dalej to robić.

Jędker: Zwłaszcza że pracując przy tej płycie przecinaliśmy się, nie robiliśmy jej tak zupełnie oddzielnie.

Sokół: Na sześć godzin siedzenia u Jędkera w studiu byłem z nim przez godzinę. I odwrotnie.

Chwilę wcześniej zaczęliśmy już mówić o gościach. Na płycie Jędkera doszło do bardzo ciekawego, niecodziennego połączenia: Słowacy z Kontrafaktu, Francuzi z Soundkail...

Jędker: ...Czech z PSH, Orion. Włodek, Ja, Sokół i Deszczu.

Otóż to. Jestem więc ciekaw, czy panowie z Kontrafaktu mieli w ogóle okazję podać sobie dłonie z Soundkail.

Jędker: Pewno będą mieli okazje, ale ten kawałek akurat jako jedyny powstał inaczej.

Sokół: Prawie jedyny, bo jest jeszcze kawałek z Procederem. Kaczy z wiadomych powodów nie nagrywa swoich zwrotek w Polsce, a Chada nagrywał w innym studio i swoje zwrotki po prostu nam przywiózł. Ale nie było to korespondencyjne nagrywanie przez Internet, bo z Chadą widziałem się tego samego dnia. Co więcej, byłem nawet przy nagrywaniu zwrotki. Wszyscy pozostali artyści, tacy jak Black E-Starr z Brain Sick Mobb u Jędkera czy Intouchable z Mafia K'1 Fry u mnie, byli przywiezieni, spędzali z nami czas.

Jędker: Nigdy w życiu nie dalibyśmy sobie wirtualnych zwrotek. W życiu!

Sokół: To kwestia zaufania. Znamy się, szanujemy, lubimy i stać nas, żeby coś takiego zrobić wiedząc, że mamy czas, który nas goni i budżet, który nas ogranicza.



WWO

Ale musi być i tak niemały, skoro macie trochę znanych na świecie producenckich twarzy. Beathoavenz, Shuko, Horsemen... Tak sobie założyliście? Bo co jak co, ale mamy w Polsce galerię dobrych producentów...

Jędker: I są u nas! Mamy znanych polskich producentów i mniej znanych polskich producentów. Mamy też znanych zagranicznych producentów i mniej znanych zagranicznych producentów.

Sokół: Mną kierowało to, że na polskich płytach zestaw producentów jest zawsze ten sam, czy to jest Włodi, Fu, Zipera czy Mor W. A. Oczywiście uogólniam, ale chciałem mieć płytę oryginalną. A Horsemen i Shuko pracują z zajebistymi raperami. Z tymi pierwszymi poznaliśmy się przez publishera. Niewtajemniczonym długo by trzeba tłumaczyć, o co chodzi z publishingiem. Generalnie jest to organizacja zarządzająca prawami, pilnująca ich na całym świecie, my mamy podpisaną umowę z jednym z większych światowych publisherów – EMI Publishing. Mają w swojej bazie artystów z całego świata, których reprezentują i pomagają się im wzajemnie kojarzyć, przedstawiając pewne propozycje. Dzięki nim nawiązaliśmy dobry kontakt z Horsemenami i Beathoavenz, później zaś dogadywaliśmy wszystko prywatnie. Shuko poznaliśmy na Hip-hop Kempie. Zajebisty show Niemca, dla którego on produkuje, Dendemanna i DJ'a Mirko Machine...

Jest coś egzotycznego w tym, że hardcorowe WWO współpracuje z producentami pokroju Horsemen, którzy produkują artystów takich jak Mase, Shyne, a nawet Mary J. Blidge, czyli czołówkę mainstreamu.

Sokół: To gdzieś tam jest zamierzone. Zacząłem wychodzić z założenia, że dobrze jeśli muzyka jest bardziej przyswajalna. Oczywiście w granicach rozsądku, jeśli chodzi o jej walory artystyczne, bo można nawijać do disco polo bardzo przecież przyswajalnego dla co niektórych kręgów, zwłaszcza tych, którzy zagłosowali na naszego nowego prezydenta. Warto się czasami otworzyć muzycznie, zwłaszcza jeśli pracujesz z ludźmi, którzy nie odpierdolą kiszki, zrobią to na najlepszym poziomie, dobrze i przyswajalnie. Tekstowo napierdalasz jak przez całe życie. Zacząłem obserwować, jak to robi jeden z moich ulubionych raperów, Shyne czy Nas i tak to się odbywa. Cały czas rymują tak samo, pod tym względem nie skomercjalizowali się zupełnie, a beaty są bardzo różne. O to chodzi. Trzeba szukać!

Jędker: To dążenie do dobrej jakości. Nigdy go nie unikaliśmy, mimo że jesteśmy kojarzeni z hardcore'em i czujemy się z nim związani. Beaty Horsemen niczego nam nie umniejszają, wręcz należy traktować to w drugą stronę.

Sokół: To nobilitacja i bynajmniej nie rozwój w stronę popu. Nie przypadkiem do kawałków Horsemen w jednym kawałku gościnnie jest Firma, w drugim Bilon, Pono i Mercedresu, w kolejnym zaś Zip Skład. To potwierdzenie tego, że nie miały to być komercyjne hiciki, tylko konkretne produkcje, których jeszcze nie było. Jeśli głębiej się zastanowić, obie płyty są mroczne, mroczniejsze niż poprzednia płyta. Potrzebowałem poruszyć cały syf, który zebrał się na dnie naszego życia przez trzy lata, a potem go odgarnąć. Ludzie, którzy cię czasami otaczają, przykre sytuacje, które nawet jeśli się nie zdarzają, to czujesz, że mogą się zdarzyć i masz ochotę o tym powiedzieć. Troszeczkę czuję się, jakbym się wyspowiadał, oczyszczony. Wyżalisz się komuś i jakby kamień spadł Ci z serca.

Do tej pory dbałeś o dystans między Tobą a słuchaczem, chroniłeś swoją prywatność. A na płycie masz kawałek, w którym opowiadasz, jak stoisz na szpitalnym korytarzu, a w sali obok umiera twój ojciec. Odkrywasz się.

Sokół: Widzisz, siedziało to we mnie. W pewnym momencie stwierdziłem, że trzeba to z siebie wyrzucić i koniec.

Jędker: Taki jest przekaz w tym tracku, że dopóki tego nie wyrzucisz, nie będzie ci dawać spokoju, a tak uwalniasz się od historii.

Sokół: Mówię też, że wcale nie jestem przekonany, czy to, że o tym powiem, pomoże. Zobaczymy.

Słyszałem w radiu wywiad, w którym Sokół opowiadał o tym, jak Soundkail otworzyli mu oczy na pewne, bardziej już techniczne sprawy.

Sokół: Poznaliśmy Soundkail w idealnym momencie. Po pierwszej płycie, która brzmi tragicznie. Podobają mi się teksty na debiucie Witryn, ale wykonanie jest po prostu żenujące. Jak BMG mogło to wydać, to ja nie wiem. Technicznie pierwszą i drugą płytę dzieli przepaść. Soundkail dołożył do tego swoje pięć groszy, pokazując, że nie możemy pierdolić wszystkich, stać z browarem i rapować od serca. Trzeba jeszcze dbać o te wszystkie techniczne sprawy.



Mierzycie z najnowszymi płytami wysoko, oczekiwania są duże, podobnie jak poniesione koszty. To wymaga właśnie większego otwarcia z Waszej strony i na media, i na słuchaczy, i na biznes. Tymczasem przyzwyczailiście fanów do czegoś innego – takie rzeczy, jak product placement Heyah w klipie czy obecność Waszych kawałków na różnorakich składankach, spotkały się z dużą agresją, choćby w internecie.

Sokół: Nie rozumiem takiego podejścia i traktowania łapki Heyah w klipie jako sprzedania się. Gdybym rapował w reklamie Heyah...

Jędker: Albo gdybyśmy sprzedali „Damy radę" jakiejś mendzie Lepperowi czy innym frajerom, to rozumiem. Jakby wtedy ktoś powiedział, żeśmy się sprzedali, przytaknąłbym. Ale my cały czas robimy swoje i jeżeli ktoś ma swój własny mózg i jest on działający, czyli nie głosował na „kwaczących", to widzi, żeśmy się nie zmienili i tylko dążymy do tego, żeby lepiej nawijać, a przekaz lepiej docierał. A otwieramy się, bo z czasem dorastamy, jesteśmy starsi i mamy do tego pełne prawo. To nasza oddzielna historia...

Kiedyś nie chcieliście nawet dawać autografów...

Sokół: Trzymamy rękę na pulsie i stosujemy różne wybiegi, żeby jak najmniej się wyświetlać, bo tak naprawdę nie odnajdujemy się do końca w roli gwiazdy. Lubimy sprzedawać naszą muzykę, a nie siebie i podkreślamy to od samego początku. W momencie, kiedy skończyliśmy robić płytę, zaczęliśmy ją sprzedawać. Natomiast nie wcześniej. Co zaś do zdjęć i tak dalej, pełna promocja naszej płyty będzie oparta o trzy półnagie kobiety w maskach-terrorystkach. Dla niektórych będzie to na zasadzie: „sprzedali się, mają gołe dupy na okładce", nie? Ja wiem, jak jest naprawdę i dlaczego pewne rzeczy się dzieją. Ci przy internecie mogą spekulować – to ich problem. Będziemy dla nich zawsze cenną pożywką i gwarantuję, że będziemy im dawali mnóstwo tematów do spekulacji.

Jędker: Tym razem nawet dwa razy więcej niż zwykle.

Sokół: Do ludzi trzeba docierać. Wiadomo, że na dzień dzisiejszy zarabia się w Polsce na koncertach i co jest dla nas zupełną nowością – na dzwonkach. Nigdy nie zarobiliśmy na tym ani złotówki, teraz zaczynamy. Prosto podpisało odpowiednią umowę. Podchodzimy do tego z totalnym dystansem, wręcz sarkastycznie i satyrycznie.

Na zachodzie to jedno z głównych źródeł zysków...

Sokół: Nie tylko na zachodzie, wystarczy spojrzeć na Camey Studio. To firma, która zarabia na dzwonkach, a nie na sprzedaży płyt. Tak naprawdę przypuszczam, że Cameyowi nie należy na tłoczeniu płyt, bo to i koszt, i okładki trzeba robić. Jego produkty przez ostatnie dwa lata są robione tylko i wyłącznie pod dzwonki. To tajemnica poliszynela. Zobaczymy. Sądzę, że WWO ma nieco inny target niż Lerek i Nowator. Jestem ciekaw, czy ludzie będą ściągać nasze dzwonki. Ja się śmieję, a być może będziemy w przyszłym roku jeździć Bentleyami z dzwonków. Ale wątpię.

Nie stresuje Was to, że w Polsce słuchacze nie dojrzewają razem z wykonawcami?

Sokół: Nie jest to mój problem.

Waszym problemem mogą jednak okazać się piersi na okładce. Czy będą zasłonięte przy sprzedawaniu płyty np. w Empiku?

Sokół: W tym miejscu będzie naklejka na folii mówiąca, kto występuje gościnnie.

Jędker: Bo Rydzyk by podpalił Empiki...

Sokół: Kaczyński wygrał wybory, z związku z czym teraz to już nic nie można.

Jędker ma kawałek opowiadający o tym, że pół życia spędził w komunizmie, drugie pół w drapieżnym kapitalizmie. A teraz, panowie, najbliższych kilka lat w Czwartej Rzeczypospolitej...

Deszczu: Nie no, tego to się nie doczekamy.

Jędker: Z Lepperem to już piąta!

Sokół: Ja na tego prezydenta nie głosowałem...

Jędker: Nikt z nas na niego głosował, żeby było jasne...

Sokół: Wszyscy byliśmy bardzo smutni w ten niedzielny wieczór.

Jędker: Jak każdy dostaliśmy reklamy Centralwings...

Sokół: Nie jest smutne, że ten czy tamten człowiek wygrał wybory i że go nie lubimy. Smutne jest to, że wygrana Lecha Kaczyńskiego potwierdza, że Polacy nadal nie rozwijają się, nie potrafią iść do przodu, boją się. Boją się wziąć odpowiedzialność za swoje czyny i swoje życie we własne ręce, czyli zrobić to, do czego namawiamy na swoich płytach. To ty odpowiadasz za to, że jest ci źle. A wszyscy ci, którzy zagłosowali na PiS i Kaczyńskiego, oczekują, że ktoś da im receptę na szczęście. Nikt im jej nie da, będą głęboko rozczarowani. Ja mam bardzo niepopularne polityczne poglądy, bo dla mnie największym nieszczęściem będzie odejście Balcerowicza z Rady Polityki Pieniężnej. Daleko mi od populistycznych wizji i przemów, natomiast przykre, że mamy w społeczeństwie brak wiary, a na dodatek jakiejkolwiek ekonomicznej logiki. Wiadomo, że kiedy obniżymy podatki, będzie łatwiej robić interesy. Wiem, bo je robię. Tymczasem stawiamy na państwo socjalne, a nie stać nas na to, by być Szwecją.

Może mamy w Polsce samych „ludzi o mniejszym znaczeniu". Jędker używa w swoim singlu takiego sformułowania, bo chyba właśnie to kryje się pod tajemniczym „minorum gentium".

Jędker: Tak, ale kiedyś tak nazywano całą otoczkę artystyczną, ludzi związanych jakkolwiek z muzyką, liryką i tak dalej. Staram się nawiązać raczej do nich. Bo rap, przynajmniej ten hardcore'owy, prawilny, z ulicy, ma z tym wszystkim wiele wspólnego. Przypominamy ludziom, skąd jesteśmy, skąd się wywodzimy, żeby ich troszeczkę sprowadzić na ziemię, żeby nie bujali w obłokach razem z tymi wszystkimi nowymi śpiewakami mówiącymi, że są raperami.

Odejdźmy od tego tematu (śmiech). Jesteście maksymalistami. Mieliście już sesję Sikory na okładce, polską czołówkę producencką na płycie, teraz są reprezentanci czołówki amerykańskiej i niemieckiej plus międzynarodowi goście. Czego możecie chcieć więcej?

Sokół: Mnóstwa rzeczy. To jest tak, że każdy kroczek zapisujesz sobie w swoim wewnętrznym portfolio. Gdzieś tam sobie myślisz: „robiłem to, spełniłem marzenie". Tak było np. nagrywając kawałek z Urbaniakiem, gdzie na jednej płycie pojawiłem się z Herbie'em Hancockiem. Ale rzeczy do zrobienia jest mnóstwo...

Deszczu: Uświadamia ci je czas. Zanim je uświadomi, już są następne.

Sokół: Tak do wymienienia na gorąco – chciałbym nagrać kawałek z Shyne'em. Czemu nie?

Wyślemy mu nowy „Ślizg", przeczyta...

Sokół: Dobrze. Wiecie gdzie? Na Białołękę, Ciupagi 1. Bo Shyne'a przerzucili (śmiech).

Jędker: Bo nie wiem, czy słyszeliście, są w Polsce tajne więzienia CIA. W Szymanach.

Deszczu: To fajnie mają, wakacje na Mazurkach...

Sokół: Założyli je Jalibowie z Klewek.

Jędker: Wiadomo, wiadomo. Przecież to obok. Rzut beretem. Zwiedzałem Klewki, trzy chałupy i koniec Klewek. W jednej Jalibowie, w drugiej Lepper, a w trzeciej bizony jego syna.

Pozostając przy klimatach niepoważnych... Forma wydania Waszych płyt nasuwa skojarzenia z ostatnim Outkastem. Natomiast zawartość jest już średnio outkastowa...

Jędker: Średnio, to delikatnie powiedziane.

Sokół: Jeśli już, to ja jestem Big Boi.

Jędker: Na pewno nie Andre! Deszczu jest Andre.

Deszczu: Mogę być Andre...

Cóż, w setach zawsze byłeś równie eklektyczny, mieszałeś gatunki.

Deszczu: Nadal mieszam, teraz prawie w ogóle wyrzuciłem mainstreamowe hiciory. Czasem to jest błąd, czasem nie, choć wiadomo, że da się je zajebiście wmieszać w funkowe sety. Ja jednak zajarałem się graniem stricte oldschoolowych rzeczy, dużo funku, klasyków dancehallowych. Wiadomo, że gdybym grał imprezy dla młodszych ludzi, to nie ma szans, żeby taki repertuar się przyjął. Przestałem dla nich grać, bo często już ich nie rozumiem. Nie jestem młodzieżowcem.

Fajne jest to, że WWO pozostało teamem z DJ'em. Wydaje mi się, że gdybyśmy sięgnęli po płytę komplementowanego przez Sokoła Shyne'a, to moglibyśmy DJ'a tam nie uświadczyć...

Sokół: Nie znalazłbyś tam DJ'a, o ile DJ nie produkował mu beatu i nie dołożył sobie skreczy. W Stanach powszechne jest wsławianie cutów na komputerze. Oprócz przypadków za bardzo zwichniętych, bo dla mnie X-Ecutioners czy DJ Babu to popierdoleńcy. Wiadomo, szacunek, ale ja nie chciałbym mieć takiego DJ'a. Mi pasuje układ, który mam. Korzeń produkując ze mną dość nowoczesne beaty z bardzo elektronicznym brzmieniem, dziwił się, że mają tu być zaraz cuty i skrecze. Mówił: „niemożliwe", a ja: „bardzo możliwe, wręcz już wykonane". Schematy są po to, by je łamać. W jednym utworze skreczy musi być mnóstwo, bo taki jest charakter utworu, inne draśnięte są minimalnie, ale Deszczu bardzo dobrze się w tym odnajduje i przede wszystkim nie ma przerostu ambicji, żeby nas zagłuszać. Wręcz usadza skrecze bardzo w tle i trzeba je podgłaśniać. Dla mnie robi też najlepsze cuty w kraju. Rapuje nimi. Posłuchajmy Kodeksu, na którym są cuty Kostka, którego bardzo lubię i szanuję, ale niestety, te cuty mają się nijak jeden do drugiego.

Deszczu:. Cuty to cuty. Ale teraz jest dużo więcej skreczu. Zwłaszcza na płycie Sokoła.

Jędker: U mnie się pojawiają bardzo przyjemne subtelniaki, takie do kącika koneserów.

Deszczu: Subtelny skrecz to jest trudna rzecz.

Sokół: Mówił DJ Deszcz (śmiech).

Koncerty... To teraz Wasza najbliższa przyszłość. Jak będą wyglądać?

Deszczu: Zmieniliśmy formułę, dołożyliśmy rzeczy, których nie widzieliśmy jeszcze na hip-hopowych koncertach. Chcielibyśmy, żeby było to na wyższym poziomie i stanowiło krok do przodu.

Sokół: Zmieniliśmy mechaniczny sposób grania. Prawie całkowicie zrezygnowaliśmy z winyla. Nie będziemy grać z nich beatów. Tu chcieliśmy pozdrowić firmę Numark.

Deszczu: Ja jako DJ o długim stażu muszę stwierdzić, że gramofony na koncertach są po prostu zawodne, czego ostatnio mieliśmy przykład na „Otwartych rewirach". Przy analogowym sprzęcie zbyt często dzieją się rzeczy, nad którymi nie możesz zapanować. Umiejętności pozostają te same, dzięki CDX'om możesz robić te same rzeczy, co na gramofonach.

I nie trzeba czyścić winyli z browarów...

Deszczu: Właśnie, nie trzeba!

Zatem powodzenia! 

Pełen wywiad za jakiś czas na www.slizg.com.pl

WWO



BATTLE OF THE YEAR

Finały BOTY 2005 w skrócie: Azja - Reszta Świata 3:0. 10 tys. ludzi od Brazylii po Nową Zelandię. Trochę gorzej niż rok temu, ale nadal na poziomie mistrzostw świata (choćby i nieoficjalnych)

tekst Tomek Michniewicz
foto AlexSchelbert.de





Tak jeszcze nie było, żeby i Stary, i Nowy Świat zebrał od Azjatów bęcki na wszystkich frontach. Gambler z Korei, który pozamiatał w zeszłym roku, wszedł do turnieju automatycznie i zdobył trzecie miejsce, Japoński Ichigeki wyszarpał drugie, a beniaminek Last For One (Korea, ponownie) – pierwsze. Co oznacza, że Koreańczycy wepchnęli na podium dwa zespoły, co jest osiągnięciem – umówmy się – nie w kij pierdział. Tyle statystyk, do rzeczy.

Już od paru lat na międzynarodowych finałach BOTY jest taki poziom, że jak nie masz crew złożonych z samych wymiataczy, to nie masz co liczyć na pierwszą dziesiątkę. Co więcej, jeśli nawet masz tych wymiataczy, ale nie masz konceptu, jak ich umiejętności dobrze sprzedać, to nie masz z kolei co liczyć na finałowe bitwy. I tak

Duńczycy z Natural Effects, którzy na Break Dance Session we Wrocku rozdają karty, tu są mocno przeciętni. Do tego zdają sobie z tego taktu sprawę i zamiast silić się na jakieś szarpane, niedopracowane powery, od dwóch lat konsekwentnie pokazują bardziej spektakle teatralne niż breaka, co wychodzi im zresztą znakomicie.

Na wstępnych pokazach do pieca dali Francuzi z paroma naprawdę nieziymi figurami (np. jeden z wykręcił backspina na plecach gościa obok, a potem zeskoczył z niego, przechodząc z powietrza w dziewiątkę). Ładnego Thomasa w zwolnionym tempie pokazał gość z RPA. A jeden z Belgów (najwyraźniej w desperackiej próbie zdobycia paru punktów, bo jego drużynie nie szło jakoś szczególnie) skoczył sobie z dwóch metrów bez asekuracji na dupę. Najlepszy show, bez wątpienia, dali Japończycy (zresztą zgarnęli też za niego nagrodę specjalną): na środku stanął DJ i udawał, że kręci deckami. Przed nim reszta teamu ułożyła się w dwa kółka i udawała winyle. Chłopaki wyćwiczyli to niesamowicie, DJ po prostu kręcił nimi jak płytami, a oni nie oszczędzali się i toili połamane freezy, a jak im DJ podkręcił tempo, to truwali też jak trzeba.

W przerwach obowiązkowe gwiazdy i gwiazdki. Ze swoim beatboksem pojawił się Scratch. Rok temu wystąpił Rahzel, a po koncercie za kulisami wskazał właśnie Scratcha jako numer drugi, zaraz po sobie, na liście najlepszych ludzkich beatmaszynek. No cóż, undisputed beatbox champion of the world nie ma się czego obawiać, jeśli Scratch to aktualnie numer dwa. Różnica poziomów w ich pokazach była gigantyczna. Może Scratchowi się nie chciało albo miał gorszy dzień, bo aż mi było trudno uwierzyć w to, co słyszę.

B-Girl showcase dały panie z Flowzaic (UK). Przez dziesięć minut pojawiły się raptem dwa powery (krotka bańka i handspin), za to przez większość czasu coś tam kombinowały z footworkiem i innymi duperelami, które solo lekko nużą, albo bujały się jak w klipach. Za to uśmiechy i całusy stały na lewo i prawo. Wszystkie panie proszę o wybaczenie, ale zazwyczaj te specjalne pokazy to jest coś, ale sam fakt, że na scenie fikają dziewczyny trochę nie wystarcza, gdy nie mają one nic do pokazania. Gdybym chciał zobaczyć jak tańczy Egurrola ze swoją świtą, to bym włączył TVN, a tak to właśnie wyglądało. Na szczęście sytuację podratowali kapitalni Hilty&Bosch z Japonii kilkuminutowym pokazem electro (konkretnie locking-and-popping).

Ostatnio coraz częściej ekipy zamiast rzetelnego breakowego mięsa tańczą jakieś głupawe układy jak w boysbandach, które robią tło dla jednego koleżki, który kręci się na głowie. Wiem, że układ jest obowiązkowym elementem pokazu, ale jakoś niespecjalnie mi to pasuje do finałów, które łowiliśmy na kręconych z ręki VHS-ach. Czas biegnie, ekipy się profesjonalizują, mają sponsorów i markowe ciuchy i to jest super, ale czasem przypominają bardziej ekipę wspomnianego Egurroli niż breakową crew, co już super nie jest. Na szczęście w finałowych bitwach nie ma już miejsca na wypełniacze, chłopaki jadą uczciwie i konkretnie. Kilka momentów (o ile dobrze pamiętam, np. freeze z czterometrowego skoku albo gdy jeden koleś przebiegł na rękach po plecach swoich kumpli i zakończył to zakładając sobie nogi na ramiona) po prostu wbijało w ziemię. Choć wygrał Last For One, ja i tak jestem zdania, że Gambler jest wciąż najlepszą drużyną świata. Ich szybkość, siła i wysokość, na jakiej czeszą różne rzeczy, wykańcza każdego. No i są na podium od trzech lat, co przy rotacji na BOTY, która sięga 80%, jest nieklepskim wyczynem.

Poziom w tym roku był mocno wyrównany i możnaby się kłócić, czy francuska Phase T lub nawet reprezentanci naszego regionu, Łotysze, nie zostali nieco skrzywdzeni, ale takie były decyzje sędziów. Nota bene, sędziowali: Poe One (USA), Damon Frost (Szwecja), David Colas (Francja), Storm i Big Toni (obaj z Niemiec). Trix jak zwykle darł japę do mikrofonu, a Spax jak zwykle próbował z różnym skutkiem być równie śmieszny. Czyli tu nic się nie zmieniło. Nie zmieniło się też, co robi na mnie zawsze duże wrażenie, że to impreza non-profit, choć wygląda tak jak mistrzostwa świata wyglądać powinny. 

BOTY 2005 – wyniki:

01. Last For One (Korea)
02. Ichigeki (Japonia)
03. Gambler (Korea)
04. Phase T (Francja)

Najlepszy show:
Ichigeki (Japonia)

Wyróżnienie specjalne:
Deep Trip (Szwajcaria)

PUBLIC ENEMY



Public Enemy. Ta nazwa mówi coś każdemu fanowi hip-hopu. Można ich lubić lub nie, ale trudno pozostać obojętnym wobec twórczości tego jakże oryginalnego przedsięwzięcia. Choć młodym słuchaczom może się to dziś wydać nie do pomyślenia, Public Enemy to grupa, która stworzyła jeden z najważniejszych rozdziałów w historii hip-hopu. Od dwudziestu lat na scenie, dziś już nie tak wpływowy i szokujący jak na początku kariery, Wróg Publiczny właśnie wydał kolejną płytę. Przeczytać możecie o tym wydawnictwie w recenzjach, tymczasem teraz skoncentrujmy się na przybliżeniu sylwetek członków PE

tekst Grabiszczy

GŁÓWNY BOHATER – CHUCK D

Tak, to ten pan na fotografii. Pomysłodawca, mózg, głos i twarz projektu w jednej osobie, jak głupio by to nie brzmiało. Chuck D wymyślił koncepcję Public Enemy po tym, jak współpracę zaproponował mu Rick Rubin, szef budującego wówczas swą potęgę Def Jamu. Było to w połowie lat 80. Raper od zawsze przejawiał zainteresowanie kontrowersyjnymi tematami. Był zaangażowany w uświadamianie i „oświecanie" czarnoskórej ludności USA, przy jednoczesnym i nieustannym krytykowaniu polityki rządu swego kraju wobec kolorowej mniejszości. Jego baryton doskonale nadawał się do przekazywania istotnych treści, ale Chuck wpadł na pomysł połączenia swych sił z innymi ludźmi o podobnych poglądach. I tak powstał projekt Public Enemy.

Pierwsza płyta zespołu ukazała się w 1987 roku („Yo! Bum Rush The Show"), ale nie poczyniła jeszcze takiego zamieszania jak trzy kolejne w latach 1988-91. To właśnie wówczas było najgłośniej o tym najbardziej upolitycznionym składzie pierwszych lat światowej popularności hip-hopu. Hity w stylu „Fight The Power", „Don't Believe The Hype" czy „911 Is a Joke" to utwory, które nie tylko dawały przekaz Murzynom, będąc dla nich „Czarnym CNN", ale też otworzyły białej Ameryce oczy na wiele spraw, uświadomiły jej problemy leżące u podstaw nierówności społecznej i... cokolwiek ją przeraziły. Stało się tak nie tylko dzięki przekazowi artykułowanemu przez Chucka, ale też całej pseudomilitarnej otoczce towarzyszącej zespołowi. Na przykład, tancerze Public Enemy (lub – jak kto woli – ich ochroniarze, czyli S1W, o których słowo w dalszej części tekstu) pojawiali się na teledyskach i koncertach w mundurach i z karabinami Uzi, co stwarzało obraz zagrożenia, jakie może czyhać na prawych Amerykanów ze strony czarnoskórej ludności. Oj, było o PE głośno...

Później jednak przestało być tłoczno. Chuck zaczął mieć problemy z partnerami z zespołu (głównie z drugim wokalistą, Flavor Flavem), a płyta „Muse Sick-N-Hour Mess Age" przeszła bez większego echa i lider został zmuszony do bodaj najtrudniejszej decyzji w swym życiu – zawiesił działalność zespołu na kilka lat. W tym czasie jednak nie nudził się i zdążył wydać solówkę („Autobiography of Mistachuck", 1996) oraz rok później napisać książkę (też zresztą autobiograficzną).

Powrót PE nastąpił w 1998. Zespół wydał album będący jednocześnie ścieżką dźwiękową do filmu Spike'a Lee „He Got Game". Prawdę powiedziawszy, było to ostatnie dobrze przyjęte wydawnictwo Public Enemy. Chuck jednak wciąż pozostawał na topie. Zaczął być zapraszany jako ekspert do programów TV, dostał własny program w radiu, prowadził nawet wykłady. Z ciekawostek można wymienić fakt, że użyczył głosu jako prezenter jednej ze stacji radiowych w grze „GTA San Andreas", zatem jeśli ktoś z młodszych fanów hip-hopu nie słyszał go rapującego (co i tak jest samo w sobie karygodne), to może chociaż tam miał okazję...

Public Enemy nadal nagrywali płyty. Od „He Got Game" do bieżącego wydawnictwa ukazały się dwa albumy, nie warte jednak szczególnej uwagi, może poza faktem, że pierwszy z nich, czyli „There's a Poison Goin On" z 1999 roku był pierwszym krążkiem topowego wykonawcy (o ile PE z tego okresu można jeszcze tak nazwać...), który został wydany w Internecie, dopiero zaś potem na CD. Obecnie Chuck D to już 45-letni mężczyzna – rzadki wiek jak na aktywnego emcee. Choć złota era Public Enemy już dawno minęła, Carlton Ridenhour (jego prawdziwe nazwisko) to wciąż symbol buntowniczego, przesiąkniętego polityką hip-hopu. Oprócz wszystkiego, co Chuck zrobił dla czarnoskórej społeczności i oprócz jego niewątpliwego wkładu w rozwój rapu, warto oddać mu jeszcze szacunek za konsekwentne bycie sobą, nawet kosztem przemijającej popularności.

ROLA DRUGOPLANOWA – FLAVOR FLAV

Tak jak Chuck D to niewątpliwy lider Public Enemy, tak Flav (prawdziwe nazwisko William Drayton) to jego nieodłączny element, bez którego trudno byłoby zespołowi osiągnąć popularność na przełomie lat 80. i 90. Jego oryginalny image, którego punktem centralnym były różnego rodzaju – ale zawsze dużego rozmiaru – zegary wiszące mu na szyi, dziwaczne okulary przeciwsłoneczne i jaskrawe wdzianka, połączony z charakterystycznie skrzeczącym głosem, humorystycznymi tekstami i przeróżnymi innymi wokalnymi wstawkami („Yeah, boyeee!"), to kluczowy punkt wizerunku całego PE. Trudno nazwać Flava dobrym raperem (co potwierdza fakt, że trzy nagrane przez niego solówki nigdy nie ujrzały światła dziennego, gdyż nikt nie chciał ich wydać), ale właśnie takiej kolorowej postaci Chuck D potrzebował podczas zakładania zespołu. A że tego akurat wariata miał za przyjaciela, to długo szukać nie musiał.

Flav był najbardziej aktywny w czasie największych triumfów Public Enemy, potem wpieprzył się w crack i długo nie mógł pozbyć się uzależnienia od narkotyków, co było jedną z przyczyn osłabienia tempa działalności składu. Humorystycznym w gruncie rzeczy faktem jest liczba zatrzymań jego prawa jazdy przez policję – tracił je bowiem 48 razy! Obecność Flavor Flava na ostatnich płytach można uznać za śladową. Chyba nie układa mu się z liderem PE najlepiej, o czym świadczyć może krytyka, jaką Chuck wystosował przeciwko niemu po reality show „Strange Love" (gdzie pokazywano związek Flava z Brigitte Nielsen, doprawdy „dziwna miłość"...), w którym komik-raper wyrażał się niepochlebnie o matce swych dzieci, na które zresztą nie płaci alimentów...

POZOSTALI AKTORZY, BYNAJMNIEJ NIE STATYŚCI

W szeregach Public Enemy nigdy nie brakowało osób pozostających nieco w cieniu, ale istotnych czy to z muzycznego, czy też z ideologicznego punktu widzenia. Po kolei.

Professor Griff na początku był kimś w rodzaju opiekuna grupy. Oprócz funkcji menedżera w czasie tras koncertowych, był on wszak szefem Security of the First World (S1W), czyli wspominanych wcześniej militarystycznych performerów z silnie afrocentryczną ideologią. Po kontrowersji związanej z antysemicką ponoć wypowiedzią Griffa dla „Washington Post", pod koniec 1989 roku rozstał się on z Public Enemy, by powrócić dopiero na „He Got Game", ale już w znaczniejszej roli (wcześniej zaś gościnnie pojawił się na solówce Chucka D, co już zwiastowało zgodę). Od tej pory udziela się on na płytach zespołu wokalnie i jako producent. Warto wspomnieć, że Griff to także artysta solowy, który na koncie ma pięć swoich płyt.

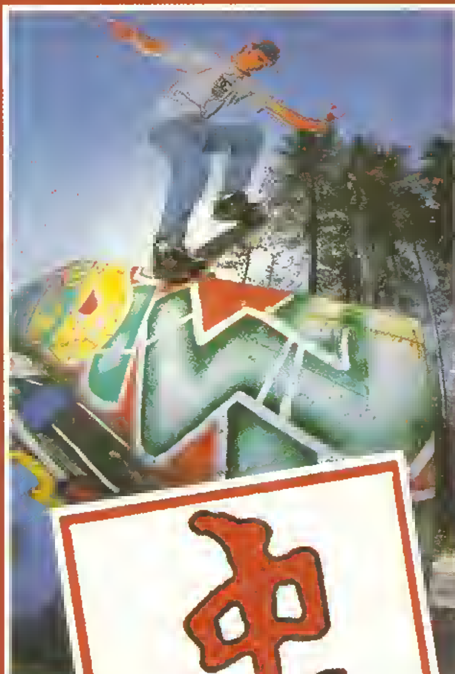
Terminator X to DJ zespołu. W pierwszych miesiącach istnienia zespołu dysponował inną ksywką (DJ Mellow D), ale nową nadał mu sam Chuck D, więc chłopak nie miał wyboru, choć początkowo kręcił na nią nosem. Scratching Terminatora stanowił bardzo istotną część najważniejszych albumów PE, a swą wszechstronność potwierdził DJ nagrywając dwa ciekawe albumy producenckie na początku lat 90. Po pewnym czasie (dość długim jednak) został zastąpiony przez DJ'a Lorda, ale na krótko, gdyż na ostatnim materiale znowu się pojawia.

The Bomb Squad jest legendarną grupą producencką, dzięki której brzmienie Public Enemy było w swoim czasie rewolucyjne. Charakterystyczne „mówione" sample, syreny, dziwaczne funkowe brzmienia były ich cechami rozpoznawczymi w tamtym czasie. Wśród członków grupy szczególną uwagę w kontekście PE należy zwrócić na Hanka Shocklee'a. To z nim bowiem Chuck D zaczął wielką karierę, rapując na demówce „Public Enemy No. 1" (i już wiecie, skąd wzięła się późniejsza nazwa zespołu), którą usłyszał następnie Rick Rubin. Raper poznał się z Hankiem w czasie prowadzenia wspólnego radiowego programu w czasach studenckich. Inni kluczowi członkowie Bomb Squadu to Bill Stephney (najważniejszy producent na debiucie PE), Carl Ryder i Eric „Vietnam" Sadler. Grupa producencka stworzyła muzykę do pierwszych trzech albumów Public Enemy", a także do „Muse...", na „Apocalipse '91..." będąc z kolei producentami wykonawczymi przy innej grupie – Imperial Grand Ministers Of Funk.



DYSKOGRAFIA PUBLIC ENEMY:

1987 - Yo! Bum Rush the Show
1988 - It Takes a Nation of Millions to Hold Us Back
1990 - Fear of a Black Planet
1991 - Apocalypse '91... The Enemy Strikes Black
1992 - Greatest Misses 1986-1992
1994 - Muse Sick-n-Hour Mess Age
1998 - He Got Game
1999 - There's a Poison Goin' On
2002 - Revolverlution
2005 - Power to the People and the Beats: Public Enemy's Greatest Hits
2005 - New Whirl Odor











red dragon
deskorolkowi chuligani

Każdemu średnio orientującemu się fanowi deskorolki kanadyjski skateboarding na pewno kojarzy się z ekipą Red Dragon. Nic w tym dziwnego, ta grupka młodych ludzi związana ze sklepem o tej nazwie od dawna już robi wszystko, aby było głośno zarówno o nich jak i o ich skateshopie

tekst tOi Oi

Jak to zwykle bywa, początki zupełnie inaczej wyglądały niż teraźniejszość i obecna wielka firma Red Dragon była tylko małym przedsięwzięciem grupy znajomych... Kanadyjski skateboarding zawsze pozostawał w cieniu ich południowego sąsiada. Nie było tam przemysłu deskorolkowego, mediów. Żeby Kanadyjczyk mógł się dalej rozwijać bez stresowania się brakiem funduszy, musiał emigrować do Kalifornii i tam robić wszystko, żeby być zauważonym przez „Wuja Sama". Oczywiście jak każdemu innemu obcokrajowcowi było im trudno w Stanach i tylko nieliczni przebijali się wyżej i zostawali profesjonalistami. Głównym ośrodkiem skateboardingu w Kanadzie było miasto Vancouver. Tam już od bardzo dawna rozwijał się skateboarding na bardzo wysokim poziomie, jednak świat usłyszał o nim dopiero, gdy na filmie Powella pt. „Propaganda" (1990) pojawił się młody rampiarz, Colin McKay. Ten małolat z miejsca stał się topowym zawodnikiem vertu. Już jako dwunasto-, trzynastolatek przełamywał wszelkie bariery fizyczne i psychiczne. Co ważne, Colin nie naśladował swoich starszych amerykańskich kolegów, lecz wykształtował swoją własną jazdę. Rzecz polegała na tym, że nie ograniczał się on tylko do typowo rampowych numerów – takich jak airy z grabami, lecz czerpał strasznie dużo inspiracji z jazdy streetowej. On i jego późniejszy przyjaciel Danny Way byli pierwszymi skaterami, o których można by powiedzieć, że tak samo dobrze sobie radzili na vercie i na ulicy. Nic więc dziwnego, że mieszali oni triki z tych dwóch dziedzin i dzięki temu wykształcili jazdę techniczną na rampie.

W 1992 roku Colin porzucił Powella na rzecz legendarnej firmy Plan B, gdzie oprócz niego wylądowała praktycznie cała elita tamtejszej deskorolki. Warto dodać, że oprócz McKaya w teamie tym jeździł inny Kanadyjczyk, Rick Howard (ale to nie on jest bohaterem tego artykułu). Niedługo po starcie działalności firmy ukazało się jej pierwsze video pt. „Questionable". O wydarzeniu tym w prasie deskowej napisano już niemalże wszystko, więc ja nie mam już nic w tej kwestii do dodania. Ważne jest to, że Colin miał tam dwa przejazdy (podobnie jak Danny Way) – jeden rampowy, a drugi streetowy. Jako goście na filmie tym pojawili się dwaj kumple McKaya. Pierwszym był grubawy konus z garbatym nosem, czyli Rob „Sluggo" Boyce, a drugim był małolat, który kłócił się z ochroniarzem, Moses Ilkonen. O obydwu niebawem dowiecie się trochę więcej. „Questionable" przedstawiło jeszcze coś, co na zawsze będzie się kojarzyć z późniejszym sklepem Red Dragon: ogromny betonowy, odkryty skatepark w Vancouver, po którym wtedy śmigali na filmie Colin i Danny Way. W późniejszych latach tor ten ulegnie znaczącej przebudowie. W tej chwili jest to ogromny kompleks różnego rodzaju przeszkód. Dwaj wcześniej wspomniani kolesie, czyli wegetarianin i awanturnik Moses oraz wielbiciel fitnessu, snowboardingu i break dance'a Sluggo, wkrótce też znaleźli się w amerykańskim teamie. Jednak nie było to Plan B, tylko inna (istniejąca zresztą do dziś) firma Real. Panowie ci pokazali się oczywiście na jej pierwszym filmie, gdzie Moses został zapamiętany jako gówniarz, który wszczynał rozróby z ochroniarzami. Ciekawe jest to, że cała trójka, o której pisałem (Colin, Moses i Sluggo), łączyła rampę i street w mniejszej lub większej proporcji. Aż dziw bierze, że np. Ilkonen, który był bardziej znany jako murkowy technik, potrafił z powodzeniem latać na vercie.

Ta trójka dzięki swym deskorolkowym dokonaniom i przede wszystkim silnym osobowościom szybko stała się rozpoznawalna na całym świecie. Dzięki nim Vancouver stał się znaną deskorolkową metropolią, a skaterzy stamtąd coraz częściej pojawiali się w amerykańskich produkcjach. Tego oczywiście było im mało. Postanowili zrobić coś więcej. W ten oto sposób na początku lat dziewięćdziesiątych narodził się skateshop Red Dragon. Ideą przewodnią sklepu była deskorolka, ale i przeciwstawianie się ochroniarzom. „Kiedy tylko pierwszy ochroniarz próbował wyrzucić nas, team Red Dragon, z jakiejś miejscówki lub starał się nam rozkazywać, wiedzieliśmy, że naszym celem jest odpowiedzieć tym samym. Nie zgadzamy się na to, aby jakiś gamoń niszczył nasze marzenia – albo ich ignorujemy, albo kiedy trzeba, po prostu przeciwstawiamy się" – tak brzmi ich motto i wierzcie mi, że wcielają te słowa w życie. Dowodzą tego liczne sceny starć z ochroniarzami w filmach, głównie w „Mosesie" z Mosesem w roli głównej. W tej chwili jednym z przyjaciół i oficjalnie sponsorowanym typem jest skejcik, który jednocześnie jest mistrzem Ameryki Północnej w K-1. Nie chciałbym widzieć sytuacji, gdy jakiś nieświadomy niczego kozaczek chciałby go skroić z deski... Awanturnicy z Red Dragon dbali o to, aby ich wizerunek był widoczny. Jako sklep wspomagali różne dziwne i głupie projekty, jak seria filmów „Whisky". Jednak kwintesencją ich jazdy było video wydane całkiem niedawno, bo cztery lata temu. Do tamtej pory Red Dragon był znany jako marka tylko lokalnie. Team sklepu był oczywiście słynny, ale raczej jako pojedyncze nazwiska, a nie jako wspólna ekipa. To się zmieniło po wydaniu wspomnianego pierwszego filmu pt. „RDS". Był on totalnie pozbawiony smaku (muzyka w nim była bardzo kontrowersyjna – Madonna, Warren G, Ini Kamoze, Backstreet Boys, disco dance), pełen głupich, ale śmiesznych wstawek, przemocy (awantury z ochroniarzami i sfrustrowanymi przechodniami), jednak dzięki temu miał on niepowtarzalny klimat i przez długi czas królował w moim odtwarzaczu. Całość po prostu rozpierdalała, nie wyobrażam go sobie bez tych wszystkich elementów. Poza tym, przedstawił on światu nie tylko znanych ziomów z Red Dragon (czyli Colina, Mosesa, Sluggo i Danny'ego Waya), ale także masę newcomerów, którzy już teraz są bardzo znanymi prosami (Paul Machnau, Ryan Smith, Chris Haslam, Russ Milligan, Gailea Momolu, Mike Hastie). Cały team oczywiście składa się z niegrzecznych dzieciaków, którzy chcieli dorównać ich starszym kolegom. Inwazja Red Dragon na cały świat została rozpoczęta. Idąc za ciosem, goście z RDS zbudowali jeden z większych skateparków na świecie, w którym dzieciaki mogą się uczyć od najlepszych. Niedawno ukazał się nowy, drugi film Red Dragon (recenzja w numerze) i choć nie dorównuje on poprzednikowi, to kontynuuje tradycję bycia filmem dla starszych dzieci. Ekipa nie przestała przeginać, a nawet i w tej dziedzinie osiągnęła progres. Jak sami mówią, Red Dragon będzie istniał przez wieki, bo „zawsze znajdzie się miejscówka do jazdy i jakiś ochroniarz do skopania mu dupy..."



szwecja

To tylko mały fragment wielkiej miejscówki w porcie. Znaleźliśmy tam m.in. gap, przez który Tomek zrobił sw. heelflipa.











z wizytą w kraju wikingów...

Gdy myślałem sobie o ewentualnych celach moich wypraw deskorolkowych, jakoś nigdy do głowy nie przychodziła mi Skandynawia. Ten północny rejon Europy nie jest przesadnie obecny w skateboardingowych mediach, mimo że pochodzi stamtąd wielu znanych deskorolkowców

tekst Pc skate
foto Wojtek Antonów/WZRR

Niespodziewanie nadarzyła się okazja zbadania tamtych dzikich rejonów, a że nie ma dla mnie nic lepszego niż wyprawa w nieznane, bez namysłu zgodziłem się na udział w ekspedycji. Mówiąc „wyprawa w nieznane" miałem na myśli oczywiście tamtejsze spoty, które i tak nie mogły być gorsze niż w Polsce (wiadomo, że słabiej niż w Polsce jest tylko w Mongolii).

Osobą, dzięki której nasza ekspedycja się udała, był nasz szalony kolega ze Szwecji, Pontus Alv. Jakiś czas temu gościł w Warszawie i wtedy zdążyliśmy się nieco zaprzyjaźnić. W ramach podtrzymania znajomości zaprosił polską reprezentację do swojego małego lokum. Po wielu potknięciach natury organizacyjnej, o których wolałbym jak najszybciej zapomnieć, nasza ekipa (Gutek, Tomek K. oraz dwóch skromnych przedstawicieli świata mediów) wyruszyła do dzikiego i srogiego kraju Północy, czyli Szwecji.

Malmo

Naszym celem było trzecie co do wielkości miasto w Kraju Trzech Koron, czyli Malmo. Tam właśnie mieszka Pontus i – jak mówił – znajdują się najlepsze miejscówki w całej Szwecji. Niestety, nie potrafił tego poprzeć żadnym zdjęciem czy też filmikiem. Mogliśmy polegać jedynie na jego słowie. Nie było końca domysłom, co zastaniemy w tym mieście. Szczególnie zaś niepokoił się Gutek. Na szczęście, rzeczywistość zrobiła nam bardzo miłą niespodziankę, choć na samym początku nie wyglądało to tak różowo...

Od razu po przyjeździe nasz nieoceniony przewodnik Pontus zabrał nas na obchód po spotach. Chociaż kilka dni wcześniej doznał kontuzji nogi, narzucił takie tempo jazdy (stwierdzając, że wszędzie da się dojechać na desce), że Polaczki wymiękli praktycznie od razu. Mimo kostki wielkości buraka cukrowego, napędzał się jak szalony po ulicach Malmo. W międzyczasie pokazywał nam różne miejscówki. Były to same tzw. spoty na jeden trik. Polska ekspedycja na początku chciała się po prostu rozgrzać, a on zaprowadzał nas na same wymagające miejscówki. Kiedy wytrzymałość Gutka sięgała granic i zaczął już tak narzekać jak nigdy (po dwóch – trzech godzinach jazdy przez miasto), dotarliśmy do deskorolkowego nieba. Była to nadmorska dzielnica z nowoczesną architekturą. Wyglądała, jakby ktoś zbudował planszę z gry „Tony Hawk Pro Skater". Bliskość morza i kamieniste wybrzeże tylko dopełniały piorunującego efektu. Wówczas drastycznie zmieniliśmy pogląd na temat tamtejszych spotów. Okoliczne budynki, jak i cała pozostała architektura, zostały zbudowane pół roku wcześniej, wszystko więc było nowiutkie i aż prosiło się jazdę. W okolicy mieszkali tylko naprawdę zamożni ludzie, głównie obcokrajowcy, i nie mieli nic przeciwko wykorzystywaniu tych rzeczy przez skaterów. W Polsce, gdzie Kaczyński pewnie każe niedługo strzelać do skejcików, takie rzeczy są nie do pomyślenia. Na dodatek mieszkańcy tej dzielnicy tak polubili deskorolkę, że doprowadzili do budowy wielkiego betonowego skateparku połączonego ze streetową skate-plazą. Kiedy tam przyszliśmy, trwały już tylko prace wykończeniowe. W parku tym już za miesiąc znajdą się łatwe murkowe rzeczy, duże bowle i więcej niż pionowe poole. Akurat gdy tam byliśmy, panowie budowniczowie urządzili sobie małe sprawdzanie basenu i po raz pierwszy mogliśmy zobaczyć na żywo, jak wygląda jazda w poolu. Efekt był niesamowity.

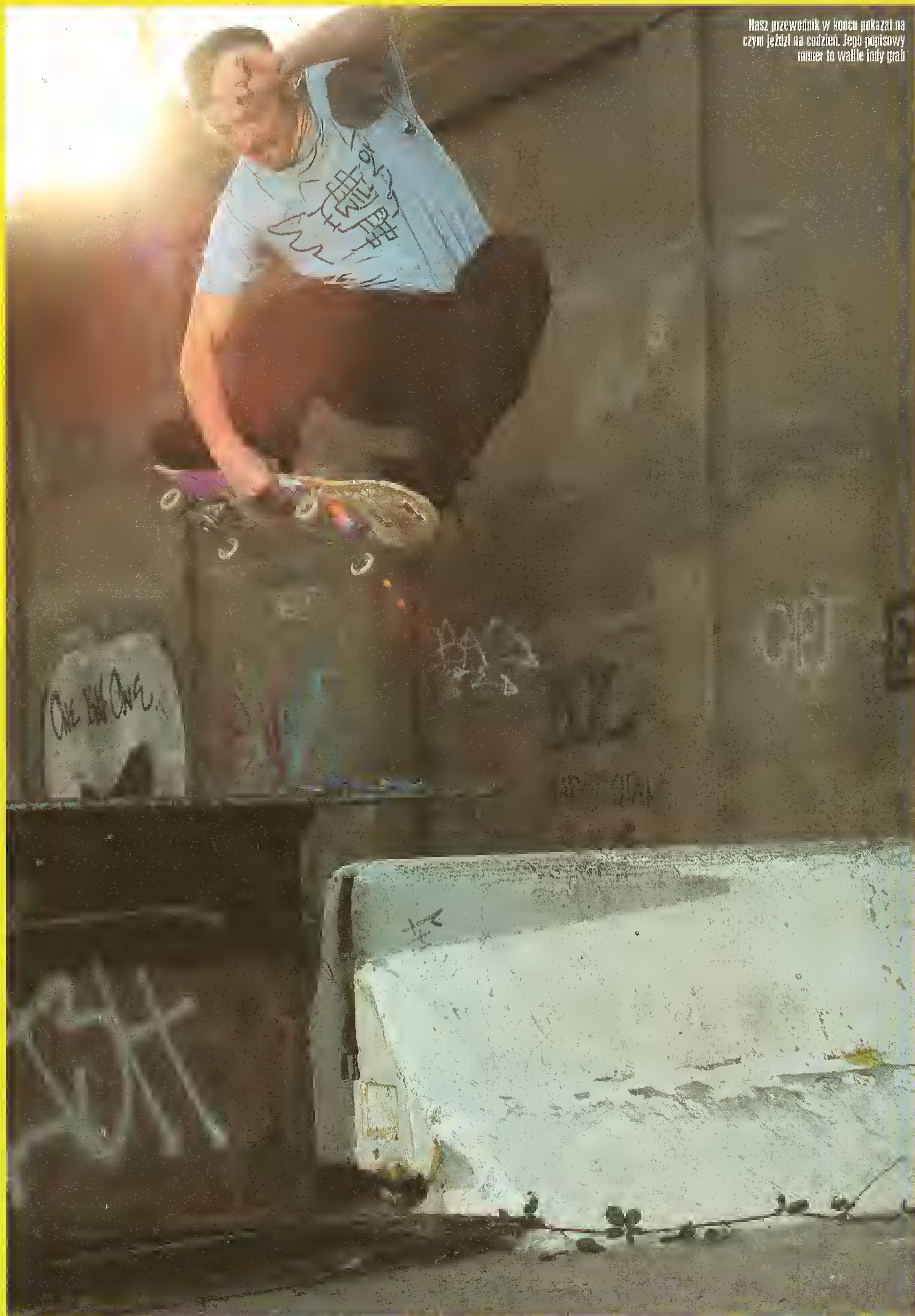
Malmo oferowało nam jeszcze mnóstwo mniejszych atrakcji. Samo miasto nie jest może super piękne, ale niewątpliwie ma swój klimat. Zabudowa dość niska, budynki surowe, bez zdobień i wszystkie do siebie podobne, jednak wszędzie znajdują się parki i ta zieleń wyrównywała braki w architekturze. Oprócz klasycznych miejscówek typu „mureczek, schody, mureczek", znajduje się w Malmo mnóstwo innego rodzaju spotów. Jest to bowiem miasto, w którym kwitnie przemysł. Pełno tam różnego rodzaju fabryk i hurtowni, a wszystko to sprawia, że pa-







Portu ciąg dalszy. Tym razem na zdjęciu znalazł się Gutek z bs. tailslide'em



Nasz przewodnik w końcu pokazał na czym jeździ na codzień. Jego popisowy numer to wallie indy grab

nuje tam bardzo industrialna atmosfera. Co chwila mijaliśmy miejsca takie jak rampy wyładunkowe, dziwne wybicia, nietypowe rzeźby.

W Szwecji panuje jeden bardzo dziwny zwyczaj. Otóż, w zwykłych sklepach nie można kupić alkoholu! Jeśli już Szwed zdecyduje się spożyć tę arcyniebezpieczną truciznę, musi udać się do specjalnej sieci sklepów System (jest tylko kilka takich miejsc w całym mieście) i tam w zamian za bajońską sumę można coś takiego nabyć. Druga dziwna rzecz w Kraju Trzech Koron to imprezy. Praktycznie nie widzieliśmy tam żadnej tancbudy. Jest całe mnóstwo pubów, barów i wszelkiej maści jadłodajni, ale jeśli ktoś po spożyciu wysokich procentów chce podokazywać, zostaje mu ulica. Trafiliśmy co prawda do jednego lokalu z głośną muzyką, ale byliśmy tam chyba jedynymi nietrzeźwymi ludźmi i wszystkie dziewczyny zagadane przez nas odpowiadały, że „z Ruskami nie gadają". Cóż, takie życie, ziomek...

Szwedzi

Pisząc reportaż ze Szwecji nie można nie wspomnieć o jej mieszkańcach. Jest to bardzo tolerancyjny i wyrozumiały naród. Przez cały tydzień tylko raz ktoś wyrzucił nas z jakiejś miejscówki (i to wtedy, gdy jeździliśmy dosłownie w wejściu do sklepu spożywczego). Zwykle wszyscy reagowali bardzo przyjaźnie i zachęcali nas do prób, kiedy coś nie wychodziło. Pamiętam sytuację, gdy Gutek próbował bs. smith na murku pod górę i lądowanie miał prosto na nowiutkie, wypasione audi. Po chwili z pobliskiego biura wyszedł jakiś typ i zapytał, co robimy przy jego samochodzie. Słysząc wyjaśnienia, zamiast nas wyjebać na zbity pysk i zadzwonić po legion policji, on zapytał, czy nie lepiej nam będzie, jak przeparkuje samochód. Po przestawieniu auta wrócił do pracy, jak gdyby nigdy nic.

Jeśli chodzi o skateboarderów szwedzkich, to oprócz Pontusa nie spotkaliśmy ich wielu. Nasz przewodnik tłumaczył nam, że w mieście panuje zupełnie inna jazda niż np. w Polsce. Nie jeżdżą na zwykłych, „klasycznych" miejscówkach, tylko starają się wybierać jak najdziwniejsze spoty do eksploatacji. Np. najlepsza dla nas miejscówka w dzielnicy nad morzem była w ogóle nieużywana. Szwedzi wolą budować własne miejsca, np. betonowe barierki z dorobionym podjazdem, betonowe bowle. Takie właśnie ich dzieło pokazał nam pewnego dnia Pontus. Wyobraźcie sobie wielki plac pełen śmieci, ruin (krajobraz jak po wojnie nuklearnej), a w środku tego wszystkiego stoi szalony bowl, który aż się prosi o jazdę. Szwedzcy skaterzy wiedzą, jak się zorganizować, by zbudować coś fajnego. Nie czekają na pomoc władz miasta, tylko biorą sprawy w swoje ręce. Jednak w trakcie naszych wędrówek po Malmo natknęliśmy się i na szwedzką „sekcję techniczną" na miejscówce przypominającej warszawskiego Witosa.

Polska ekipa

Nasza załoga już od pierwszego dnia czuła się w Malmo jak w raju. Wiedzieliśmy, że trafiliśmy we właściwe miejsce w odpowiednim czasie. Mimo że był to środek października, było ciepło jak w lecie. Naprawdę, więcej od losu nie oczekiwaliśmy, no chyba że zajebistych trików. A tych na szczęście nie brakowało. Tomek i Gutek zaaklimatyzowali się w Malmo bardzo szybko. Nie bez znaczenia tutaj było ciągłe dopingowanie naszego przewodnika Pontusa, który po prostu wiedział, do jakich miejsc nas zabrać. Na szczęście w 99 procentach przypadków trafiał w gusta Tomka i Gutka, którzy mogli narzekać jedynie na zmęczenie.

Zajebistym miejscem (choć nie mającym nic wspólnego z deską) było coś na kształt galerii nowoczesnej sztuki. My akurat załapaliśmy się na pokaz instalacji świetlnych. Wyobraźcie sobie następującą sytuację: wchodzimy do wielkiej i pustej sali, w której jest jedynie przejście do mniejszego pomieszczenia. Po wejściu do drugiej komnaty nagle stwierdzamy, że... widzimy wszystko w czerni i bieli. To było tak dziwne i zajebiste zarazem, że wcale nie chciało mi się stamtąd wychodzić. Myślę, że gdyby i w naszym pięknym kraju komukolwiek chciało się przedstawiać sztukę w ten sposób, liczba jej wielbicieli by wzrosła. Na szczęście, po wyjściu stamtąd kolory od razu powróciły i znowu byliśmy w realnym świecie.

Pontus Alv

Ten człowiek był naszym przewodnikiem, tłumaczem i biurem informacji w jednym. Dla tych, którzy o nim nigdy nie słyszeli: jest prosem z dość dużym już stażem. Jak sam mówi, jest już zmęczony całym biznesem deskorolkowym i dlatego osiadł na dobre w swoim rodzinnym mieście, gdzie może oddać się do woli swoim innym zajawkom. Ma korzenie polskie (jego matka jest Polką), często bywa w Szczecinie, gdzie mieszkają jego dziadkowie. Do niedawna mówił bardzo mało po polsku, jednak po przejściu intensywnego kursu podczas naszego pobytu jego skillsy podskoczyły bardzo. Teraz, gdy nie wychodzą mu triki, jego okrzyki brzmią bardzo swojsko (nie muszę mówić, jakich słów używa, bo zna je każde dziecko w Polsce). Oprócz tego, że Pontus jeździ na desce, w niczym nie przypomina szablonowego skejcika w szerokich spodniach i czapce na głowie. Rzekłbym, że jest on dużym oryginałem: nosi wąsy, jeździ starym i rozklekotanym motorowerem, ma w domu kolekcję mundurów radzieckich i w ogóle jest niezłym frikiem. Ale oprócz tego wszystkiego jest całkowicie zaangażowany w skateboarding, a szczególnie w swoją prywatną wizję deskorolki i cały czas próbuje zaszczepić ją u innych. Zna każdą miejscówkę w swoim mieście, jego mózg przypomina ogromną bazę danych wszystkich spotów. Ta cecha była dla nas po prostu nieoceniona. Niestety, już przed naszym przybyciem coś niedobrego stało się z jego nogą i na pewien czas został wyłączony z jazdy. Jak już wcześniej wspomniałem, nie przeszkadzało mu to w byciu cały czas na przedzie naszego peletonu, gdy przemieszczaliśmy się z miejsca na miejsce. Podczas dwóch ostatnich dni Ponti zdecydował, że noga jest w porządku i zaprezentował nam swój styl jazdy, który znacznie odbiega od standardów.

Podsumowując, polecam każdemu wyprawę do Szwecji, a w szczególności do Malmo. Bardzo ważne: nie jest tam aż tak bardzo drogo. Nie jest to może cenowy raj, ale żywiąc się w supermarketach da radę przeżyć na niskim budżecie. Bardzo atrakcyjne są ceny samolotów. Jeżeli lecimy tanią linią i zamówimy bilet odpowiednio wcześniej, cena nie przekroczy trzystu złotych w obie strony. Lot trwa godzinę i od razu z lotniska można śmignąć na spoty, które, jak się wcześniej rozpisywałem, są mistrzostwem świata. Poza tym, Malmo nie jest zbyt duże i wszystkie miejscówki można zwiedzać na deskach bez korzystania z komunikacji miejskiej, która jest nad wyraz droga. Moi drodzy, oszczędzajcie kasę i już na wiosnę wybierajcie się gdzieś w Europę na deskę. Szwecja jest wspaniałym miejscem, żeby się dobrze bawić.





Nie trzeba być detektywem, żeby stwierdzić, że i te zdjęcia zostały zrobione w ostawionym porcie w Malmo. Tym razem dla odmiany na fotach znalazł się Tomek z bs. nose grind revert.

ile kosztują zajawki?





Każdego dnia w głowach młodych, cierpiących na notoryczny brak wrażeń ludzi, rodzą się nowe pomysły. A co za tym idzie? Nowe dyscypliny sportu

tekst Arkadiusz Okoński

Przekonani o geniuszu swego pomysłu, wmawiają wszystkim dookoła, że kółka, żagiel czy powierzchnia ślizgowa zamontowane odwrotnie, funkcjonują znacznie lepiej. I co ciekawe, zdarza się, że mają w tym wiele racji. Ta sportowa ewolucja obejmuje zarówno bogatych, jak i tych mniej zamożnych, czy też niezamożnych wcale. Uprawiając takie dyscypliny jak na przykład le parkour, capoeira czy skimboard, kupujemy odpowiednio: dobre buty, luźne ciuchy, deskę. Jeśli z kolei ktoś chce spróbować swoich sił na moutainboardzie lub pobawić się kitewingiem, szybko odczuje ubytki w portfelu.

Wszystkie te sporty mają jednak swój wspólny mianownik. Mianowicie żadna z tych dyscyplin nie zalicza się do tzw. kwalifikowanych, czyli państwo nie przeznacza na ich rozwój pieniędzy, tak jak się to dzieje w przypadku piłki nożnej czy też skoków narciarskich. Jednymi z niewielu dyscyplin, jakie się przebiły, są snowboard (w swojej np. slalomowej odmianie), windsurfing i formuła. Wszystkich tych, których olimpiada nie interesuje, ale za to interesuje ich dobra zajawka, spotkać można idąc po śladach zatagowanych miejscówek, nasmarowanych murków i śledząc fora internetowe. Ze słuchawkami na uszach, na tzw. freerajdzie... Dokąd to wszystko zmierza?

● **CAPOEIRA** (tilania) - taniec połączony z walką i rywalizacją wzbudza potrzebę użycia psychicznej i emocjonalnej ruchliwości. Koszt: 100 – 500 pln (luźne ciuchy nie-krępujące ruchów)

● **SKIMBOARD** - niewielka deska na wodę ze ślizgiem, przybyła dzięki kalifornijskim ratownikom. Koszt: 200 – 500 pln

● **LE PARKOUR** - to dyscyplina polegająca na przemieszczaniu się z wykonywaniem tricków. Założycielem jest David Belle. Koszt: 300 – 600 pln (dobre buty z amortyzacją)

● **MOUTAINBOARD** - deska z wiązaniami, do której przymocowane są „zawieszenie" i kółka. Koszt: 1300 – 2000 pln

● **KITEWING** - dyscyplina wywodząca się z Finlandii, sport łączący w sobie elementy windsurfingu z narciarstwem i snowboardem. Koszt: 1500 – 2500 pln

● **KITESURFING** (nazwa przyjęta w Europie) czy kiteboarding (nazwa używana w Ameryce) - pływanie na desce przy wykorzystaniu latawca. Koszt: 4000 – 7000 pln

„Polsporty" w każdą niedzielę o godz. 16:00 (powtórki wtorek 13:00 i sobota 18:00) na antenie 4fun.tv!







SiStars

SiStars mają sporo zasług. Ich debiut był pierwszym (i ostatnim) polskim r'n'b z prawdziwego zdarzenia, zespół dał też iluzję nadziei na poważnych reprezentantów w konkursie niepoważnej Eurowizji. Teraz grupa wróciła z drugim albumem, tak eklektycznym, że obok muzyki klubowej znajduje się tu spoken word. Reszty dowiecie się z wywiadu

tekst Cess
foto Anna Włoch/WMP

Zaczniemy może od Lizbony. Jak wrażenia z gali wręczenia nagród EMA?
Paulina: Bardzo fajnie, szczególnie, że tam było troszkę cieplej niż tutaj, więc odczuliśmy dużą ulgę, jeśli chodzi o temperaturę. Spotkaliśmy wiele postaci, które lubimy, na przykład Johna Legenda. Okazało się, że po prostu leci z nami samolotem. Daliśmy płytę jemu, daliśmy płytę Black Eyed Peas i wszystkim po kolei: Shaggy'emu, Skin. Może ktoś posłucha chociaż jednego kawałka, to już będzie zaszczyt. Dostaliśmy nagrodę, która jest nam szczególnie bliska, bo od polskich słuchaczy. To niesamowite, że ludzie biorą telefon i głosują, żeby nam było dobrze. Ja nawet jak kogoś bardzo lubię, to nie wezmę telefonu i nie będę głosować, żeby on się ucieszył. Po prostu posłucham sobie muzyki i koniec. Miejmy nadzieję, że w związku z tym, że ta nagroda jest europejska, wywoła oddźwięk i zagramy więcej imprez zagranicznych, a może na przykład któryś z szanownych wielkich producentów wielkich gwiazd przez przypadek usłyszy laureata, uzna, że fajny i coś z tym zrobi.

To był pierwszy raz, kiedy uczestniczyliście w tak dużej imprezie. Jak wrażenia w związku z tym?
Paulina: Wielka produkcja telewizyjna, największa, jaką widziałam w życiu. Bardzo dynamiczna pod względem technicznym. Żałowałam tylko gdzieś w środku, że nie było tam moich ulubionych gwiazd. John Legend występował przed galą, ale nie widzieliśmy go, bo przejęła nas prasa. Szkoda, że nie było...
Natalia:... Mary J. Blige...
Paulina:... albo Lauryn Hill. Występowały raczej rockowe kapele, co oczywiście i tak było fajne. Ja jestem otwarta.
Natalia: Bardzo brytyjsko było.
Paulina: Tam to bardziej „Coldplaye" niż czarna muzyka. Różne dziwne rozwiązania, jak Gorillaz, które było na scenie wirtualnie.

Graliście już w małych klubikach twarzą w twarz z publicznością i na olbrzymich eventach, gdzie jest tłum pod sceną. W jakich warunkach się lepiej czujecie?
Paulina: W klubie jest łatwiej, bo ciepło. Już na dzień dobry jesteśmy rozgrzani, pot się leje i atmosfera jest namacalna. Bywa też tak, że wychodzimy w czapach i w kurtkach na jakieś plenerowe sytuacje, wiatr piździ nam po wszystkim i ledwo można śpiewać, a jednak ludzie tak bardzo chcą otrzymać porcję energii, że świetnie się bawią. Nie ma koncertu, który byłby nieudany i na którym by się nic nie wydarzyło. Są różne stopnie nasilenia emocjonalnego zaangażowania ludzi i myślę, że każdy dzień coś ze sobą niesie. A w klubie jest po prostu łatwiej.

Staliście się także elementem naszego polskiego showbusinessu. Jesteście rozczarowani, czy raczej dobrze Wam w tej sytuacji?
Natalia: W tej chwili ludzie z różnych branży w Polsce, w tym artystycznej, nie mają lekko w porównaniu do innych krajów Europy. Wracamy z Lizbony i gramy koncert za tak małą stawkę, że jest to przerażające. Gdybym o tym napisała w liście do Johna Legenda, to by nas chyba z litości posłuchał... Kiedy w Polsce ktoś wygrywa Idola i sprzedaje te 35 tysięcy płyt to to jest sukces, a na przykład Kelly Clarkson wygrywa Idola w Ameryce i sprzedaje 2 miliony w tydzień. Takie są proporcje. Ona teraz może do końca roku siedzieć na Bali. W Stanach jest tak, że artyści grają koncerty po to, żeby sprzedawać płyty, a w Polsce płyta to jest taki dochód, że bardzo sympatycznie, że coś tam wpłynęło na konto, ale żeby żyć, musimy grać koncerty.
Bartek: A nie gramy, jeśli nas nie ma w telewizji. A nie ma nas w telewizji wtedy, kiedy wszyscy mówią, że jesteśmy przylansowani. Dlatego nie ma popytu na nasze koncerty. Tak samo było z Blue Cafe. Ludzie się bardzo szybko zniechęcają, skaczą szybko z kwiatka na kwiatek. Nie ma czegoś takiego, że są otwarci na wszystko. Jest tylko chwilowe zachtyśnięcie się. Prawdziwych fanów weryfikuje czas. W tej chwili zaczyna się krystalizować nasz odbiorca, ten, o którego wszyscy tak pytali nas w wywiadach przez ostatnie lata.
Paulina: To jest fajne, że teraz przychodzą na nasze koncerty świadomi słuchacze. Taki był zamiar tej płyty, że nie idziemy na ustępstwa, żeby robić hity, tylko nagrywamy coś, co jest najbliższe nam. I dzięki temu wykrystalizują się ci fani, którzy zostają z nami po koncertach, kiedy jeszcze jamujemy i nie wiadomo co nam wychodzi w trakcie.
Natalia: Z kolei zrozumiałe jest to, że jeżeli ktoś lubi nas za repertuar z pierwszej płyty, to niekoniecznie musi lubić ten z drugiej. Ja na przykład tak mam, że bardzo lubię pierwszą płytę Kaziah Jonesa, a drugą już średniawo. To jest zupełnie naturalne, że każdy ma swoje upodobania i w danym momencie życia potrzebuje takiej a nie innej muzyki.

No właśnie. Wasza druga płyta jest odmienna brzmieniowo od pierwszej. Nie ma już żadnych gości hip-hopowych i jakby odchodzicie na niej od grania utworów soulowych bądź stricte r'n'b. Więcej natomiast jest brzmienia gitarowego czy breakbeatów. Trudno to w ogóle zaklasyfikować do konkretnego gatunku...
Paulina: Na tej płycie są tylko nasze słowa, nasze poglądy i nasze propozycje. Nie ma gości, którzy przychodzą i rzucają swoje idee – zazwyczaj zgodne z naszymi, ale raczej zabawowe niż poważne. Są instrumentaliści potrzebni w aranżacji danego utworu.
Natalia: Głębiej sięgaliśmy w to, kim jesteśmy dzisiaj.
Paulina: To muzyka, która ma różne przebłyski, ale generalnie dzieli się na piosenki... po prostu piosenki. Im dłużej ludzie będą szukali nazwy dla gatunku, który gramy, tym lepiej dla nas.

Jest na albumie dysproporcja między utworami w języku polskim i angielskim. Nie myśleliście, żeby się w końcu zdecydować na który język?
Natalia: Nie możemy się zdecydować, bo docelowo chcemy mieszkać w Polsce i móc śpiewać po polsku na koncertach, a z drugiej strony taka nagroda jak MTV dana nam po raz drugi, obliguje nas niemalże do tego, żeby nagrywać też po angielsku. Tak, by Europa nas rozumiała.

To może dwie wersje albumu?
Paulina: Niestety, nie da się tak tworzyć piosenek. Każde słowo ma już swoją melodykę w danym języku.
Natalia: I klimat...
Bartek: Są ludzie, którzy nagrywają albumy w dwóch wersjach językowych. Mają piosenkę, powiedzmy, w języku niemieckim zgodnie ze wszystkimi zasadami, dzięki czemu przekaz jest czytelny i osobisty. Natomiast jeśli powstaje wersja piosenki w innym języku, to najczęściej pisze ją ktoś inny. I niekoniecznie jest o tym samym.
Natalia: Książkę jeszcze można przetłumaczyć, choć bywa kiepsko, bo tłumacz gubi sens zdania. Ale wiersz... Tak żeby się dalej rymował? Albo żeby był nadal tak głęboki?
Bartek: Nie ma szans.

Wracając do płyty, „AEIOU" jest bardziej dojrzała, bardziej Wasza. Czy to jest początek poszukiwania stylu, czy może już styl wyklarowany i tak zamierzają brzmieć SiStars?
Paulina: Ja mam nadzieję, że styl SiStars nigdy się nie wyklaruje do końca. W sensie, że pewna rozpoznawalna stylistyka tak, ale że nie będzie czegoś takiego, że staniemy w miejscu i te płyty będą podobne do siebie. Ja po prostu już widzę, że trzecia płyta będzie totalnie inna.
Natalia: Artysta poszukuje siebie, przestrzeni, nie zaś stylu czy szufladki. Jak robię coś w danym stylu, natychmiast myślę: „Aha, o Jezu, to jest takie klasyczne cośtam".
Bartek: Za granicą sprawa wygląda tak, że płyta jest utrzymana w jednym klimacie. Cała płyta K-maro czy Nelly'ego jest taka sama od pierwszej do ostatniej piosenki. Nie da się przestuchać jej całej.

Cała Wasza płyta jest stonowana... Za wyjątkiem rzuconego na koniec „Na dwa", które bardzo odbiega od reszty i na jej tle zaskakuje.
Bartek: Po prostu nie mieliśmy, co z tym zrobić.
Paulina: Single powstały, zanim płyta zaczęła nabierać tak miękkiego kształtu. Długo myśleliśmy więc, gdzie je powsadzać i trafiły na koniec.
Natalia: Przydałaby się jakaś epka, gdzie by się te utwory znalazły.

Czyli „Na dwa" to już jest raczej przeszłość SiStars niż przyszłość?
SiStars: Tak.
Paulina: Jest to po prostu imprezowy numer na nie do końca imprezowej płycie.

Media kreują SiStars na zespół, w którym dziewczyny grają pierwsze skrzypce, natomiast za kulisami mówi się, że wszystkim rządzi Bartek...
Bartek: Tak naprawdę to Maruś rządzi. To jest człowiek-Matrix, on pociąga za wszystkie sznurki.
Paulina: Na co dzień żyje w świecie informatycznym, a my nie.
Natalia: A muzyka to matematyka.

Łatwo jest zdyscyplinować taki zespół? Dwie dziewczyny, w dodatku siostry, i jeszcze artyści, muzycy...
Bartek: My siedzieliśmy cały czas w piwnicy, a dziewczyny tylko dochodziły i wrzucały. Staraliśmy się, by robiły to jak najkrócej, żeby z tym nie było nerwów.

Natalia: Myślę, że nieźle sobie radziliśmy.
Paulina: No, my może tylko trzy razy się popłakałyśmy przy tej płycie, a przy poprzedniej ze dwanaście albo i dwadzieścia, więc jest coraz lepiej i przy następnej może w ogóle nie będziemy płakać.

Interpretując tytuł nowej płyty, odwołujecie się do filozofii zen, do buddyzmu. Czy trafiliście na ten trop poszukując dobrego wyjaśnienia, czy jesteście jakoś związani z tymi klimatami?

Natalia: Poszukujemy jakiegoś sposobu na przedstawienie świata, zarówno w tekstach jak i w okładce, w nazwie. To jest we wszystkim, co robimy, droga ku pokojowi i ku dobru.
Bartek: Zresztą, tytuł i barwy okładki, kolor mandali, są na tyle charakterystyczne, że bardzo rzucają się w oczy. Pomarańcz to jest dobry kolor.

Własna muzyka, własne teksty, własna okładka, realizacja teledysków – wydaje mi się, że dążycie do tego, by się uniezależnić od innych?

Bartek: Po co wszystko oddalać od siebie, skoro można mieć to blisko?
Natalia: Ale co w tym fajnego, że masz wszystko na głowie? Osobiście bym chciała tylko śpiewać i komponować piosenki.
Bartek: To jest na przykład tak, że wolę sam się ubierać, niż jak ktoś mi mówi, co mam nosić. Wtedy jestem sobą.
Natalia: Chodzi o to, żeby pozostała decyzyjność, ale nie można wszystkiego za wszystkich zrobić.

To lepiej być w „mejdżorsie" czy mieć własną wytwórnię?

Paulina: Pewnie, że lepiej jest mieć własną wytwórnię, tylko trzeba mieć duże fundusze do rozpoczęcia. Trzeba zatrudnić odpowiednich ludzi.
Natalia: To także wymaga doświadczenia.
Paulina: Myślę, że będziemy do tego dążyć, ale to nie stanie się zbyt szybko.
Natalia: Najpierw się jest dzieckiem. Dopiero potem można być mamą.

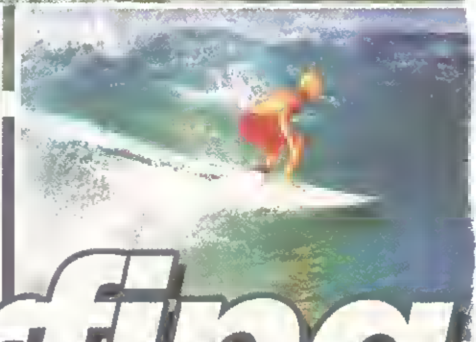
A co teraz planują SIStars?

Paulina: Mamy plany jechać w Polskę, w Europę, są słuchy o Japonii. W grudniu mamy miesiąc wakacji, bo to jest tak, że jak się zabawia tych, co są na wakacjach, to samemu ma się wakacje kiedy indziej. Będziemy też robić trzecią płytę. 









surfing

Wielkimi krokami zbliża się zima. Większość z Was niedługo wbije się w ciepłe ciuchy, czapki, buty i uderzy na snowboard. I to jest w porządku, przez wiele lat robiłem to samo. Ale jest inna opcja, która też jest zajebista. Surfing!

tekst Kijek

Nie potrzebujesz 5 kg ciuchów. Wystarczą gacie i deska i już możesz ładować się do oceanu. Jeśli jeździsz na snowboardzie i jesteś ogólnie wysportowany, to pierwszą falę złapiesz już po godzinie. Ale kiedy naprawdę zaczynasz popierdalać na surfie, to coś się w tobie przełamuje i już wiesz, że to jest to, co kochasz najbardziej. Ocean żyje. Każda fala jest inna, nieprzewidywalna jak kobieta. To tak jakbyś jechał na snowboardzie i ruszała ci się góra i chciała ci się zjebać na łeb. Na szczęście ta góra jest z wody. Kiedy jedziesz po fali, ona cały czas zmienia swój kształt, musisz do niej dostosować swoją jazdę. Nie masz czasu na myślenie, prowadzi cię intuicja. Po prostu ujeżdżasz naturę!

Razem z moim kumplem Jabolem zapraszamy więc na surfing do Puerto Escondido do Meksyku (400 km na południe od Acapulco)! Jest to jedna z najbardziej znanych miejscówek na świecie, doskonałe fale i lato przez okrągły rok. Temperatura wody nigdy nie spada poniżej 27 stopni, tak że można zapomnieć o piance. Panuje tu typowo meksykańska i tropikalna atmosfera. Nikt nigdzie się nie spieszy, czas upływa leniwie przy piwku, tequili i jaraniu. A wieczorem zaczyna się gorąca fiesta latina!

Ukształtowanie linii brzegowej sprawia, że w niedużej odległości znajdziemy spoty dla początkujących i zaawansowanych. Gorąca woda środkowego Pacyfiku, regularnie łamiące się fale i leniwy klimat rybackiego miasteczka zdecydowały o wyborze tego miejsca na naszą bazę. Chcąc podzielić się z Wami doświadczeniami zdobytymi w ciągu ostatnich kilku lat na spotach Europy, Afryki i Ameryki, stworzyliśmy Surf Paradiso – pierwszą polską szkołę surfingu. Jeśli więc macie ochotę uciec od mroźnej polskiej zimy i zacząć ujeżdżać fale, to nie ma lepszego miejsca. Zwłaszcza, że w Meksyku właśnie zaczyna się lato... 







skalpel

rozmawiali Grabiszczy & Kubanos
foto Filip Zawada/Isound

Zazwyczaj artyści starają się nie być szufladkowani. Wy zaś swoją muzykę określacie jako ambient jazz...

Marcin: To nie tak. Ominąłeś jedno pytanie: „Jak byście opisali swoją muzykę?".

Wtedy zazwyczaj pada odpowiedź: „Wiesz, nie chcemy się szufladkować"...

Igor: Jest jeszcze jedna konwencjonalna odpowiedź: „To jest zadanie dla dziennikarzy, żeby opisywać muzykę. Naszym zadaniem jest to, żeby powstawały utwory". Oczywiście, nasza muzyka jest inspirowana jazzem i ambientem. Przynajmniej była przy pierwszej płycie. Teraz inspiracjami były np. jazzrock, fusion, rock psychodeliczny, więc trzeba by to zdefiniować na nowo. Powiedzmy, że tamta definicja jest nieaktualna. A jeśli już mowa o szufladkach, to w sklepach na całym świecie jest taka z napisem „Ninja Tune". To już jest komunikat dla fanów.

Często mówicie o swojej artystycznej ewolucji. Czy to, że zdecydowaliście się w swoich muzycznych poszukiwaniach na jazz, to już ostateczna decyzja? Czy znaleźliście już swój środek wyrazu?

Marcin: Znasz utwór zespołu Stetsasonic „Talkin' All That Jazz"?

Igor: Albo Afrika Bambaataa „Looking For The Perfect Beat". No, to „still looking"...

Marcin: Tam ponadto pada takie zdanie: „You can call it jazz / but this jazz has new format". To, co robimy, możesz na upartego nazwać jazzem. Ale tak naprawdę to nie jazz, bo on jest muzyką opartą na improwizacji. W tym, co robimy, nie ma improwizacji. To po prostu pobrzmiewa na jazzową nutę.

Igor: Nie ukrywamy, że jazz jest naszą największą inspiracją. Ale niewykluczone, że znajdziemy kolejne źródła natchnienia i nasza następna płyta będzie inna.

Następna, czyli ostatnia, na którą macie kontrakt z Ninja Tune. Co potem?

Igor: Istnieje życie poza Ninja Tune. Ale mam przeczucie, że wydamy tam jeszcze parę płyt, będziemy to robić jeszcze przez wiele lat.

A dobrze się czujecie jako artyści Ninja Tune? Jesteście przez nich doceniani?

Marcin: Tak. Jesteśmy obecnie jednym z ich najważniejszych zespołów.

Igor: Poza tym oni są tacy, że nie wydają muzyki, która im się nie podoba albo budzi jakieś wątpliwości. To bardzo dobry układ partnerski.

Marcin: Wiemy, jak trudno wydać jest w Ninja Tune płytę i co dzieje się z płytami, które są gotowe i się im nie podobają, tak więc jesteśmy pewni swojej pozycji.

Wasza pierwsza płyta powstawała mniej więcej trzy lata, kolejna – tylko rok.

Marcin: To było konsekwencją rzeczy, które mieliśmy już przygotowane i pewnego luzu psychicznego. Pierwsza płyta była dla nas wyzwaniem.

Igor: Te trzy lata to był okres, kiedy szukaliśmy swojej drogi, sposobu, w jaki robić tę muzykę. A skoro to już umiemy, drugi album było łatwiej nagrać.

Marcin: Tak naprawdę, to moglibyśmy powiedzieć, że to były cztery lata na nagranie drugiej płyty.

Igor: Proces twórczy trwa ciągle i pewne odpady pomysłów z pierwszej i drugiej płyty być może zostaną rozwinięte w inny sposób na trzeciej. Wtedy będę mógł powiedzieć, że to jakaś koncepcja, którą miałem pięć lat temu, ale nie powiem przecież, że nagrywałem płytę przez sześć lat. Płytę robi się w ten sposób, że najpierw się rozmawia, jaką muzykę chce się nagrać, a potem się ją realizuje.

Marcin: Przy pierwszej płycie tego nie było. Teraz założyliśmy, że chcemy nagrać album jazz fusion. Mieliśmy dokładny koncept, jak to ma wyglądać, dlatego też nagraliśmy ją szybciej. Poprzednim razem docieraliśmy się, brakowało nam doświadczenia.

Igor: Na pierwszej płycie można było podzielić utwory na te, powiedzmy, bardziej skoczne, taneczne i te refleksyjne. Teraz zdecydowaliśmy się pójść bardziej w stronę muzyki do skupionego słuchania.

A nie obawiacie się, że w ten sposób postawiliście słuchaczom poprzeczkę zbyt wysoko?

Marcin: Poprzeczkę stawiamy samym sobie. Muzyka jest, jaka jest. Nie jesteśmy zespołem, który liczy na ogromną światową sławę i dużą sprzedaż płyt. Nagrywamy z miłości do muzyki.

Igor: Fajnie, jeśli ludzie cię akceptują i mówią miłe słowa, ale nie może być to główną motywacją do tego, co się robi. Chcieliśmy wyrazić przez muzykę swoje emocje i uczucia. I to właśnie zrobiliśmy.

Płyta jednak w jakiś sposób chwyciła, bo gdy kilka dni temu kupowałem „Konfusion" w Empiku, to zajmowała 19. miejsce spośród dwudziestu najlepiej sprzedających się albumów...

Marcin: Masz świadomość, ile w Polsce sprzedaje się płyt?

Mam, ale tym bardziej mnie to zaskakuje i cieszy, że dobra muzyka może konkurować z popularną sieczką. Jak myślicie, czy może być w tym też coś w rodzaju „lokalnego patriotyzmu"?

Marcin: Pewnie. Myślę, że ogólnie muzyki niezależnej w Polsce jest mało. My mamy to szczęście, że możemy powiedzieć cokolwiek o tej muzyce, pokazujemy się w mediach i dlatego to się sprzedaje. Myślę, że jest więcej takiej muzyki, o której niestety ludzie nie mają szansy usłyszeć. Co więcej, skoro się o niej nie mówi, to sami artyści nie mają możliwości podpisania kontraktów, bo są nieopłacalni.

Igor: Mamy nadzieję, że początkiem wszystkiego jest to, że nasza muzyka jest dobra. My ją wysyłamy do dobrej wytwórni płytowej. Ludzie znając tę wytwórnię i ufając jej, będą ciekawi, co zrobił artysta, kupują jego płyty. A ponieważ te są dobre, to kupują ich więcej niż tych złych (śmiech).

Dlaczego Wasze płyty są tak krótkie? Część słuchaczy może się czuć niedoceniona.

Igor: To zależy od tego, jakie przyjmiemy kryteria długości płyty. Ludzie, którzy są niezadowoleni, oswoili się z formatem płyty cd, która mieści mniej więcej 70 minut muzyki. My obaj za najlepsze płyty na świecie uwa-



ninja tune

Ninja Tune to niezależna wytwórnia płytowa założona w 1990 roku w Londynie przez DJ'ów Matta Blacka i Jonathana Moore'a, których na pewno lepiej znacie pod nazwą Coldcut. Ninja Tune szybko zyskała sławę jako label wydający i promujący artystów nietuzinkowych, eksperymentujących z brzmieniami, łączących odważnie nowoczesną elektronikę z jazzem, funkiem i hip-hopem. Ninja Tune ma też własny label hip-hopowy, Big Dada. Dla wytwórni - oprócz Skalpela, oczywiście - nagrywają m.in. DJ Vadim, Jaga Jazzist, Wagon Christ, DJ Kentaro, Blockhead i Herbaliser. Nie ma co, wyjątkowo dobrane towarzystwo.

„Skalpel jest w swojej ojczyźnie gwiazdą, co oznacza, że Polacy mają choć trochę lepszy gust niż my". Tak o jednym z czołowych zespołów ze swojej stajni napisała w materiałach prasowych wytwórnia Ninja Tune. Faktycznie, pierwsza płyta stała się wydarzeniem w Polsce i przede wszystkim za granicą. Teraz ukazał się drugi album duetu, „Konfusion", i łatwo można wywróżyć mu podobny sukces. Przed Wami nasz czołowy towar eksportowy, dwaj obdarzeni niezwykłym talentem magowie samplerów. Marcin Cichy i Igor Pudło, czyli Skalpel, tuż po wydaniu drugiej płyty

żamy te, które powstały w latach 60. i 70. Prawie żadna z nich nie przekracza 40 minut. Oczywiście, to było związane z formatem nośnika, ale też dopasowane do możliwości percepcji. Czas, jaki możemy przeznaczyć na słuchanie muzyki w skupieniu, to jest właśnie około 40 minut. W czasach płyt kompaktowych, empetrójek, gdy muzyka przytłacza nas z każdej strony, to nie należy też przedłużać sprawy. W ogóle przekazanie tego, co chcesz, w krótkiej formie, też jest pewną umiejętnością. Przecież nie byłoby problemu, żeby niektóre pętle poleciały dłużej, żeby płyta miała parę minut więcej. Wtedy byłoby jednak chyba nudniej i smutniej. Niedosyt, który może pozostać po wysłuchaniu tej płyty, w bardzo prosty sposób można wypełnić wysłuchując jej jeszcze raz i odnajdując tam coś innego. Ludzie często patrzą na muzykę jak na towar. Jeśli dostajesz czegoś więcej, to czujesz się lepiej. Na polskim wydaniu naszej płyty jest jeden utwór więcej niż na angielskim, a nie ma nigdzie napisu, że to bonus czy prezent dla słuchaczy.

No właśnie. Polski rynek traktujecie chyba specjalnie, bo „1958 Breaks" wyszło najpierw u nas jako oddzielna płyta, a na świecie dołączana jest jako bonus cd do albumu.

Igor: Tak, ale cały materiał z „1958 Breaks" ukazał się wcześniej na dwóch winylowych singlach na całym świecie. W Polsce taki materiał jak winyl praktycznie nie istnieje na rynku muzycznym, dlatego zdecydowaliśmy się wydać kompakt z tym materiałem i jednym wcześniej niepublikowanym utworem. Oczywiście, na całym świecie winyle to margines sprzedaży i dlatego wytwórnia postanowiła ten materiał dołączyć do nowego albumu.

Żeby zamknąć temat Ninja Tune. Jak wyglądałaby Wasza kariera, gdyby nie ta wytwórnia?

Igor: Prawdopodobnie nasza kariera wyglądałaby tak jak Noona. Płyta, epka, byłoby to zauważone i tyle.

Marcin: Zanim byliśmy w Ninja, ta wytwórnia w Polsce istniała właściwie tylko dzięki „Machinie", która wydała składaka z jej zespołami. Dopiero potem Ninja Tune jakoś zaistniała w Polsce. I gdy my wydaliśmy tam płytę, to ludzie zaczęli się interesować. Okazało się, że wytwórnia ma jakieś korzenie, istnieje 15 lat i jest fajna i nagle wszyscy zaczęli tego słuchać.

Igor: My cały czas lansujemy Ninja Tune w Polsce, bo sprzedajemy więcej płyt niż pozostali artyści razem wzięci.

Marcin: A konkluzja miała być taka, że zespół istnieje poza wytwórnią i po prostu robi muzykę, która jest fajna albo nietajna. Ktoś może kupić naszą płytę nie ze względu na to, że wydaliśmy ją w Ninja Tune, ale ze względu na muzykę.

Bardzo duży nacisk kładziecie na wizualny przekaz, na Waszych koncertach występują VJ'e, a dodatkowo zaintrygowało mnie, w jaki sposób przygotowujecie się do nagrania płyty – rozrysowujecie sobie utwory. Jak to wygląda?

Marcin: Wizualizacja wynika z naszego zainteresowania nowymi formami przekazu i nowymi technologiami, które się pojawiają.

Igor: To nadaje muzyce nowe znaczenie. Suma tego, co się dzieje na naszym występie, jest czymś innym niż samo oglądanie obrazu czy słuchanie muzyki. Dajemy coś więcej odbiorcom. Kiedyś występowaliśmy z VJ'em, teraz za cały obraz odpowiada Marcin, synchronizuje go z muzyką za pomocą komputerów. A co do rysowania... Utwory w muzyce popularnej są skonwencjalizowane: intro, zwrotka, refren, break lub solówka, znowu zwrotka i refren. My staramy się nadać temu inną formę, dlatego sobie to rysujemy. Wtedy widzimy, że w danym miejscu mogłoby się wydarzyć coś innego. Zaznaczmy to zygzakiem lub jakąś falą, które oznaczają właśnie to „coś innego".

Korzystacie z najnowszych technologii przy tworzeniu muzyki, a czy nie korci Was czasami do powrotu do „żywych instrumentów"? W końcu obaj kiedyś graliście, Marcin na pianinie, Igor na gitarze...

Igor: Przede wszystkim wierzymy, że za pomocą technologii, której używamy, można robić bardzo dobrą muzykę i nie potrzeba robić tego inaczej. Ja na przykład nie umiem dobrze grać i swoje emocje wyrażam za pomocą tej techniki, którą stosujemy.

Marcin: Gdybyśmy próbowali zagrać nasze utwory za pomocą instrumentów, to byłoby to zupełnie inne. Sample, których używamy, kiedyś też tak na żywo nie brzmiały. Nasza muzyka ma niepowtarzalne brzmienie właśnie dzięki brzmieniu winylowej płyty i tylko tak da się ją osiągnąć. Żywe instrumenty nie interesują nas jako narzędzie rekonstrukcji muzyki Skalpela na żywo. Ale można zastosować inne formy prezentacji.

A wokaliści?

Igor: Nie wykluczamy, że kiedyś w przyszłości, ktoś się pojawi na naszych płytach. Ktoś zaśpiewa czy zagra. Jednak nie na tym etapie, na którym jesteśmy obecnie.

Marcin: Jesteśmy zespołem instrumentalnym i nie czujemy potrzeby robienia piosenek. Jednak jeśli kiedyś to nastąpi, to na pewno będzie to spójna koncepcja, a nie oderwane od siebie utwory.

Igor: Myślę, że główną motywacją zespołów instrumentalnych do nagrywania piosenek jest to, żeby ktoś wreszcie ich muzykę puścił w radiu. Takiej potrzeby nie czujemy.

Marcin: To właściwie dziwne, że zespoły instrumentalne pyta się, kiedy nagrają utwory z wokalistami, a Piaska nikt nie pyta, kiedy nagra płytę instrumentalną.

Czy w jakikolwiek sposób śledzicie scenę hip-hopową? Kiedyś mieliście z nią dużo związków. (Marcin był założycielem wytwórni Blend Records, Igor pełnił funkcję redaktora naczelnego „Klanu" – przyp. red.)

Marcin: Oglądając telewizje muzyczne zauważyłem, że wszystkie zlały się w jedną całość, złożoną z dancehallu, soulu i podziemnego hip-hopu...

Igor: ...i przez pół godziny na ekranie były tylko dupy, trzęsące się dupy i jeszcze raz dupy. Wszystko się zhomogenizowało: hip-hop amerykański, polski, francuski, niemiecki, pod względem wizualno-brzmieniowym stał się do siebie podobny. Ale zdajemy sobie sprawę z tego, że jest też inny, mniej lansowany hip-hop. Podoba nam się to, co robi Anticon, Big Dada (sublabel Ninja Tune), Def Jux, Lex, czyli pododdział Warpa wydający hip-hop. Podziemny hh jest cały czas żywy i dzieją się w nim fajne rzeczy. W tym roku słuchałem najczęściej nowych płyt Commona, Blackalicious, Little Brother. To wszystko jest fajne, choć też już w jakiś sposób nie do końca oryginalne. To raczej powrót do korzeni. Podobnie jest w Polsce: są ludzie, którzy robią rzeczy awangardowe, jak CO, ale nie ma na to rynku. Ogólnie rzecz biorąc, hip-hop stał się częścią mainstreamu i stracił tę atrakcyjność, jaką miał, kiedy był czymś nowym, przełamującym bariery, siejącym ferment w muzyce. Ja wręcz czekam na to, aż nowe pokolenie wymyśli w muzyce coś świeżego, wolnego od kiczu. Ale w ciągu kilku ostatnich lat hip-hop dał parę naprawdę dobrych płyt, których do tej pory z przyjemnością słuchamy. I dobrze by było, gdyby ludzie słuchali tych starszych nagrań, żeby wiedza o tym była dostępna.

Marcin: Czasami, gdy się powie, że się słucha hip-hopu, to można się poczuć głupio, bo wyobrażenie o tej muzyce jest bardzo stereotypowe.

Igor: Jak wszystko, co zdobywa popularność, hip-hop stał się częścią popkultury. Skomercjalizowane na maksa gówno (śmiech).



bielsko-biała
indor 2

Wyglądam za okno – a tam ciągle nie ma jeszcze śniegu. Po złotej polskiej zrobiła się mokra i bura, też polska. Tak więc czekamy, czekamy, a tymczasem na południu kraju...

tekst i foto Wojtek Antonów/WZRR

Przenosimy się do Bielska-Białej i od razu puls przyśpiesza, oczy błyszczą, a tabletki na kaca czekają w pogotowiu. Nie od dzisiaj wiadomo, że na BBA i ekipę tam urzędującą można liczyć. Można liczyć na dobry melanż i wiele innych atrakcji. Zwłaszcza kiedy do roboty biorą się razem Trotyl Workshop i znany bielski wodzirej, były skoczek narciarski i ojciec chrzestny tamtejszej sceny klubowej, Herman. Współpracą z powyższym duetem skalała się także znana firma mająca w swoim znaczku czerwonego byka, zapewniając zawodnikom Red Bulle i dj'ów, którzy grali wesołą muzyczkę.

Co wynikło z tej współpracy? W znanym chociażby z corocznych imprez Grandmarket 70' Party klubie Apollo zorganizowano snowboardowy jam pod dumnie brzmiącą i nic nie robiącą sobie z szalejącej ptasiej grypy nazwą Indor2. Ekipa SLG była już na kilku tego typu imprezach i musimy stwierdzić jedno – ta była najlepiej przygotowana. Spory najazd z wybudowanej specjalnie rampy i dwa boksy – jeden pod górę, a drugi z górki. Sprawdźcie na zdjęciach, to sobie to łatwo wyobrazicie. Do tego trochę igielitu, trochę śniegu, światła, flesze-błyski i inne bajery. O imprezie było od dawna wiadomo, więc nic dziwnego, że zawodników przyszło całe mnóstwo. Znowu pojawią się te same nazwiska? Pojawią się... No to jedziemy: Garus, Lange, Dytkowski, Ligocki, Pawlikowski, Kałaska, Sadłowski, Rusin, Rosołek,


Basia Svetulova super boardslide





Szczepan Karpiel - narty też rządzą!






Herman Meier? Nie! Herman z BBA!







Rybicki, Dara i wielu wielu innych, nie wymienionych przepraszamy z góry. No dobra, jeszcze jedną osobę wspomnę: Basia Svelulova – bo jej wielkie zdjęcie w akcji widnieje nad tym tekstem. Basia śmiga stylowo, fajnie i w ogóle mucha nie siada.

Poza deskarzami, w jednym prawie rządku stali narciarze z Elvisem na czele: Szczepan Karpiel, Pinki, Jasiek Krzyszlof, Tomek Majewski, Michał Nikliński i inni posiadacze dwóch freestyle'owych desek. Narciarze dawali radę jak najbardziej, choć ich przewrotki wyglądały tysiąc razy gorzej niż snowboarderów, ale ogólnie i jedni i drudzy rządzą – szacun wielki. Jeszcze większy szacun dla wszystkich, którzy dzień wcześniej „podwędzili" trochę śniegu z sesji treningowej i próbowali złoić kozacki wielki rail na ulicy. Nie było łatwo, a Jasiek Krzysztof został nową twarzą okularów brenda.

Final finałów był zacięty, chłopaki się rozjeździli konkretnie i w rezultacie w snowboardach pierwsze miejsce zajął Kubuś Dytkowski – front boardzik przez obydwa pretzel out, drugie zajęli egzekwo człowiek-snow-maszyna Michał Brelok Ligocki i niespodzianka z Warszawy Wojtuś Ryba Rybicki. Ave dla tryumfatorów.

Po części zawodowej zaczęła się część taneczna – tak zwana upojna noc. Oj, upojna była, mówię wam i moje słowo, jeśli Was tam nie było, musi wystarczyć. I tak jest zawsze, jeżeli impreza jest w tym miejscu, w tym gronie i w tym klimacie – można to wziąć za pewnik. Jeżeli w przyszłości dowiecie się, że ktoś z wyżej wymienionych macza swoje paluchy i inne organa w jakiejś imprezie, zawodach lub innych libacjach walcie jak w dym. Pozdrawiam wszystkich.



praktik

Gdyby zrobić ranking najbardziej niedocenianych producentów hip-hopowych, w ciemno można by Praktika umieścić w jego czołówce. Dziwnym trafem ten bardzo utalentowany muzyk, autor dwóch świetnych płyt („IQ" z Dizkretem i solowej „Dobrej częstotliwości"), facet, który dostąpił zaszczytu nagrania wspólnego kawałka z legendą światowego jazzu, Michałem Urbaniakiem, od zawsze stoi w cieniu naszej rapowej sceny. Jeśli jesteście ciekawi dlaczego, przeczytajcie ten wywiad, może trochę Wam wyjaśni tę sytuację

rozmawiał Andrzej Cała
foto Mateusz Kluczek

Powiedziałeś mi kiedyś, że raczej w ogóle nie jarasz się polskimi raperami. Czy jest to jeden z powodów, dla których – poza autorskimi płytami – w zasadzie nie możemy nigdzie usłyszeć Twoich bitów? Z czego wynika to, że w ogóle tak rzadko słyszymy Twoje produkcje – z tego, że pochłania Ci to tak dużo czasu, lenistwa, zniechęcenia ogólną sytuacją na polskim rynku?

Jest kilku raperów, którzy są naprawdę dobrzy. Ale… Fakt, że większość mi nie podchodzi, choć w sumie się tym zjawiskiem nie zajmuję. Staram się po prostu robić swoje, ważna jest dla mnie jakość, nie ilość. Zrobienie numeru, z którego jestem zadowolony, zajmuje mi sporo czasu, a nie utrzymuję się z muzyki, więc nie mogę tylko na niej się koncentrować. Nie mam też tylu sensownych, ciekawych i konkretnych propozycji współpracy.

Nie miałeś jak dotąd szczęścia do wydawców i promocji materiałów, jakie firmowałeś swoją osobą. Czy to bardzo frustrująca sytuacja, że drugi singiel do „Dobrej częstotliwości" pojawił się rok po premierze płyty i to w dodatku jako kawałek promujący nie tyle Twój album, co kompilację Embargo?!

Moją rolą jest robienie muzyki i cały medialny wymiar promowania płyty nie leży w kwestii moich zainteresowań, bo się po prostu na tym nie znam. Wiadomo, że jest to frustrujące, kiedy promocja nie spełnia podstawowych oczekiwań. Niestety, cały rynek w Polsce tak funkcjonuje, więc nie mogę powiedzieć, żebym nie był zadowolony ze współpracy z Embargo.

Jak w ogóle doszło do sytuacji, w której tak bardzo zawalono promocję płyty?! Przecież wiadomo, że jedynym dobrym rozwiązaniem przy albumach producenckich są teledyski i single, bo chociażby sprawa koncertów w zasadzie nie istnieje.

Hmm, odpowiem tak: to pytanie nie powinno być adresowane do mnie, bo tak jak już powiedziałem, ja się kompletnie na tym nie znam. Jeżeli chcesz, to możesz je zadać chłopakom z Embargo.

Powiedz, jak po upływie trzech lat oceniasz „IQ" z Dizkretem i krążek producencki z jesieni 2004 r.?

Ze wszystkiego, co robiłem, miałem w danym momencie satysfakcję. Oczywiście, z perspektywy czasu zmniejsza się ona i wiele bym zmienił w niektórych produkcjach, ale to się korzystnie przekłada na obecne pomysły. Dlatego oceniam te albumy pozytywnie, oczywiście w odniesieniu do momentu, w jakim one powstawały.

Czy jest możliwa reaktywacja projektu Dizkret/Praktik? A jeśli nie, co stoi na przeszkodzie?

Nie ma rzeczy niemożliwych, są tylko w najwyższym stopniu nieprawdopodobne. Trudno mi nawet określić, co będę robił jutro. Dizkret pracuje obecnie nad swoim projektem i myślę, że znajdą się na nim też jakieś moje kawałki.

Często słychać taką opinię, że polscy producenci są mało kreatywni, boją się ryzykować, eksperymentować, szukać czegoś nowego i świeżego. Ty zawsze byłeś blisko jazzu, funku. Czy nigdy nie myślałeś o powołaniu do życia właśnie takiego projektu, o oderwaniu się od hip-hopu?

Nie słyszałem takich opinii. Staram się docierać do rzeczy ciekawych, świeżych, różnych eksperymentów czy czegoś nowego i interesującego, na satysfakcjonującym mnie poziomie i jakoś mi się to udaje. Aktualnie pracuję z Piotrkiem Pacakiem nad projektem, który, mam nadzieję, też taki będzie. Na pewno nie będzie to płyta hip-hopowa. Znajdzie się na niej dużo elementów soulu, jazzu czy różnych eksperymentów. Może wtedy zmieni się ta opinia, jaką przytoczyłeś.

Odbijamy teraz na trochę od muzyki. Pora, żeby czytelnicy dowiedzieli się w końcu czegoś więcej o Praktiku jako człowieku. Czym się zajmujesz na co dzień poza muzyką, bo wiadomo, że z tego w polskim wydaniu mało kto może godnie wyżyć?

Pracuję w sklepie internetowym mojego kolegi: www.astabe.com.

Co tak bardzo urzekło Cię w „Złym" Leopolda Tyrmanda? Z tego co wiem, to Twoja ulubiona lektura.

Jest w niej niesamowicie oddany klimat Warszawy. Tyrmand jest mistrzem w opisywaniu rzeczywistego oblicza miasta. Można się z nią poruszać jak z mapą po większości warszawskich dzielnic dzięki szczegółowości opisów. Spojrzeć na miasto szerzej, dostrzegając liczne bramy, zakamarki i miejsca, na które wyczulona była uwaga Tyrmanda. Niezwykła jest też jego spostrzegawczość i umiejętność wykorzystania gwary do opisania autentyczności warszawiaków, ich cwaniactwa i licznych zamiłowań, głównie mających związek z wódeczką. Prawdziwe oblicze miasta, które niewiele się zmienia przez lata.

Czy są jakieś filmy, do których wracasz ze szczególnym sentymentem?

„Miasto Boga", „Nienawiść", wszystkie filmy Spike'a Lee. Te tytuły na pewno mogę wymienić tu bez wahania.

Codzienna czynność, której najbardziej nie lubisz?

Ranne wstawanie.

Wyobraź sobie, że wracasz po mega męczącym dniu do domu i padasz z głodu. Jakie danie przychodzi Ci jako pierwsze do głowy?

Zupa tajska – ostra krewetkowa.

Jak widzisz perspektywy hip-hopu, w ogóle muzyki w Polsce?

Nie jestem wizjonerem. Nawet nie chcę się nad tym zastanawiać. Zawsze ciągnęło mnie do rzeczy niemainstreamowych i myślę, że takie niszowe rzeczy zawsze znajdują swoich odbiorców. Przynajmniej mam taką nadzieję.

Z tego co wiem, masz bardzo pokaźną kolekcję analogów z klasycznymi nagraniami soulowymi, funkowymi, disco złotej ery. Nigdy nie myślałeś, żeby zacząć gdzieś grać imprezy, sprawdzić się na tym polu?

To prawda. Mam małego fioła, jeśli chodzi o winyle i uważam, że ciągle jeszcze mam ich za mało. Myślałem o tym, parę razy nawet zdarzyło mi się puszczać muzykę na imprezach. Może jak wpadnie mi jeszcze parę płyt i podszkolę się w miksowaniu na gramofonach, to kto wie.

Czy jest jakiś producent, którego nagrania uważasz za idealne, perfekcyjne pod każdym względem?

Quincy Jones, Lee Scratch Perry, Soulquarians, Hi-Tek, Pete Rock, Jay Dee, Kev Brown, Oddisee… Na pewno jeszcze wielu mógłbym wymienić.

Wyobraź sobie, że możesz zrobić płytę z dowolnym zestawem muzyków. Kogo byś obsadził w składzie?

Na perkusji Charles „Poogie" Bell, na basie Pino Palladino, na klawiszach Herbie Hancock, na gitarze George Benson, Roy Ayers na wibrafonie, Roy Hargrove na trąbce, na saksofonie Kenny Garrett, a na puzonie Jeff Bradshaw. Mógłbym wtedy usiąść w fotelu, tylko słuchać i by było pięknie.

Jakie albumy w ostatnim czasie zrobiły na Tobie największe wrażenie?

Platinum Pied Pipers „Triple P" i Dwele „Some Kinda…". Dwa razy Detroit, innymi słowy. Jeżeli ktoś jeszcze nie zna, to gorąco polecam.

Zbliżając się ku końcowi – najbliższe plany Praktika odnośnie muzyki.

Jak już mówiłem, pracuję z Piotrkiem Pacakiem nad naszym materiałem i myślę, że jeżeli wszystko dobrze się ułoży, to w przyszłym roku będzie można usłyszeć efekty. Planujemy też z Desmondem wydać epkę tylko na winylu.

Helen Marnie pochodzi ze Szkocji, Mira Aroyo – z Bułgarii, Reuben Wu jest urodzonym w Anglii Chińczykiem, a Daniel Hunt legitymuje się paszportem Zjednoczonego Królestwa. Mesmeryczna moc muzyki sprawiła, że drogi całej czwórki spotkały się w Liverpoolu. Tam międzynarodowe towarzystwo powołało do życia Ladytron, by już wkrótce później podbić nie tylko wyspiarskie klubowe parkiety. Tytułowany „następcą Kraftwerk" i „najlepiej wyglądającym zespołem świata" Ladytron to przede wszystkim grupa utalentowanych autorów przebojowych, ale i ambitnych piosenek. Wydany niedawno trzeci album Ladytron, „Witching Hour", przerwał trzyletnie milczenie tej świetnej formacji. Długo oczekiwana premiera płyty stała się bezpośrednim pretekstem do przeprowadzenia poniższego wywiadu, którego udzielił mi Daniel Hunt



ladytron

godzina syntetycznych czarownic

rozmawiał Sebastian Rerak

Czy nagrywając „Witching Hour" przyjęliście jakieś określone założenia lub konkretny cel do osiągnięcia?
Myślę, że założeniem było po prostu postawienie kolejnego kroku na drodze do stworzenia kompletnej płyty Ladytron. Chcieliśmy pchnąć sprawy naprzód, zrobić coś większego, lepiej wyprodukowanego i bardziej oryginalnego. Pragnęliśmy też pozbyć się poczucia frustracji, które rodzi się zawsze, kiedy czujesz, że zostajesz określony przez błędne przekonania.

Od wydania poprzedniej płyty, „Light & Magic", upłynęły trzy lata. Sądzisz, że przystępując do nagrania „Witching Hour" byliście bogatsi w wiedzę i doświadczenie?
No cóż, długi czas oczekiwania na nową płytę może być mylący, ponieważ czas poświęcony komponowaniu nie był długi. Skończyliśmy koncertować promując „Light & Magic" we wrześniu 2003 roku, a już w styczniu 2004 mieliśmy gotowe demówki na „Witching Hour". Album był praktycznie ukończony w lipcu ubiegłego roku, ale logistyka wytwórni wstrzymała jego premierę na ponad rok. Zdecydowanie mieliśmy więcej doświadczenia w kwestii koncertowej dynamiki, okiełznywania różnych skłajności. Wydoroślelíśmy też jako ludzie.

Nagrywając „Witching Hour", na większą skalę niż dotychczas korzystaliście chyba z dźwięków żywych instrumentów?
Tak, ale nie w konwencjonalny sposób. Wszystko zostało przetworzone do takiego stopnia, że ciężko jest odróżnić, które dźwięki są syntetyzowane. Własna paleta brzmień jest dla nas czymś kluczowym, znacznie ważniejszym niż korzystanie ze z góry ustalonych dźwięków. Syntezatory są teraz używane w bardzo monotonny sposób, nikt nie zmienia nawet pojedynczego parametru. My chcieliśmy określić nasze własne brzmienia, bez korzystania ze standardowych 303, 909 (numery modeli z klasycznej serii syntezatorów Rolanda – przyp. aut.) itd., itd.

Czy tytuł „Witching Hour" (Godzina czarownic) ma jakieś szczególne znaczenie w kontekście treści albumu?
Ten tytuł był najsilniejszą kontrpropozycją dla roboczego „Soft Power". Wydał nam się po prostu oczywistym tytułem płyty.

Spotkałem się z opinią, że Liverpool, miasto-baza Ladytron, nie jest zwykłym angielskim miastem, ale państwem samym w sobie. Domyślam się, że kosmopolityczny klimat Liverpoolu samorzutnie wpływa na muzykę?
Tak. Liverpool jest zupełnie inny niż jakiekolwiek miejsce w Anglii, jest jedyny w swoim rodzaju. Miejscowy klimat z pewnością hoduje wiele muzyki, sądząc ze statystyk. Biorąc pod uwagę liczbę odnoszących sukcesy muzyków w przeliczeniu na rozmiar populacji, musi być to jedno z czołowych miast na świecie.

Niedawno mieliście okazję wystąpić w Chinach. Czy doświadczyliście jakichś kuriozów tamtejszego systemu?
Mieliśmy mieszane uczucia. Dostrzegliśmy wielki optymizm, ale także bardzo depresyjne rzeczy. Widziałem jakby dwie różne wersje przyszłości tego miejsca. Generalnie jednak było to świetne doświadczenie, zwłaszcza Szanghaj okazał się bardzo szczególnym miastem.

Oprócz grania koncertów z Ladytron, cała Wasza czwórka występuje też jako didżeje. Ludzie często postrzegają set didżejski jako reprodukcję muzyki, w przeciwieństwie do aktu tworzenia, jakim jest koncert. Jakie jest Twoje zdanie na temat obu?
Didżejing jest po prostu inny. Dostarcza radości, służy też pewnemu celowi. Postrzegamy go jako coś zupełnie odseparowanego od koncertów. Koncerty są najważniejsze.

Ladytron powstał na długo przed eksplozją muzyki electroclash, a jednak uznano Was za patronów tego nurtu. Jestem ciekaw, czy starałeś się w ogóle śledzić rozwój sceny electroclash?
Rozmyślnie odcięliśmy się od tej sceny i nigdy nie staraliśmy się w niej uczestniczyć, dlatego żywię małą urazę wobec takich skojarzeń. Nagrywamy albumy pełne piosenek, podczas gdy electroclash jest tylko przedłużeniem techno i house'u, uzupełnionym o nieco bardziej radykalną postawę i duszę. Ta scena wydała kilka świetnych płyt, ale nie sądzę, by którykolwiek z oryginalnych artystów kojarzonych ze zjawiskiem electroclash rzeczywiście chciał być postrzegany jako jego część. Aby cieszyć się prawdziwą kreatywną wolnością, nie możesz pozwolić sobie na zaszufladkowanie.

Zauważyłem, że niemal do znudzenia bywacie pytani o muzyczne inspiracje. Czy to dlatego zdecydowaliście się wydać album „Softcore Jukebox" z wyborem Waszych ulubionych piosenek – aby ujawnić, gdzie tkwią korzenie Ladytron?
Również, ale było w tym też trochę zabawy. Czuliśmy, że ludzie nie znają źródeł naszych inspiracji, ponieważ ciągle mogli przeczytać w recenzjach, że brzmimy jak Kraftwerk (podczas gdy tylko jedna piosenka mogła się z nim kojarzyć) albo Human League. A to zdecydowanie nie są nasze najbardziej motywujące inspiracje.

Ladytron często przykuwa uwagę swoim szczególnym zmysłem estetycznym. Dwoje z Was to zresztą zawodowi designerzy. Czy doświadczenia z designem wpływają w jakiś sposób na muzykę?
Design był naszym zajęciem przez powstaniem zespołu, więc przypuszczam, że zawdzięczamy mu określone poczucie estetyki, ale chyba każdy jakieś posiada. Nie wydaje mi się, żeby było to coś niezwykłego. Większość zespołów bardziej przejmuje się swoim wyglądem niż my.

Przyznasz jednak, że cieszycie się opinią postmodernistycznych dandysów. Nie odnosisz wrażenia, że ludzie często ograniczają zespoły tylko do ich wizualności?
Tak, zawsze powtarzałem, że jeżeli ludzie nie przestaną mówić tylko o naszych fryzurach i ubraniach, ogolimy głowy na łyso i będziemy grać w koszulkach i dżinsach.

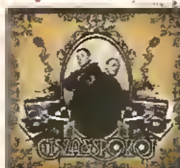
Czytałem, że pewien wpływ wywarł na Was film „Andromeda znaczy śmierć". To chyba jedno z wielu dzieł – filmowych bądź literackich – które mógłbyś wskazać jako fascynacje Ladytron?
„Andromeda znaczy śmierć" wywarła wpływ tylko na niektóre ubrania, jakie kiedyś nosiliśmy. Ten film to tylko futurystyczna wata cukrowa dla oczu. „Nie oglądaj się teraz", „Czas cyganów" czy „Suspiria" miały większy wpływ. J. G. Ballard także był dla nas wielką inspiracją.

Zajmujesz się jeszcze założoną przez siebie wytwórnią Invicta Hi-Fi?
Nie byłem w nią zbyt zaangażowany od blisko czterech lat, ponieważ musiałem skoncentrować się na Ladytron. Ale zespoły, które skaptowałem: Pop Levi, Ant i Dondolo wydały w nim naprawdę dobre płyty. Warto je sprawdzić.

Czy Twoim zdaniem, muzyka pop nadal może (i powinna) rzucać wyzwania?
Myślę, że zarówno może, jak i powinna, ale do pewnego stopnia. Myślę o np. nowym albumie Goldfrapp, który jest pierwszym ich wydawnictwem, które mnie nie ekscytuje. Ale w kontekście masowo wytwarzanej muzyki pop, jest to powiew świeżego powietrza. Muzyczny mainstream znajduje się teraz w stanie przeobrażenia i jest naprawdę dziwny.

Na koniec pozwolisz, że zadam Ci pytanie związane z Twoją drugą po muzyce pasją – piłką nożną. Kibicujesz Liverpoolowi, ale mieszkałeś przez chwilę w Mediolanie. Czy czułeś się nieco rozdarty podczas tegorocznego finału Ligi Mistrzów?
Nawet byłem wtedy w Stambule, grając jako DJ przed meczem dla kibiców Liverpoolu przed stadionem. Nie byłem tak naprawdę rozdarty, ale na pewno martwiłem się, że stracę wszystkich przyjaciół – milanistów, których poznałem podczas pobytu we Włoszech. Na szczęście obyło się bez jakichś animozji. Nadal mogę spokojnie spacerować po mediolańskim Corsa Buenos Aires.


B3
CLOTHING Co.
B3BEFREE.COM


CISZA&SPOKÓJ

BACKYARD DIGGER

no foot x-up / Bydgoszcz





Przynajmniej raz w roku Red Bull przygotowuje imprezę specjalnie dla naszej sceny BMX. Czekały nas trzy tygodnie, trzy miejscówki, na każdej z nich trzy dni pracy i po jednym dniu bmx-owego latania

tekst i foto Kuba Banak

Wybór miejscówek nie był przypadkowy. Każda mocno zapisała się na polskiej scenie i choćby przez szacunek dla tych miejsc i ludzi, którzy tam jeżdżą, Red Bull Backyard Digger zawitał właśnie do nich. Ale dużo ważniejszym powodem było to, że każda z nich jest ogólnodostępna i dawała szansę puszczenia wodzy fantazji w kształtowaniu nowych hop.

Bydgoszcz, 22 – 25 września

Impreza miała formułę jamu, czyli spotkania ludzi połączonych tą samą zajawką, w tym wypadku lotami na 20-calowych „wyczynówkach". Oprócz Bydgoszczy zjawił się Poznań i ich „nieloty": Wróbel oraz Bzyki. Warto wspomnieć o tailwhipie Wróbla pięknie sklejonym na hopie. Z Gdańska przybył Czyngis z Whitetrash team. Sypał turn-downy, sztandarowe już one-foot table, 360-tki i inne. Z Białegostoku mieliśmy naszego „pros-iaka" Janka Pietruczuka. Można się rozpisywać o nim długo, a powiem tylko tyle: 360 table, double barspin to x-up i wystarczy (oczywiście było tego więcej). Gospodarze też pokazali się od jak najlepszej strony. Kuba Stadnicki zaczął ostro no-foot x-up. Gdy zobaczyłem transfer z szóstek na lądowanie od czwórek (dobre 7 metrów), to naprawdę poczułem ból głowy.



Czyngis / turndown / Bydgoszcz



Janek Pietruczuk / barspin / Bydgoszcz



Czyngis / x-up one foot can can / Bydgoszcz



Papież / oldschool no hand / Bydgoszcz

Białystok, 28-30 września

Kolejny tydzień, kolejna miejscówka. Ponownie miasto, którego sława sięga najdalszych zakątków naszego kraju. Załamanie pogody początkowo nie zniechęciło ekipy do przeprowadzenia jamu, jednak tragiczny wypadek drogowy, który wydarzył się 40 km od Białegostoku spowodował, że wszyscy zgodnie zrezygnowali z organizowania jakichkolwiek imprez. Osobiście uważam, że nie było wyjścia i dobrze, że uszanowaliśmy tragedię, powstrzymując się od imprezowania.

Gdańsk, 6-9 października

Trójmiasto należy do miast, które słyną z najprężniej rozwijającej się sceny dirt BMX. Ekipa Whitetrash już dawno dawała znać o sobie, a hopy, na które robiliśmy wjazd, katowane były przez najlepiej rokującego młodego zawodnika w okolicy – Pireta. Na imprezie pojawili się poza tym bydgoszczaki w postaci Kuby, Czaji oraz Krzaka. Warto też wspomnieć o ostrym wjeździe ekipy NorthShore. Nypel i Papież wjechali na miejscówkę z odpalonymi gaśnicami proszkowymi powodując jej zniknięcie w białej mgle.

Chłopaki MTB postawili poprzeczkę naprawdę wysoko. Nypel, któremu przypisuje się robienie back-flipów tylko u siebie w ogródku, szybko uciął te plotki, wykonując co najmniej trzy udane flipy. Czyngis i Piret jednak wyszli z fasonem i nie dali sobie odebrać miana gospodarzy na poziomie. Czyngi uderzył mocną 360-tke z x-upem, a Piret zdusił na dużej hopie świetne oldschool no-hand.

Jam w Trójmieście był finałem całego przedsięwzięcia. Cały tour miał być impulsem do dalszych spontanicznych działań w środowisku. Red Bull Backyard Digger pokazał, że nie trzeba dużo, aby stworzyć fajną miejscówkę do dirt-jumpingu. Wystarczy naprawdę tylko chcieć i zorganizować grupę ludzi, którzy też chcą. Reszta w naszych rękach.

Skróty pochodzą od redakcji. Pełna wersja tekstu na www.slizg.com.pl
Dodatkowe informacje: www.redbull.pl





jasper fforde

szekspir wśród wampirów

Jak scharakteryzować pisarstwo Jaspera Fforde'a, unikając uczonych wywodów o intertekstualizmie i grze konwencjami? Załóżmy, że najsłynniejsze dzieło brytyjskiego pisarza, seria książek o literackim detektywie, nieustraszonej Thursday Next, to opowieść o starszej krewniaczce Buffy, pogromczyni wampirów, która w świecie niczym z "Roku 1984" przeżywa przygody godne "Alicji w Krainie Czarów", poszukując winnych przestępstw popełnianych w klasycznych powieściach. Brzmi niezwykle, ale i pomysły Fforde'a nie należą do konwencjonalnych. Swoje zwariowane wizje Brytyjczyk przenosi na powieściowe karty z brawurą i montypythonowskim poczuciem humoru, a rezultaty tych literackich ekstrawagancji określić można tylko jednym słowem: ffantastyczne!

rozmawiał Sebastian Rerak

Powiedział Pan kiedyś, że w roli pisarza czuje się jak mały dzieciak, usiłujący zwrócić na siebie uwagę. Czy pisarstwo jest istotnie swoistym przedłużeniem dzieciństwa?

Tak. W pracy pisarza wspaniałe jest to, że można fantazjować przez cały dzień, tak jak zwykłem to robić, siedząc w szkolnej klasie jako dzieciak. Teraz też rozmyślam o głupotach, ale dostaję jeszcze za to pieniądze! Tworzenie fantastyki to także sporo ciężkiej pracy, ale i tak bardzo to lubię. Muszę po prostu wpadać na niemądre pomysły, czym zajmuję się już od małego. I w końcu stało się to też moim źródłem utrzymania.

W Pana książkach można znaleźć bardzo wiele nawiązań do klasycznej angielskiej literatury. Ciekaw jestem, czy kiedykolwiek został Pan w jakiś sposób wyróżniony za taką swoistą promocję brytyjskiej kultury?

Jedyną nagrodą jest dla mnie fakt, że ludzie zaczynają się interesować klasyką za sprawą moich książek. Spotykam czasem czytelników, którzy mówią: „Jasper, nigdy nie lubiłem klasyki. Nienawidzę Jane Austen, bo zmuszano mnie do jej czytania w szkole, a Szekspir jest nudny". Niektórzy z nich po przeczytaniu mojej powieści sięgają jednak po Austen lub Szekspira. Otwarłem dla nich zupełnie nowy świat, o którym nie mieli wcześniej pojęcia. Dla mnie to wspaniałe!

Czy nie martwi się Pan jednak, że niektóre z tych odniesień i wewnętrznych dowcipów mogą być niezrozumiałe dla nie-brytyjskiego odbiorcy?

Obawiam się tego, ale kiedy zacząłem pisać, nie wiedziałem nawet, czy moje książki ukażą się w Anglii. Tym bardziej nie miałem pojęcia, że kiedyś zostaną wydane w Polsce, Korei, Chinach czy Rosji, a byłem publikowany we wszystkich tych krajach. W trakcie pisania nie zastanawiałem się, czy za kilka lat będę znany w Polsce, więc może lepiej, jeśli zamieściłbym jakieś nawiązania do polskiej literatury. Zresztą w Anglii też nie każdy wyłapuje wszystkie dowcipy i odniesienia. Staram się jednak stworzyć powieść o kilku różnych poziomach. Ten najbardziej podstawowy to thriller kryminalny, pełen akcji i humoru, wampirów i wilkołaków. Aby czytać książkę na tym poziomie, wystarczy wiedzieć, że Jane Eyre to bohaterka klasycznego romansu, a Szekspir był dramatopisarzem. Można ją czytać mając siedemnaście lat ze względu na humor i wartką akcję, a potem odłożyć książkę na półkę. Ale kiedy sięgnie się po nią znowu po kilkunastu latach, nagle nabierze ona większej głębi. Idea, według której powieść może zmieniać się w miarę dorastania czytelnika, wydaje mi się bardzo ekscytująca. Jest to też pewien eksperyment. Ale nigdy nie spodziewałem się, że zostanę wydany w Polsce. W moich książkach znalazło się kilka odniesień do Polski i języka polskiego, ale to tylko dlatego, że mój dziadek był Polakiem.

Czyli to raczej niemożliwe, aby Thursday miała kiedyś wskoczyć do wnętrza świata jakiejś polskiej książki?

Może gdyby moja powieść została odpowiednio zaadaptowana do polskich warunków, mogłyby się w niej znaleźć nawiązania do waszej literatury. Skoro uczycie się o pewnych książkach w szkole, łatwiej byłoby wam potem załapać wszystkie gagi. Jeżeli w Polsce można bez problemów żartować z czołowych powieściopisarzy, to taka książka z pewnością zadziałałaby o wiele lepiej. Tyle że moja publiczność to w większości czytelnicy angielscy. Czasem wspominam o nie-angielskich pisarzach, np. Franzu Kafce, zamierzam też wprowadzić jakieś nawiązania do Victora Hugo, ale to są nieliczni zagraniczni autorzy znani Brytyjczykom. Wasz najsłynniejszy wieszcz, Mis... Misz...?

Mickiewicz.

Jest zupełnie nieznany w Anglii. Mógłbym o nim wspomnieć, ale przeciętny angielski czytelnik nigdy o nim nie słyszał.

Podobno każdy główny bohater powieści jest do pewnego stopnia odbiciem autora. Czy ma Pan coś wspólnego z Thursday Next, oczywiście oprócz samochodu?

Tak, pożyczyła mi swój samochód, to było bardzo miłe z jej strony. Oddam jej go, kiedy tylko wróci. Czy mam coś wspólnego z Thursday? Hmmm, kiedy wymyślasz postaci, są one zazwyczaj ludźmi, których chciałbyś znać lub takimi, którymi chciałbyś być. Thursday ma w sobie wiele cech, które chciałby mieć każdy. Ma silną wolę i bardzo wyraźne poczucie dobra i zła. W dodatku nie jest interesowna, postępuje zawsze zgodnie ze swoim przekonaniem. Ludzie są zazwyczaj bardzo egoistyczni, ale ona jest zupełnie inna i to mi się w niej bardzo podoba.

Pracował Pan kiedyś jako asystent kamerzysty. Domyślam się, że lepiej czuje się Pan w roli pisarza, mając kompletną kontrolę nad opowiadaną historią niż jako szeregowy członek ekipy filmowej.

Zdecydowanie tak. Praca asystenta kamerzysty nie jest kreatywna i nie dostarcza żadnej satysfakcji. Musiałem ciągle wysłuchiwać: „Jasper, przynieś mi kawę! Jasper, wstań! Jasper, siadaj! Jasper, stań na jednej nodze!" Jako autor mogę robić wszystko, na co mam ochotę. Jestem nie tylko reżyserem, ale także scenarzystą, scenografem i wszystkimi aktorami! Pisanie prozy to niesamowity sposób bycia twórcą filmowym dla samego siebie. Tęsknię trochę za pracą w przemyśle filmowym, ponieważ lubię ludzi w nim pracujących. Filmowcy to dziwni ludzie, typ wyrzutków, bardzo inteligentnych i zabawnych. Z drugiej strony jednak nie tęsknię za staniem w szczerym polu w ulewnym deszczu i kręceniem reklamówki dla jakiegoś beznadziejnego produktu (spoglądając wymownie na Coca Colę stojącą na stole).

Czy to z racji doświadczeń z przemysłem filmowym jest Pan niechętny pomysłowi ekranizacji przygód Thursday Next?

Zdecydowanie! Wiem, jacy są producenci – kłamią, ilekroć otwierają usta. Kiedy mówią, że chcą zapewnić jak najlepszą realizację mojego projektu, wiem, że nie jest to prawda. Oni chcą tylko zarobić jak najwięcej pieniędzy na mojej pracy i zrobią wszystko, by osiągnąć swój cel. Dla kasy zaangażują Vina Diesela do roli Thursday, przeniosą akcję do Ameryki, w historii nie będzie żadnych odniesień do książek, a sam film będzie opowiadał o narkotykach. Mnie pozostanie wtedy pomyśleć: „Co za kupa gówna! To nie ma nic wspólnego ze mną". Najłatwiejszy sposób, by nie dopuścić do przerobienia książki na zły film, to nie sprzedawanie praw do niej. Zwłaszcza że producenci chcą praw do wszystkiego – do realizacji sequela, do postaci, do gadżetów. Dlatego nie zamierzam sprzedać mojej książki. Może dobrze jest mieć trochę pieniędzy, ale czy warto pozwolić, by dzieło pracy kilku lat, które wielu ludzi zdążyło pokochać zamieniono w wielki chłam? A zatem odpowiedź brzmi nie.

Książki o Thursday Next należą do tych nielicznych powieści, które zjednały sobie bardzo wielu fanów. Jak czuje się Pan ze świadomością, że Thursday ma tak liczne grono admiratorów?

To bardzo schlebiające i naprawdę cudowne dla mnie jako autora. Staram się jednak nie zwracać zbytniej uwagi na oczekiwania odbiorców. Myślę, że autor powinien pozostać niezależny od czytelników, choć musi ich szanować. To w końcu czytelnicy dają mi zarobek i w zamian za to muszę im dostarczyć książkę. Jest to pewien kontrakt między odbiorcą a twórcą. Muszę dostarczać ludziom rozrywki i to właśnie staram się robić. A zatem ilekroć piszę nową książkę, staram się, by była lepsza od poprzedniej, próbuję wykorzystywać nowe pomysły, z których wcześniej nie korzystałem.

A nad czym obecnie Pan pracuje?

Pracuję nad kryminalnym thrillerem opartym na dziecięcych czytankach, a także nad piątą częścią przygód Thursday Next. Seria o Thursday liczy już cztery tytuły, z czego dwa ukazały się w Polsce, a trzeci zostanie tu wydany w marcu przyszłego roku. Planuję także realizację kilku innych projektów. W najbliższym czasie zamierzam łącznie napisać trzy lub cztery książki. A jeśli będę miał jeszcze trochę czasu, to przeznaczę go na napisanie kolejnych książek (śmiech)!



all blacks

tekst Mateusz Orłowski

Na wstępie wypada napisać nieco o ojczyźnie bohaterów tej publikacji, ponieważ jest to niezwykle istotne w pojęciu zjawiska All Blacks. Tym specyficznym i niewątpliwie pięknym krajem jest Nowa Zelandia. To wyspiarskie państwo położone jest w południowo-zachodniej części Oceanu Spokojnego, 1600 km na południowy-wschód od Australii. Obejmuje ono dwie duże wyspy – Południową i Północną, oddzielone cieśniną Cooka – oraz szereg małych wysp. Nowa Zelandia jest wielkości Wielkiej Brytanii, a zamieszkuje ją tylko 3,9 miliona ludzi. Do roku 1947 pozostawała kolonią brytyjską, obecnie jest jednak państwem w pełni niepodległym, pozostającym we Wspólnocie Brytyjskiej, a angielska królowa jest formalnie (a raczej symbolicznie) głową państwa. Kraj ten charakteryzuje się bardzo zróżnicowanymi i zatykającymi dech w piersiach krajobrazami. Tak więc, mamy tu piękne podzwrotnikowe lasy i puszcze, piaszczyste plaże, fiordy, lodowce, sawannę i busz, a także rozległe łańcuchy górskie w Alpach Południowych, większe niż francuskie, austriackie i szwajcarskie Alpy razem wzięte.

Pomimo tak małej ilości mieszkańców, Nowa Zelandia to prawdziwy kraj sportowych sław. Alpinista Ed Hillary jako pierwszy człowiek potrafił poskromić Mt. Everest, chociaż nie dawano mu wielkich szans. Dzięki swemu osiągnięciu jeszcze za życia umieszczono go na nowozelandzkim pięciodolarowym banknocie. Ivan Mauger i Barry Briggs to legendy żużlowych torów (popularni nawet w Polsce), a David Tua to ich Andrzej Gołota. Ciekawostką jest również zamiłowanie mieszkańców tych wysp do golfa. Faktem jest, iż Nowa Zelandia ma najwięcej na świecie pól golfowych w przeliczeniu na jednego mieszkańca, czyli ponad 400 na ok. 4 mln mieszkańców.

Ogromną popularnością cieszy się tam również żeglarstwo, uważane za jeden ze sportów narodowych. „Kiwis", jak się potocznie nazywa Nowozelandczyków, mają słuszne poniekąd przekonanie, że są najlepszymi żeglarzami na świecie. Na tę opinię wpłynęło zapewne zdobycie Pucharu Ameryki (jako pierwsi nie-Amerykanie) w San Diego w 1996 roku, a potem jego obrona w Auckland w 2000 roku. Nawet postulowali zmianę nazwy pucharu na Puchar Nowej Zelandii, co doprowadzało jankesów do szału. Jednak sportem, który ma tam rangę kultu, jest oczywiście rugby, a ich narodowa reprezentacja All Blacks ma opinię narodowych bohaterów i powszechnie uwielbianych herosów.

W Nowej Zelandii w jajowatą piłkę zaczęto grać w 1870 roku. Wtedy właśnie odnotowano pierwszy mecz rugby w tym kraju (14.05.1870 r. w mieście Nelson). Już pięć lat później grano na całych wyspach. W 1884 roku natomiast odnotowuje się pierwszy mecz na wyjeździe drużyny z kraju kiwi. Grali oni z Nową Południową Walią (Australia), a data ta jest o tyle istotna, że wtedy to po raz pierwszy nowozelandczycy (grający wtedy jeszcze w niebiesko złotych strojach) odtańczyli swój rytualny taniec zwany Haka (taniec wojenny Maorysów), z którego All Blacks, jak się ich obecnie nazywa, słyną do dziś. Świat o nowozelandzkim rugby usłyszał w 1889 roku, kiedy to ich rugbiści przypłynęli na turniej do Anglii.

W 1892 roku powstała Nowozelandzka Unia Rugby (New Zeland Rugby Union), a reprezentację oficjalnie nazwano All Blacks. Od tego właśnie momentu zaczęła się ich legenda. Już na początku XX wieku pływali oni po całym świecie uczestnicząc w turniejach rugby, w których szybko stali się światową czołówką. Wtedy też zostali bohaterami swojego kraju leżącego na krańcach świata. Siłą drużyny była determinacja wojowników walczących z dala od swego domu. W tych czasach ich głównym wrogiem była Walia, która po pewnym czasie ustąpiła lokalnemu rywalowi Nowej Zelandii – Australii. Dziś największym powodem do dumy dla Nowozelandczyka jest zwycięstwo „czarnych" w bitwie odwiecznej wojny, nad Australijczykami. Wierni kibice All Blacks jeżdżą za swoją drużyną po całym świecie, a ze względu na swe położenie geograficzne, podróżują często i zazwyczaj na duże dystanse.

Żeby oddać ogrom zjawiska, jakim jest uwielbienie i fascynacja rugby w Nowej Zelandii, wystarczy przytoczyć fakt, że na niespełna 4 mln jej mieszkańców około 2,5 mln jest zrzeszona w Nowozelandzkiej Unii Rugby. Nie są to de facto ludzie uprawiający rugby, lecz osoby utożsamiające się z tą dyscypliną sportu i ją wspierające (każdy płaci składki członkowskie na Unię). Fascynacja rugby posunęła się nawet do tego stopnia, że na Uniwersytecie w Wellington otwarto





Haka (Ka Mate)

Ka mate, ka mate! Ka ora, ka ora!
Ka mate, ka mate! Ka ora, ka ora!
Tenei te tangata puhuruhuru
Nana i tiki mai whakawhiti te ra!
A hupane, kaupane
A hupene, kaupane whiti te ra!
Hi!

To jest śmierć! To jest śmierć!
To jest życie! To jest życie!
To jest śmierć! To jest śmierć!
To jest życie! To jest życie!
To człowiek ponad mną
Który umożliwił mi życie
Kiedy wspinam się krok po kroku
W stronę słońca!

wydział związany z tym sportem, na którym naukowo podchodzi się do niego, opracowując między innymi ulepszenia strojów. Tam właśnie zaprojektowano nowe śliskie i wytrzymałe koszulki zawodników, które trudniej jest pochwycić.

Rugby uprawiane przez All Blacks jest niezwykle widowiskowe, ofensywne i czyste, stąd rzesza ich wielbicieli na całym świecie. Ich atutami jest nieprawdopodobna technika poparta szybkością i siłą fizyczną. Wiąże się to z tym, że w NZ niezwykle rozwinięty jest system szkolenia młodzieży i powszechne, narodowe uwielbienie tej dyscypliny sportu. Dzieci już od małego bawią się jajowatą piłką. Bardzo popularne są też tzw. trzynastki, gra pokrewna do rugby, oparta na nieco innych zasadach. Trenerzy i zawodnicy nowozelandzcy nie bez kozery uważani są za najlepszych specjalistów na świecie i pożądani przez wszystkie kluby świata. Głównym problemem trenerów All Blacks jest przysłowiowe „osiołkowi w żłobie dano", czyli dylemat obfitości wyboru. Mają tylu dobrych zawodników, że można by nimi obsadzić nie jedną, lecz kilka narodowych reprezentacji.

Największą współczesną legendą All Blacks jest Jonah Lomu. Ten urodzony w 1975 roku zawodnik zadebiutował na arenie międzynarodowej w 1995 roku w Pucharze Świata, by już podczas następnych mistrzostw w 1999 roku stać się ich największą gwiazdą. Niestety, ten uwielbiany na całym świecie zawodnik dwa lata temu zachorował poważnie na nerki, a jego kariera została w ten sposób drastycznie przerwana. Ostatnio jednak zapowiedział swój powrót na boisko. Niestety, jego słaba jeszcze forma nie pozwala mu wrócić na ojczyste boiska, na które jest jeszcze zwyczajnie za słaby. Dlatego też swoje pierwsze po chorobie kroki będzie stawiał w angielskich klubach.

Jeżeli mowa o All Blacks, ciężko – po odejściu Lomu – wybrać z nich jakąś indywidualną supergwiazdę, ponieważ cała drużyna to prawdziwy „Dream Team" rugby. Wszyscy w niej grający zawodnicy to rewelacyjni gracze. Obecnie kapitanem drużyny, czyli i wodzirejem haki, jest charyzmatyczny Tana Umaga, jednak każdy inny może go w dowolnej chwili zastąpić.

Światowe rozgrywki rugby rządzą się swoimi prawami i regułami, dla większości ludzi niezrozumiałymi, „kiwis" jednak znają kalendarz rozgrywek na pamięć. Tak więc, jest turniej „Super 12", czyli turniej klubowy drużyn z NZ, RPA i Australii. Przyjętą w świecie rugby regułą są wyprawy (swoiste tournee) na tzw. test mecze narodowych reprezentacji z Oceanii do Europy i odwrotnie. Do tego dochodzi jeszcze Puchar 3 Narodów, czyli Nowej Zelandii, Australii i RPA, który powstał w odpowiedzi na europejski Puchar 6 Narodów. Właśnie „Three Nations Cup" uważany jest w kraju kiwi za najważniejsze wydarzenie roku, no chyba że akurat jest to rok World Cup. Puchar Świata rozgrywany jest co cztery lata, począwszy od roku 1987, w którym to pierwsze tego typu zawody rozegrane zostały właśnie w Nowej Zelandii, a wygrali je gospodarze. Jest to, o dziwo, jedyny puchar Świata zdobyty przez All Blacks.

Właśnie począwszy od powstania tych najbardziej prestiżowych zawodów datuje się początek profesjonalnego rugby. Wtedy to magnat medialny Rupert Murdoch (właściciel News Corporation oraz tytułów takich jak „The Sun", „New York Post", „The Times", sieci telewizji Sky i Fox oraz wytwórni filmowej Twentieth Century Fox zainwestował w rugby i nadał tej dyscyplinie cechy profesjonalizmu.

Rugby wciąż się rozwija i zyskuje coraz więcej sympatyków na całym świecie (klasycznie największą zajawkę mają Japończycy). Przedsięwzięte są już nawet kroki, aby uczynić rugby sportem olimpijskim na igrzyskach w 2012 roku. Jak na razie w 2007 roku we Francji odbędzie się kolejna batalia o Puchar Świata i jak zwykle w gronie faworytów znajdą się niepowtarzalni All Blacks. Jak będzie, zobaczymy. Jedno jest pewne, dla Nowozelandczyków rugby jest religią, a All Blacks to jej bogowie.

Medaliści Pucharu Świata

rok	złoto / srebro / brąz
1987	N. Zelandia / Francja / Walia
1991	Australia / Anglia / N. Zelandia
1995	RPA / N. Zelandia / Francja
1999	Australia / Francja / RPA
2003	Anglia / Australia / N. Zelandia

Podziękowania dla Kapsztada. Powodzenia w podróżach, chłopaku.



NOWA TWARZ
Gres i Snatch – Łódź pełna nocy

tekst Marcin Flint
foto J. Sojka (cage47@gmail.com)

Symbolikę nocy określała nie tylko geografia, ale historia, literatura, psychologia i wiele innych dziedzin. Jak Wy ją odcyfrowujecie? Co noc dla Was znaczy?
Snatch: Noc można interpretować na milion różnych sposobów! Dopiero podczas pracy nad EP zacząłem zwracać uwagę, jak często jest inspiracją dla bardzo różnych ludzi i ich twórczości. Często jej symbolika jest bardzo prosto przedstawiana i to trochę boli, ale czasem jest rozkminiana w taki sposób, że aż ciarki przechodzą...
Gres: Dla mnie noc to ocean, ogromna niezmierzona materia o bardzo specyficznych właściwościach. Może dawać ukojenie, gdy jest spokojna i cicha lub niszczyć wszystko na swojej drodze podczas sztormu. Jak mówi Snatch, zawsze inspirowała, choć jest też odwiecznym tłem dramatycznych wydarzeń. Mimo że tak naprawdę jest niematerialna, każdy z nas nosi jej małą cząstkę w sobie. Nie można jej unicestwić, można nauczyć się z nią żyć.
Czy chcecie, by „Noc" odbierać jako koncept-album? Wyjaśnijcie czytelnikom, co – poza rzecz jasna twórcami – łączy utwory.
Gres: Łączy je klimat nocy, wszystkie miały nieść jej ducha. W czasie pracy nad płytą powstało dużo podkładów czy tekstów, które odpadły, bądź zastępowane były innymi właśnie w celu zachowania tej spójności. Warto zwrócić uwagę na osobę Pana X, który niczym nasz nocny Pan Cogito zdaje się być świadkiem lub bohaterem większości wydarzeń, o których na płycie mowa. Wiele wątków łączy się w punkcie kulminacyjnym, jakim jest tytułowy utwór „Noc". Wtedy dopiero, słuchacz ma możliwość ogarnąć całość, w jaką już na samym początku płyty zaczynają wprowadzać go słowa „był wieczór, nadeszła noc". Głos ten pojawia się parokrotnie na płycie, zamykając ją jednocześnie w ramy.
Snatch: To fakt, chcieliśmy, żeby EPka była bardzo spójna zarówno muzycznie, jak i tekstowo, żeby w całości opowiadała jakąś historię, jako że jest to właśnie koncept-album. Na następnej płycie na pewno zaprezentujemy zupełnie inny klimat. Muzycznie nie chcę już wracać do takiej stylistyki.
Ostatnio uczestniczyłem w audycji w radiu studenckim. Dotyczyła kiczu. Prowadzący cytował Twoje teksty, Gres, by służyły za jego przykład. Zarazem powoływał się też na opinie mówiące, iż jesteś „najlepszym raperem wśród poetów, bądź najlepszym poetą wśród raperów". A Ty gdzie widzisz swoje miejsce?
Gres: Nigdy nie aspirowałem do miana poety. Mój sposób myślenia i postrzegania świata dojrzewa i zmienia się wraz ze mną, wciąż uczę się również sprawnego operowania słowem.
Na pewno to nie koniec ewolucji mojego „poetyckiego" stylu. Duży wpływ na sposób pisania od zawsze miała ta nocna, neurotyczna część mojej osobowości. To ona sprawia, że zamiast ogromnych słupów trakcji elektrycznej na polu za moim osiedlem widzę odwiecznych strażników cywilizacji.
Pytanie do Snatcha. Czytasz wiersze?
Snatch: Tak. Często podczas pracy nad EP zdarzało się tak, że wykopując jakiś winyl z poezją, czytałem wiersze, które są na nim nagrane, bo po prostu nie chciało mi się ich słuchać i wtedy trafiałem na jakieś ciekawe, nieznane mi do tej pory rzeczy! Także digging poszerza horyzonty nie tylko muzyczne (śmiech).
Pytałem, bo ciekaw jestem, czy rozmawiasz z Gresem na temat interpretacji jego kawałków, czy jesteś raczej z tych, którzy mając już nagrany kawałek siedzą sobie wieczorem w domu i myślą na jego temat. Nie łapiesz się na czymś w rodzaju: „Znam tego chłopaka kupę czasu i nie wiem, z którego zakątka siebie wydobył takie wersy".
Snatch: Powiem Ci, że wolę z nim nie rozkminiać jego tekstów z uwagi na troskę o moje zdrowie psychiczne (śmiech). A tak na poważnie, to czasem staram się mu podsunąć jakiś pomysł na numer wstawiając jakiś cut, bądź nazywając w jakiś szczególny sposób bit... Mam straszną zajawkę na polskie „spoken wordy" i nie chodzi mi tu o łatwo dostępne lekcje języków obcych czy bajki, a raczej o rarytasy pokroju wierszy, ballad, sztuk teatralnych czy przewodników wytłoczonych na winylach. A jeśli chodzi o wersy, to owszem zaskakuje mnie, ale wiem, że może być jeszcze lepiej!
Ja jestem nocnym markiem, ale jestem ciekaw, kiedy Wy tworzycie. I czy próbowaliście pracy po bezsennych nocach. Tricky uważał, że wydziela się wtedy hormon dający większy haj niż alkohol i narkotyki.
Gres: Jest coś w tym – zauważyłem, że jeśli pokonam senność i zmęczenie, to po nieprzespanej nocy mój mózg działa odrobinę inaczej. Pojawiają się w nim myśli i skojarzenia, które normalnie nie zostałyby wyłapane, zagłuszone setkami innych spraw i bodźców. Wykorzystuję to, gdy tworzę. Większość tekstów została napisana, gdy już świtało, o 3 czy 4 nad ranem. To bardzo dziwny stan, koncentracja zawierająca drobne elementy podróży astralnej. Można się nauczyć to kontrolować i wykorzystywać. Zostało to ponoć naukowo udowodnione.
Snatch: Ja nigdy nie próbowałem, chociaż sypiam raptem 4-5h nad dobę. Wszystkie bity na EPkę (jak zresztą większość moich produkcji) również powstawały w nocy, a to dlatego, że w dzień nie mam na to czasu i jest 1000 innych spraw do ogarnięcia. W nocy mam tę atmosferę i mega spokojny klimat...



Gres schodzi czasem na ziemię: „4 kroki" opowiadają o wydarzeniach w Łodzi. Ja w Warszawie nie do końca rozumiałem, co tam się stało. Studenci, pseudokibice, ostra amunicja zamiast gumowej, gwałtowne szukanie winnego. Wy musieliście odczuć to daleko bardziej.
Gres: Następnego dnia w ramach żałoby nie zagraliśmy koncertu, a mieliśmy to zrobić właśnie w jednym z klubów w tym miasteczku studenckim. Niech ten utwór będzie hołdem dla ofiar tamtych wydarzeń.
A tak na marginesie, czy cztery kroki to dużo?
Snatch: Bardzo mało, ale mogą znaczyć bardzo dużo!
Gres: Niestety, jak pokazuje historia, niektórzy myśleli, że wręcz zaniedbywalnie mało.
Czy chcielibyście doświadczyć nocy polarnej? Jak przewidujecie swoją reakcję na pół roku w ciemnościach i pół roku bez nich?
Snatch: Ja bardzo bym chciał, choć myślę, że ciężko byłoby mi się przestawić na tryb dnia polarnego. Dodam jeszcze, że z notatek uczonych ze stacji polarnej na Antarktydzie wynika, że im noc polarna dłuższa, tym pingwiny wydają się atrakcyjniejsze (śmiech).
Gres: Pół roku w ciemnościach to wcale nie takie mi obce. Gdy piszę teksty nocami, to budzę się, gdy już za dużo światła nie zostało, szczególnie zimą. Śpię do piątej czy szóstej po południu. Gorzej jak w tygodniu jeżdżę od rana na uczelnię, wtedy mój zegar biologiczny jak dobry skate robi 180' bez mrugnięcia okiem. Nie wyobrażam sobie jednak żyć, gdyby nocy nie było.
Jakieś pomysły na to, co mogłaby odkryć „ekspedycja do wnętrza nocy"?
Gres: Wszystko zależy od tego, przez jaki pryzmat patrzysz na noc. Mi pozwoliło to wyleczyć się z wcześniej nieokreślonych lęków, zrozumieć niektóre swoje błędy.
Snatch: Myślę, że nasza odpowiedź znajduję się już na EP...

Pełen wywiad na www.slizg.com.pl i www.gressnatch.prv.pl





BITWA O ANGLIĘ VOL. 5
BLADE (oraz Mark B)

Na długo zanim pierwszy z Waszych ziomów wyemigrował do Londynu pracować na zmywaku, walcząc o lepszej jakości życie, on już tam był i znał wszystkie sekrety czyszczenia restauracyjnych garów. Blade – zwykły chłopak z Iranu (o ile kogoś pochodzącego z tak dumnego narodu można nazwać zwykłym), który nagle odkrył w sobie zajawkę rapera i postanowił wykorzystać wszystkie sposobności, by zrealizować się na tym polu.

Był schyłek lat 80. ubiegłego wieku i brytyjski hip-hop uczył się dopiero raczkować, więc prawdziwym problemem było znalezienie sobie producenta o odpowiednim brzmieniu i wydawcy, który będzie wiedział ocb. Ponieważ jednak Blade, zdany na siebie od 7 roku życia (taka jest oficjalna wersja), był człowiekiem czynu, postanowił sam zgłębić tajniki robienia bitów. Kiedy już nagrał pierwszy singiel, z którym chciał wyjść do ludzi („Lyrical Maniac"), postanowił nie sprzedawać swojej duszy diabłu za kontrakt i założył własny label 691 Influential. Płyty dystrybuował za pośrednictwem poczty, z bagażnika swego samochodu czy poprzez kolegów swoich kolegów. Osiągał w ten sposób sprzedaż 60.000 sztuk różnych singli, a przypomnijmy, że było to na długo zanim Internet stał się przytułkiem dla niezależnych artystów i ich tablicą reklamową.

Przez niemal 10 lat Blade rzadko dzielił się z kimś pracą nad albumami. Wśród kilkunastu singli i epek tylko na kilku pojawiają się gościnnie inni producenci, czasem zapraszany był także DJ Grazzhoppa, by zrobić to, co do dj'a hip-hopowego należy. Wszystko zmieniło się na przełomie 97 i 98 roku, gdy poznał swego długoletniego łana Marka B (bo choć dziś tego może nie być widać, na początku lat 90. nasz bohater był prawdziwą legendą na Wyspach i darzono go sporą estymą). Ich współpraca zawsze określana była mianem projektu, każdy z nich mógł więc pracować nad innymi rzeczami nie powodując powstania niezdrowej atmosfery zawiści. Chemia między artystami była świetna. I tak w roku 1998 nakładem wytwórni Jazz Fudge ukazała się epka „Hitmen for Hire". Okazało się, że to jest to. Każdy, kto w tym czasie słuchał rapu w Wielkiej Brytanii, znał też przynajmniej jeden numer z tego albumu. Dwa lata później zachęceni gorącym przyjęciem Mark B i Blade nagrali wspólnie LP „The Unknown" (tym razem wydany został nakładem Influential, ale przy współudziale dystrybucyjnym World Play Records). Tytuł okazał się przewrotny, albowiem krążek zadebiutował na wysokich miejscach brytyjskich list przebojów, a tracklista albumu do złudzenia przypomina listę wydanych do niego singli.

Na „The Unknown" Blade'owi udało się zgromadzić kilku starych znajomych i kilku młodych kotów, o których zaczynało być dopiero głośno. Był tam Skinnyman, znany Wam już Lewis Parker czy Chester P z Task Force, które pewnie poznacie za czas jakiś. Skrecze tymczasem wykonywały takie tuzy jak reprezentant Scratch Perverts Primecuts i Mr. Thing związany z DJ'em Vadimem.

Po reedycji singla „Ya Don't See the Signs" z kontrowersyjnym remiksem tytułowego utworu wykonanym przez rockowy zespół Feedem (z którym Blade występował na trasie koncertowej), duet ropersko-producencki postanowił od siebie odpocząć. Mark B zajął się w tym czasie Task Force, a Blade wyścigami konnymi. I o ile to pierwsze było faktem, drugie okazało się plotką, którą prawdopodobnie sam Irańczyk wymyślił, by podsycić ciekawość fanów przed wypuszczeniem w 2004 roku dwóch świetnych solówek – „Storms Are Brewing" i „Blow You Out of the Frame". Cóż, nikt z miłośników stylu Blade'a się nie zawiódł, a wręcz słychać było głosy, iż jest to esencja tego, co artysta ma do zaoferowania. No właśnie, w zasadzie ciągle nie wspomniałam o tym elemencie. Otóż Blade to klasyczny przykład rapera poprawnego. Nie błyszczy erudycją, nie jest królem punchline'ów ani mistrzem szarżującego stylu. Jego siłą jest prosty i mocny przekaz, dobrze poukładany i równy flow, przebojowe refreny. Raz angażuje się w politykę, raz pisze braggadocio, a innym razem narzeka na to, co go gryzie. Oczywiście, jest tu szczypta humoru, szczypta złośliwości, ale żadna z tych cech nie wybija się na pierwszy plan, przyczyniając się do zaszufladkowania Blade'a. Muzycznie prezentuje on również bardzo klasyczne brzmienia – esencjonalne perkusje z pociętymi samplami, czasem loopy, dobry skrecz. Sprawdza się tu stara zasada o pięknie prostoty, bo robiąc nieprzekombinowany hip-hop artysta ten jest w stanie przyciągnąć do siebie słuchaczy nawet teraz – w dobie przesycenia i rozgrymaszenia rynku. Może dzieje się tak również dzięki pozytywnej energii, którą raper przekazuje podczas swoich występów – to jeden z niewielu białych, którzy potrafią być tacy żywiołowi i tak świetnie łapią kontakt z imprezowiczami. A może to po prostu miłł chłopaka, który zaczął od sprzedawania płyt z reklamówki pod blokiem, a skończył pod skrzydłami sporej wytwórni?

Cess (CS)

RECENZJE
sk8



Control
Hel

Pod tym ćpuńskim tytułem kryje się całkiem udane dzieło rodem z Finlandii. Deskorolkowcy z tego kraju jeżdżą i wyglądają bardzo charakterystycznie. Praktycznie skatera z kraju Suomi rozpoznajemy na pierwszy rzut oka. Taka jest też deskorolka w tym filmie – nieco dziwna. Niby wszystko jest tak, jak wszędzie na świecie. Mamy normalne triki na murkach, schodach itp. Jednak jest w tym filmie coś takiego, że nie nazwiemy go typowym skate video – Finowie po prostu mają swoją prywatną jazdę. W filmie występuje team Control, składający się głównie z mieszkańców Helsinek. Widać, że w mieście panuje klimat industrialny. Nie uświadczymy tam typowych, lśniących marmurem spotów, tylko brudne, asfaltowe, gdzieniegdzie dziurawe ulice. Nie przeszkadza to jednak głównym bohaterom filmu. Ciężko powiedzieć, czyj przejazd najbardziej mi się podobał, z uwagi na to, że skaterzy jeżdżą dość podobnie do siebie, a poza tym ich nazwiska również zlały mi się w jedną całość (coś jak fińscy skoczkowie narciarscy – niby jest ich wielu, a wszyscy wyglądają tak samo). Najlepiej film ten oglądać po prostu jak jedną całość. Żeby jednak spełnić dziennikarski obowiązek, wymienię osoby występujące: Valtteri Kivela, Paul Ahero, Jani Peltonen, Tomi Stankevitsch, Tatu Engestrom, Jasper Tainio, Mikko Kivikoski. Niestety, zupełnie inną jakość stanowi kręcenie. Jest ono momentami bardzo kiepskie, co przeszkadzało w oglądaniu. tDi Di



Element
Rise up

Europejski Element długo zapowiadał tę produkcję w comiesięcznych reklamach w prasie. Śmiało mogę powiedzieć, że warto było czekać na efekt finalny. Każdy z teamriderów ma bardzo wyczerpujący materiał, każdy z nich jeździ inaczej od reszty, co wpływa bardzo korzystnie na odbiór filmu – nie nudzi on ani przez chwilę. Video to zrobione jest z ogromnym rozmachem, co widać, gdy miejscówki zmieniają się jak w kalejdoskopie. Europejski team Elementa dotarł w wiele mało znanych z deskorolki miejsc. Odwiedzili m.in. Grecję, Słowenię, Chorwację i Estonię. Nie mogło jednak zabraknąć też Hiszpanii i USA. Jak już wspomniałem, każdy z występujących w filmie bardzo przyłożył się do nagrywania: Michael Mackrodt, Niemiec z Berlina, pokazał, że jest super-wszechstronnym skaterem, potrafiącym odnaleźć się w każdej sytuacji. Jean Marc Soulet ze Szwecji jest białym wcieleniem czarnoskórych raperów i jego przejazd przypomina teledysk hip-hopowy (bardzo mocna rzecz). Bas Jaansen jest elementowym królem flipów ze schodów i skarp – wszystko wykonuje na potwornym luzie. Pierwszy z Finów, Pirka Polari, demonstruje to, co w deskorolce podoba mi się najbardziej, czyli idealnie wykonane triki na przeróżnych miejscówkach. Jo Lorenz, maszyna kontestowa, też nie próżnował podczas nagrywania – jego triki z nollie (czyli wszystkie, bo nie ma on żadnego numeru robionego na swoją nogę) zasługują na pełen szacunek. Sebastian Hepp już dawno przyzwyczaił mnie do super trudnych trików i do kompletnie beznadziejnego stylu jazdy (jednak poziom trików rekompensuje brak elegancji deskorolkowania). Na koniec mamy przejazd Jaane Saario. Dla jednych jest on nowatorem tworzącym nowe perspektywy, dla innych – kręcącym się w kółko gościem. Sami sprawdźcie i wyróbcie sobie zdanie... Film ten bardzo polecam i czekam na kolejne tak dobre europejskie produkcje. tDi Di



Filharmonia
Feel harmony

Całkiem niedawno wpadła mi w ręce produkcja filmowa rodem z Białegostoku. W mieście tym chłopaki mają niewielką, ale bardzo silną scenę, czego dowodem jest niniejsze video. O tym, że Krzysiek Poskrobko z kolegami potrafią jeździć, wiedziałem od dawna, ale to, że na dalekim wschodzie powstał bardzo ciekawy film, było dla mnie wielką niespodzianką. Autor filmu, Tomek Narewski, bardzo postarał się, aby „Feel Harmony" było jak najlepiej ocenione. Oprócz jazdy możemy obejrzeć dokonania Tomka w dziedzinie grafiki komputerowej, animacji i nawet efektów specjalnych. Co najważniejsze, duża ilość tych rzeczy wcale nie psuje klimatu filmu, który jest po prostu dziwny i inny niż wszystkie dotychczasowe polskie produkcje. Jedynym i jednak dosyć poważnym zarzutem wobec filmu jest jego nagranie: Tomkowi zdecydowanie lepiej wychodzi montaż. Jeśli chodzi o poziom jazdy, to jak na polskie warunki jest on bardzo dobry. Krzysiek Poskrobko, sam autor, Tomek Patryk oraz do niedawna posiadacz tylko trzech jedynek Baja, mogą niejednego skejcika nauczyć jazdy i przede wszystkim czerpania przyjemności z deskorolki i jej nagrywania. Ostatni i najdłuższy przejazd należy oczywiście do Krzyśka, który niszczy miejscówki na różnych kontynentach (sprawdźcie jego nagrywki z Chicago!) przy bardzo nastrojowej i klimatycznej muzyce. Dla każdego Polaczka jest to pozycja obowiązkowa ze względu na oryginalne spojrzenie na skate video! tDi Di



Red Dragon
Skateboard Party

„Skateboard party" to kolejna odsłona przygód deskorolkowych chuliganów spod znaku skateshopu Red Dragon. Chłopaki dalej przeginają jak tylko się da, wdają się w awantury, łowią rekiny, urządzają obóz przetrwania – słowem, wyczyniają rzeczy naprawdę dziwne i głupie. Jeśli chodzi o deskorolkę, to niestety w porównaniu do poprzedniego filmu Red Dragon wypada ona dosyć średnio. Od razu rzuca się w oczy, że bardziej znani teamriderzy zachowali swój nagrany materiał do bardziej „fame'owych" filmów i dali tutaj tylko część swoich dokonań. Dlatego tacy mistrzowie jak Paul Machnau, Ryan Smith, Chris Haslam czy Gailea Momolu pojawiają się tylko przez chwilę. Na szczęście w ich rodzinnej Kanadzie nie brakuje nowych talentów i brak starszych wyjadaczy twórcy filmu próbowali wynagrodzić przejazdami nowych graczy: Aarona Johnsona, Seana Hayesa i gościa (który, gdyby mieszkał w Polsce, miałby przesrane z takim nazwiskiem) Paula Trepa. Jak każdą produkcję spod znaku RD, film ogląda się bardzo dobrze, jest on pełen różnych lifestyle'owych, śmiesznych wstawek (choć moment, gdy Ellis odcina głowę małemu rekinowi, mogli sobie darować). Na pewno nie jest to film wybitny, ale przysłowiowo „daje radę". tDi Di



Fisheye # 3

Duet Coraszelski & Rodzyn popełnił już trzeci numer polskiego videomagazynu. Jak zwykle, ten numer jest lepszy od poprzedniego, choć szczerze mówiąc, pewnych błędów z przeszłości nie udało im się zniwelować, szczególnie jeśli chodzi o filmowanie (jakość obrazu dzięki nowej kamerze została bardzo poprawiona, ale potrzebne są też umiejętności przy kręceniu). Montaż za to bardzo podniósł poziom, trzecia część pod tym względem znacznie

różni się od „jedynki". Ciekawy jest dobór działów, jak i prezentowane tam triki. Remix jak zwykle jest mieszanką różnych gości i różnych styli. Na uwagę zasługuje kilku małolatów (sądząc po miejscach, na których jeżdżą, pochodzą z Trójmiasta) jak i starych wyjadaczy w osobie Kacpra Ustarbowskiego czy Amadeusza Kraja (szok, musicie to zobaczyć). W „Fisheye'u" zobaczycie kilka relacji z wyjazdów, jakie zorganizowali wspólnie Coraszefski z Gaborem Nagym (do Budapesztu, Paryża, Kolonii, Pragi i Berlina). Materiał nagrany tam jest bardzo świeżutki i konkretny. Prym wiodą reprezentanci polskiego teamu Aeon – Juraś, Stasik, M. Jakubowski, Cymbi i Kraju. Jakby mało było relacji z tourów, na deser zobaczycie jeszcze wyjazd Cortoz & Lando, który odbył się w minione wakacje. Chłopaki odwiedzili kilka polskich miast i Bratysławę. Dla lubiących kontesty panowie z „Fisheye" przygotowali relację z krakowskich zawodów Etniesa. Na koniec mamy przejazd Michała Jurasia, młodego rippera z Warszawy, który w swoim przejeździe pokazuje internetowym haterom, co znaczą ich narzekania. tOi Oi



411 # 3

Kolejny magazyn z serii 411 przenosi nas w świat deskorolki spod znaku firm Popwar, Listen i Santa Cruz. To właśnie riderzy tych firm występują w najnowszej „czterysta jedenastce". Na początek mamy zajebisty kontrolowany chaos Popwar. W sekcji tej możemy dopatrzyć się kilku trików nagranych w Polsce. Na szczęście, panowie z 411 odeszli (przynajmniej w tym numerze) od pokazywania typowej dziecięcej, amerykańskiej deskorolki (czyli handraile, wielkie schody, triki na zwykłych murkach) i pokazali, że na skateboardzie można jeździć na dowolnym terenie. Justin Strubing, Jon Newport i reszta dowiedli, że nawet w Ameryce można być kreatywnym. Rob Gonzales i jego ziomek z byłego teamu mają po przejeździe. Są to moje ulubione fragmenty magazynu, szczególnie część Roba G. Miłośnicy technicznej jazdy nie zawiodą się podczas oglądania partów Guru Khalsy i Flo Mahrfanga oraz Alexa Carolino. Oprócz tego, znajdziemy w filmie mnóstwo reklam i temu podobnego szajsu. Mimo wszystko 411 z numeru na numer się poprawia. Oby tak dalej... Pc skate

Od niniejszego numeru SLG będziemy dla Was publikować informacje związane z działalnością Polskiej Federacji Stylu Wolnego, czyli organizacji zajmującej się przygotowaniem freestyle'owych bitew i popularyzacją tej dziedziny emceeingu w naszym kraju. W tym miesiącu przedstawiamy Wam zasady rządzące punktacją oraz aktualny ranking. Oto jego pierwsza dziesiątka wraz z punktami przed ostatnią imprezą w Puławach (w sumie sklasyfikowanych jest 53 emce):

1. TeTris (Siemiatycze)	233,5	6. Dolar (Lublin)	77,75
2. Filip (Toruń)	221,75	7. Diox (Stare Babice)	74,5
3. Pogo (Białytstok)	170,5	8. Muflon (Warszawa)	49,25
4. Duże Pe (Warszawa)	135	9. Majkel (Gliwice)	49
5. Skow (Grudziądz)	79	10. Puoć (Dziekanów)	45,75

RANKING ZAWODNIKÓW PFSW

1. Ranking tworzony jest na podstawie wyników turniejów z licencją PFSW.
2. Ranking aktualizowany jest po każdym turnieju z licencją PFSW.
3. Punkty rankingowe przyznawane są w następujący sposób:

a) 1 miejsce w turnieju – 50 pkt.
b) 2 miejsce w turnieju – 25 pkt.
c) 3/4 miejsce w turnieju – 10 pkt.
d) Udział w turnieju głównym* – 1 pkt.

Punkty zdobyte przez zawodnika mnoży się przez współczynnik zawodów PFSW w celu uzyskania realnego wyniku uwzględniającego charakter bitwy.

*) dotyczy tylko turniejów, w których przeprowadzane są eliminacje wstępne

WSPÓŁCZYNNIK ZAWODÓW PFSW

Średnia arytmetyczna wyciągnięta z czterech innych współczynników.
Każdy z nich określa trzystopniowa skala (0,5 pkt. / 1,5 pkt. / 2,5 pkt.)

A. WSPÓŁCZYNNIK EDYCJI
B. WSPÓŁCZYNNIK ZASIĘGU
C. WSPÓŁCZYNNIK ZAWODNIKÓW
D. WSPÓŁCZYNNIK RANKINGU



Zasady przyznawania punktów rankingowych:

A. WSPÓŁCZYNNIK EDYCJI
0,5 pkt. [1 edycja turnieju]
1,5 pkt. [2-3 edycja turnieju]
2,5 pkt. [minimum 4 edycja turnieju]

B. WSPÓŁCZYNNIK ZASIĘGU
0,5 pkt. [turnieje o zasięgu lokalnym, tzn. uczestnicy z 1 województwa]
1,5 pkt. [turnieje o zasięgu regionalnym, tzn. uczestnicy z więcej niż 1 ale mniej niż 5 województw]
2,5 pkt. - [turnieje o zasięgu ogólnopolskim, tzn. uczestnicy z minimum 5 województw]

C. WSPÓŁCZYNNIK ZAWODNIKÓW
0,5 pkt. [brak eliminacji, startują tylko zaproszeni zawodnicy]
1,5 pkt. [eliminacje odbywają się bezpośrednio przed bitwą]
2,5 pkt. [odbywają się kilkustopniowe eliminacje, tzn. jest kilka turniejów]

D. WSPÓŁCZYNNIK RANKINGU
0,5 pkt. [startuje mniej niż 3 zawodników z pierwszej dwudziestki rankingu PFSW]
1,5 pkt. [startuje od 3 do 5 zawodników z pierwszej dwudziestki rankingu PFSW]
2,5 pkt. [startuje ponad 5 zawodników z pierwszej dwudziestki rankingu PFSW]

Niewiele zespołów z Europy (nie licząc Wielkiej Brytanii) robi na świecie taką karierę jak Rammstein. Tym bardziej, że Niemcy (rodem z byłego NRD) śpiewają wciąż w swoim ojczystym języku, co oczywiście sprawia, że dla 90 procent fanów ich przekaz jest niezrozumiały. A jednak kariera zespołu z płyty na płytę nabiera rozpędu. Tak będzie i teraz, po premierze piątego albumu, „Rosenrot"

tekst Kubanos

***

Mieszkańcy małego miasteczka Ramstein-Miesenbach na zachodzie Niemiec na pewno na długie lata zapamiętają datę 28 kwietnia 1988. Wtedy podczas odbywających się tam co roku w amerykańskiej bazie wojskowej pokazów lotniczych doszło do tragedii, która poruszyła cały kraj. Trzy samoloty biorące udział w show zderzyły się, a płonące szczątki spadły na zgromadzoną publiczność. Zginęło ponad 70 osób, kolejnych 500 odniosło rany. Kilka lat później nazwę Rammstein (dodając do nazwy miasta jedno „m") przyjął wywodzący się z Berlina zespół. Muzycy zgodnie podkreślają, że wykorzystując nazwę miejsca jednoznacznie kojarzącego się z tragedią dziesiątek ludzi, nie chcieli budzić kontrowersji. To miał być hołd złożony ofiarom. Z jednej strony, można przyznać im rację – dzięki nim wielu fanów spoza Niemiec poznało dzieje tragicznego wydarzenia. Z drugiej strony, jeśli weźmiemy pod uwagę pierwszą wersję nazwy – Rammstein-Flugschau (show lotniczy) – brzmiącą nieco ironicznie, to intencje kapeli nie wydają się już tak oczywiste. W końcu Rammstein to zespół, który świadomie buduje wokół siebie nieco skandaliczną otoczkę. Zresztą, wystarczy włączyć płytę „Reise, Reise" i przewinąć do tyłu pierwszy utwór. Licznik nie zatrzymuje się na zerze, ale cofa do... -1'37". W ten sposób muzycy ukryli na CD autentyczne nagrania z samolotowej czarnej skrzynki... W kontekście opisanych wydarzeń robi to naprawdę upiorne wrażenie. Swoją drogą, zdjęcie czarnej skrzynki zdobi okładkę wspomnianej płyty.

***

Zostawmy jednak skojarzenia lotniczo-katastroficzne. To oczywiste, że bez tragedii w Ramstein zespół i tak by powstał. Najwyżej nazywałby się równie głupio, co pierwsze kapele gitarzysty Richarda Kruspe (Orgasm Death Gimmick) czy wokalisty Tilla Lindemanna (First Arsch). Na szczęście, obaj panowie spotkali się w odpowiednim miejscu (Berlin) i czasie (1994 rok) z Paulem Landersem (gitara), Flake'iem Lorenzem (klawisze) i Christophem Schneiderem (perkusja). To właśnie ci trzej panowie podsunęli nazwę Rammstein, która szybko się przyjęła, a co więcej, pasowała do prowokacyjnego image'u zespołu. Uzupełniona o basistę, Olivera Reidela, kapela żwawo zabrała się do roboty i szybko wkroczyła do studia.



Tam, z pomocą współpracującego wcześniej z Clawfingerem szwedzkiego producenta Jacoba Hellnera, nagrała pierwszy album, „Herzeleid". I tu powinna nastąpić standardowa opowieść: album stał się hitem, a przed zespołem otworzyły się wrota kariery, drzwi hoteli i ramiona fanek... A właśnie, że nie. Płyta, choć oceniona dobrze, tłumów nie porwała. Nietypowa oprawa występów scenicznych (przemyślane efekty wizualne i pirotechniczne) również się podobała, ale sal Rammstein nie wypełniał. Promując album zespół dotarł także do Polski (supportując Clawfingera). Recenzent „Tylko Rocka" uznał wówczas muzykę Rammsteina za nużącą... Gdyby wiedział, że był świadkiem jednego z pierwszych zagranych poza krajami niemieckojęzycznymi koncertów kapeli, która już niedługo wedrze się do czołówki największych gwiazd metalu, być może spojrzałby na sprawę inaczej.

Zaraz, zaraz. Gdzie tu mówić o sławie, skoro początki nie wróżyły specjalnej kariery. Zapowiadało się raczej, że Rammstein zniknie w odmętach szołbiznesu po wydaniu jednej, dwóch płyt, zyskując lokalne grono fanów wiernych, ale zbyt nielicznych, by pozwoliło to kapeli utrzymać się na powierzchni. Wtedy jednak pojawił się na horyzoncie David Lynch i jego „Zagubiona autostrada". Muzycy wysłali słynnemu twórcy płytę z prośbą o wyreżyserowanie teledysku. Do współpracy nie doszło, jednak Lynch wykorzystał dwa utwory z „Herzeleid" (konkretnie „Rammstein" i „Heirate Mich") na ścieżce dźwiękowej wspomnianego filmu. Dzięki temu Rammstein wydostał się poza Europę. A skoro już jesteśmy przy filmach, to warto wspomnieć, że Hollywood chętnie sięga po nagrania Niemców. Utwory Rammsteina znalazły się m.in. na soundtrackach do „Matrixa", obu części „Resident Evil", „Mortal Kombat: Annihilation", „Wing Commander" (prawie same ekranizacje gier!), a także do thrillera „XXX", gdzie zresztą zespół pojawił się we własnych sześciu osobach.

***

Rammstein to przede wszystkim wielki show. Niesamowite efekty pirotechniczne stały się znakiem rozpoznawczym ich koncertów. Wszystko zaplanowane co do sekundy i milimetra – w końcu pomyłki mogą skończyć się nieprzyjemnie. Od samego początku Niemcy kombinowali z ogniem. Już na pierwszych koncertach klubowych Till podpalał przygotowane wcześniej kałuże benzyny. Efekt miał zaszokować publiczność, bo z reguły raczej nikt nie spodziewa się małego pożaru na scenie, a tak to wówczas wyglądało. Oprócz szokowania nie obyło się bez oparzeń i wypadków, zarówno po stronie zespołu, jak i publiczności. Nie powstrzymało to jednak muzyków od dalszych eksperymentów, tworzenia kolejnych instalacji i niesamowitych wynalazków w rodzaju płonących płaszczy. Dzięki temu koncerty Rammsteina są niezapomnianym widowiskiem, o czym w Polsce mieliśmy możliwość przekonać się już parokrotnie. Obfitują nie tylko w efekty godne najśmielszych marzeń piromana, ale i inne niespodzianki: w stałym repertuarze znajduje się [illegible] kach publiki ponton, w którym podczas wykonywania utworu „Seemann" siedzi Flake...

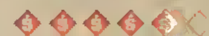
Oryginalny image zespołu, w połączeniu z muzyką i przywiązaniem do wykonywania utworów w ojczystym języku, przyniósł swoją drogą Rammsteinowi kłopoty. Ich apogeum stał się klip do coveru Depeche Mode, „Stripped", ilustrowany fragmentami filmu „Olimpiada" Leni Riefenstahl, czołowej reżyserki propagandowego kina czasów Hitlera. Zespół oskarżano o propagowanie ideologii nazistowskiej i podżeganie do przemocy. Trochę czasu minęło, zanim muzycy przekonali wszystkich, że jest zupełnie inaczej. Podkreślali zgodnie, że teledysk do „Stripped", choć ciekawy artystycznie, nie powinien powstać w takiej formie. Opinia publiczna została ułagodzona, ale pech chciał, że wtedy wydarzyła się tragedia w szkole w Columbine (dwóch uczniów wszczęło strzelaninę na szkolnym korytarzu; kto widział „Zabawy z bronią" Michaela Moore'a, wie, o co chodzi). Zamachowcy przyznawali się do wyznawania idei skrajnie prawicowych i słuchania m.in. Rammsteina, Marylina Mansona i Slipknota... Zespoły zgodnie wyraziły żal i ból w związku z tragedią, ponownie odcinając się od wszelkich związków z jakąkolwiek ideologią przemocy. Na albumie „Mutter" Rammstein nagrał nawet utwór „Links 2 3 4", kierujący uwagę słuchaczy na lewicowe poglądy muzyków.

***

No dobra, a gdzie w tym wszystkim muzyka? Jest, oczywiście, i to ona przede wszystkim stanowi siłę napędzającą fanów Rammsteinowi. Zespół chciał uniknąć dziwacznych etykietek, więc sam sobie jedną nadał – „tanzmetal". I w sumie to w ogromnym skrócie najlepiej oddaje charakterystykę muzyki Niemców. Rammstein łączy ostre brzmienie gitar z industrialno-tanecznymi rytmami, a wszystko wzbogacone głębokim, twardo brzmiącym wokalem Tilla. W takim repertuarze zdecydowanie sprawdza się też niemiecki – kilka kawałków nagranych przez Rammsteina po angielsku nie wypadło najlepiej (nie licząc może wspomnianego „Stripped", ale to przecież cover). Język naszych zachodnich sąsiadów dodaje utworom Rammsteina pewnego rodzaju hardości, marszowego brzmienia, a co bardziej nadpobudliwi krytycy przywoływali tu również Ryszarda Wagnera. Prawdą jest jednak, że muzycznie nie wymyślili Niemcy nic nowego. Korzystają z dokonań i doświadczeń wielu zespołów, zaczynając od sceny industrialnej (Die Krupps, KMFDM, Nine Inch Nails), poprzez Laibacha i Megaherz, aż po kapele – wydawałoby się – tak odległe jak Kraftwerk (którego największy przebój, „Das Modell", znalazł się w repertuarze Rammsteina). Z każdą płytą muzyka zespołu ewoluuje, pojawiają się nowe motywy, zabawy konwencjami i słowem. Na wydanym w 2004 roku albumie „Reise, Reise" znalazł się utwór z refrenem śpiewanym po rosyjsku („Moskau"). Plotka głosi, że w pierwotnym zamierzeniu śpiewać tam miały prząśne dziewczęta z T. A. T. U. Być może jest w tym ziarno prawdy, skoro na najnowszej płycie gościnnie pojawia się wokalistka zespołu Texas, Sharleen Spiteri. Także na „Ro- [illegible] mamy kawałek śpiewany po hiszpańsku. Czyżby Rammstein się internacjonalizował? A być może – oprócz poszukiwania nowej artystycznej jakości – forma podziękowania dla coraz liczniejszych fanów zespołu? Jeśli tak, to chciałbym usłyszeć kiedyś, jak Till kaleczy język polski. To mogłoby być dla niego większe wyzwanie niż koncerty pośród morza płomieni i fajerwerków.



RAMMSTEIN
ROSENROT
UNIVERSAL

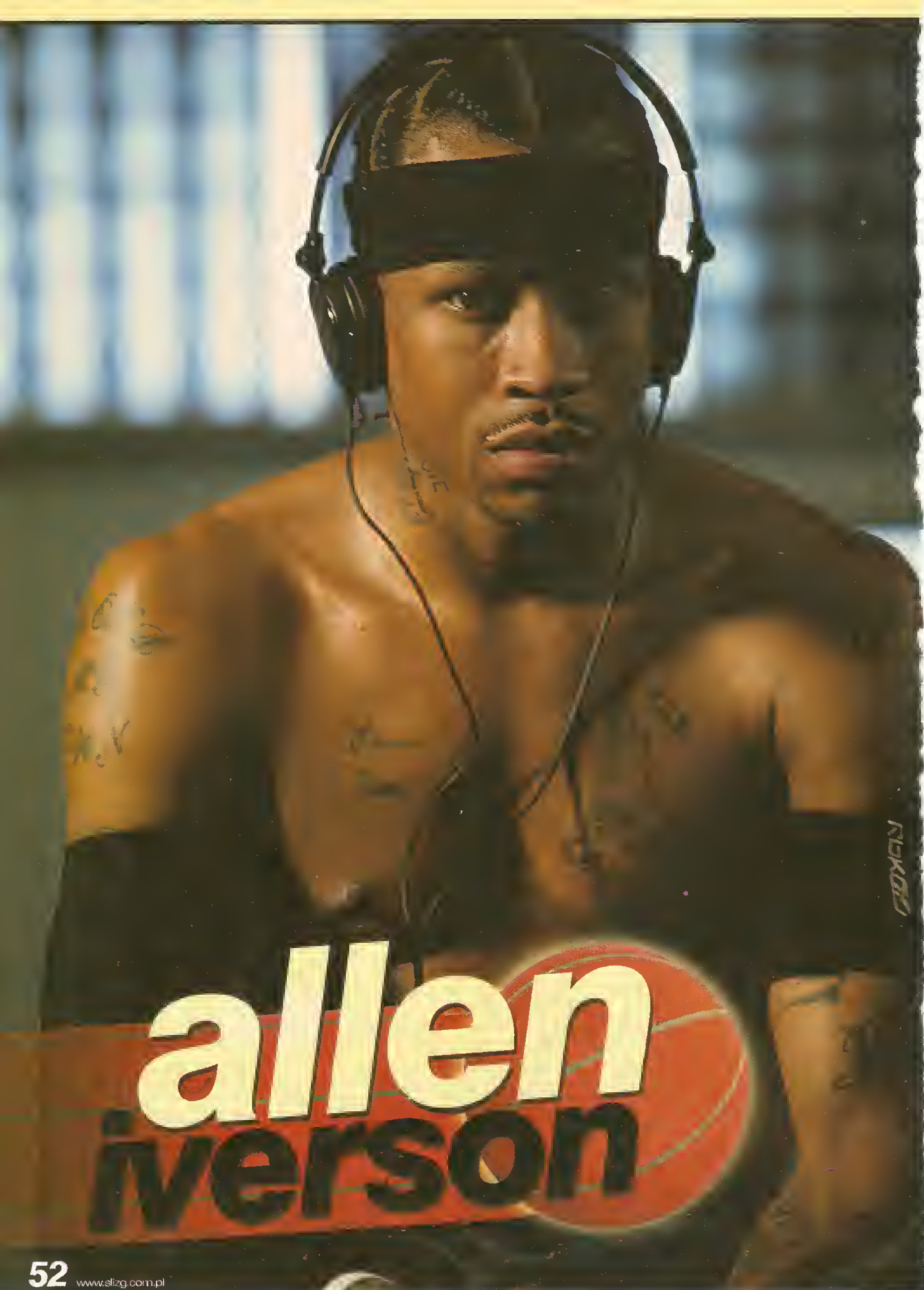


Niewiele ponad rok minął od wydania płyty „Reise, Reise", a już Rammstein przygotował nowy longplay. Jeszcze nie zdążyłem zatęsknić za motoryczną muzyką Niemców, a już trzymam w rękach świeżutką płytę. A ta zaczyna się z wykopem: znakomite singlowe „Benzin" to rzeczywiście mocne uderzenie. Agresywne gitary, świetnie wykorzystane klawisze, nieco szaleństwa – tego mi było trzeba! Dalej wcale nie jest gorzej. Refren „Mann Gegen Mann" stanie się pewnie kolejnym hymnem wykrzykiwanym przez fanów na koncertach. Zupełną nowością jest „Te Quiero Puta" – jak po tytule łatwo się domyślić – zaśpiewany po hiszpańsku, z muzycznymi wstawkami rodem z Meksyku. Co prawda, hiszpański Lindemanna skaleczony jest niemieckim akcentem, ale to dodaje tylko temu utworowi specyficznego smaku.

Małym zgrzytem jest „Stirb Nicht Vor Mir" zaśpiewany z gościnnym udziałem wokalistki Texas. Brzmi to niedobrze i nie mam na myśli wcale fałszu w zaśpiewach Tilla Lindemanna. Muzyka Rammsteina bywa patetyczna i podniosła, ale w dobrym stylu. A w tym akurat kawałku stylu zabrakło. To jednak nie zmienia faktu, że „Rosenrot" jest dobrym albumem. Może pozbawionym wielkich hiciorów, jak choćby „Amerika" z poprzedniej płyty. Może i powtarzającym sprawdzone metody na muzykę. Ale na pewno słucha się tego wciąż znakomicie. I jeśli Niemcy mają nagrywać kolejne albumy na tym samym poziomie, to niech je wydają choćby co rok. **(jd)**

Dyskografia:
1995 Herzeleid
1997 Sehnsucht
1999 Live aus Berlin (także na DVD)
2001 Mutter
2003 Lichtspielhaus (DVD)
[illegible]

MSTEIN


allen
iverson

Można się z tym stwierdzeniem zgodzić lub nie, wielu jednak nie ma wątpliwości – Allen Iverson jest ikoną. Już od 9 lat „The Answer" olśniewa kibiców swą grą dla Philadelphia 76ers, doprowadzając przy okazji do frustracji grających przeciwko niemu obrońców. Fakt, mistrzostwa NBA nie zdobył i już raczej nie zdobędzie (a przynajmniej nie w tym zespole), ale zrobił wystarczająco dużo, by zapewnić sobie miejsce w gronie najlepszych graczy w historii basketu. A że przy okazji jest całkiem ciekawą postacią, to co Wam szkodzi poczytać?

tekst Grabiszczy

Karierę Iversona można by opisać w postaci imponujących statystyk indywidualnych. Prawie 17 tysięcy zdobytych punktów, ponad 3,5 tysiąca asyst, 1,5 tysiąca przechwytów, czterokrotny tytuł króla strzelców NBA, w 2001 roku wybranie na MVP, czyli najwartościowszego koszykarza rozgrywek. A przecież to tylko wierzchołek góry lodowej. Suche liczby nie opiszą bowiem sposobu, w jaki Al porusza się po boisku, w jaki mija wyższych często o dwie głowy rywali (sam mierzy przecież zaledwie 183 cm, ważąc 75 kg, kompleksów przy nim raczej trudno się więc nabawić) i w jaki zdobywa całe mnóstwo punktów dla 76ers, gdzie gra od początku swej kariery w NBA. W sumie nie opiszą też tego żadne słowa, więc nie ma co silić się na jakąś wyszukaną poetykę. Po prostu, jeśli komuś nie było dane oglądać Iversona w akcji, ma tę rzecz niewątpliwie do nadrobienia.

Niestety, mimo fenomenalnej niekiedy gry swego lidera, Philadelphia 76ers nie są w stanie zdobyć mistrzostwa ligi. Najbliżej byli w 2001 roku, kiedy to dopiero w finale ulegli Los Angeles Lakers. Sam Iverson nie potrafił jednak pokonać całej drużyny przeciwnika. Sixers wygrali tylko jeden mecz w serii finałowej – kiedy Al zdobył 48 punktów – i ulegli 1-4. Po tym osiągnięciu zespół z Filadelfii popadł w ligową przeciętność i jest co najwyżej jednym ze średniaków. I tu kończy się cukierkowata laurka Iversona, gdyż należałoby zastanowić się nad powodami, dla których team pod przewodnictwem tak wybitnej indywidualności nie był nigdy w stanie wspiąć się na sam szczyt koszykarskiej hierarchii.

Nawet sam Michael Jordan, gdy zdobywał mistrzostwa dla legendarnych już dziś Chicago Bulls z lat 90., potrzebował pomocy ze strony innych graczy. Pippen, Grant, Armstrong, Kukoc, Rodman – wszyscy oni bardzo wydatnie przyczyniali się do sukcesów „Byków". Mistrzostwo zdobywa zespół, nie jeden zawodnik. To właśnie jest problem Iversona. Jest on tak ambitny, tak głodny zwycięstw, że z niechęcią ustępuje pola kolegom z drużyny. Nawet gdy miał u boku innych wybitnych koszykarzy (co zdarzało się dosyć regularnie), nie dawał im błyszczeć. Nie dzielił z nimi ciężaru gry, w efekcie wpędzając ich we frustrację i doprowadzając do niesnasek w drużynie. Jakkolwiek jeszcze kilka lat temu można go było rozgrzeszyć, gdyż był wówczas u szczytu swych możliwości, tak obecnie Al młodszy się nie staje, stuknęła mu trzydziestka, a jego egoistyczna często gra w wielu przypadkach bardziej szkodzi zespołowi niż mu pomaga...

Gwoli sprawiedliwości trzeba jednak powiedzieć jasno: powyższa sytuacja nie wynika z tego, że „The Answer" jest samolubem. To po prostu jego zamiłowanie do koszykówki sprawia, że Iverson gra zawsze tak, jakby to miał być jego ostatni mecz w karierze. Serce – to słowo chyba najlepiej definiuje jego postawę. Nieraz wychodził na boisko z niedoleczonymi kontuzjami, by znowu zdobywać punkty nad gigantami dwa razy większym od siebie. Hasło „I am what I am" („Jestem tym, kim jestem"), używane w ostatniej kampanii reklamowej Reeboka (z którym zresztą Al współpracuje odkąd trafił do NBA; opracowano już na przykład dziesięć modeli obuwia sygnowanych przez zawodnika), doskonale oddaje jego osobowość. Iverson jest zawsze sobą i trudno oczekiwać, by to się zmieniło.

Tak było również z jego przedwcześnie zakończoną karierą hip-hopową. Al to typ, po którym od razu widać, z jaką kulturą się identyfikuje. Pewnie gdyby nie talent, śmigałby gdzieś z pistoletem po uliczkach rodzinnego Hampton w Virginii z innymi „thugami". W takim to właśnie gangsterskim klimacie miał być utrzymany jego niedoszły album. Numer „40 Bars", który puszczano w 1999 roku w lokalnej stacji radiowej, wywołał spore zamieszanie. Oprócz nawiązań do używania broni, Al rzucił m.in. następujący dwuwers: „Podejdź do mnie ze swymi pedalskimi skłonnościami / a pójdziesz spać tam, gdzie są larwy." No i rozpoczęła się nagonka. Iversona skrytykował sam komisarz NBA, David Stern, nie wspominając już o całym szeregu organizacji społecznych. Koszykarz, który nagrywał hip-hop pod ksywką Jewelz, został zmuszony do zrezygnowania z wydania już nagranego i zaplanowanego na luty 2000 roku krążka pod nazwą „Misunderstood" (wcześniej noszącego roboczy tytuł „Non-Fiction"). Iverson miał wybór, ale decydując się na wypuszczenie albumu, naraziłby się na daleko idące konsekwencje ze strony ligi, co mogło zagrozić jego karierze koszykarskiej. A na to „The Answer" nie mógł pozwolić, wszak basket to jego pasja numer jeden, a rap był tylko odskocznią od codzienności, chwilową zajawką. Nastąpiły zatem przeprosiny i rezygnacja z muzyki. Zresztą, co tu dużo mówić – za dużo do stracenia miał Al także finansowo. Wielomilionowe kontrakty reklamowe (przede wszystkim z Reebokiem, z którym miał wówczas umowę na 40 milionów dolarów za 5 lat) przeszłyby mu koło nosa, a dodatkowo walczył wówczas o jak najwyższą pensję od Sixers (ostatecznie dostał parę miesięcy później najwyższy możliwy kontrakt na 71 milionów dolarów za 6 lat).



KALENDARIUM ALLENA IVERSONA

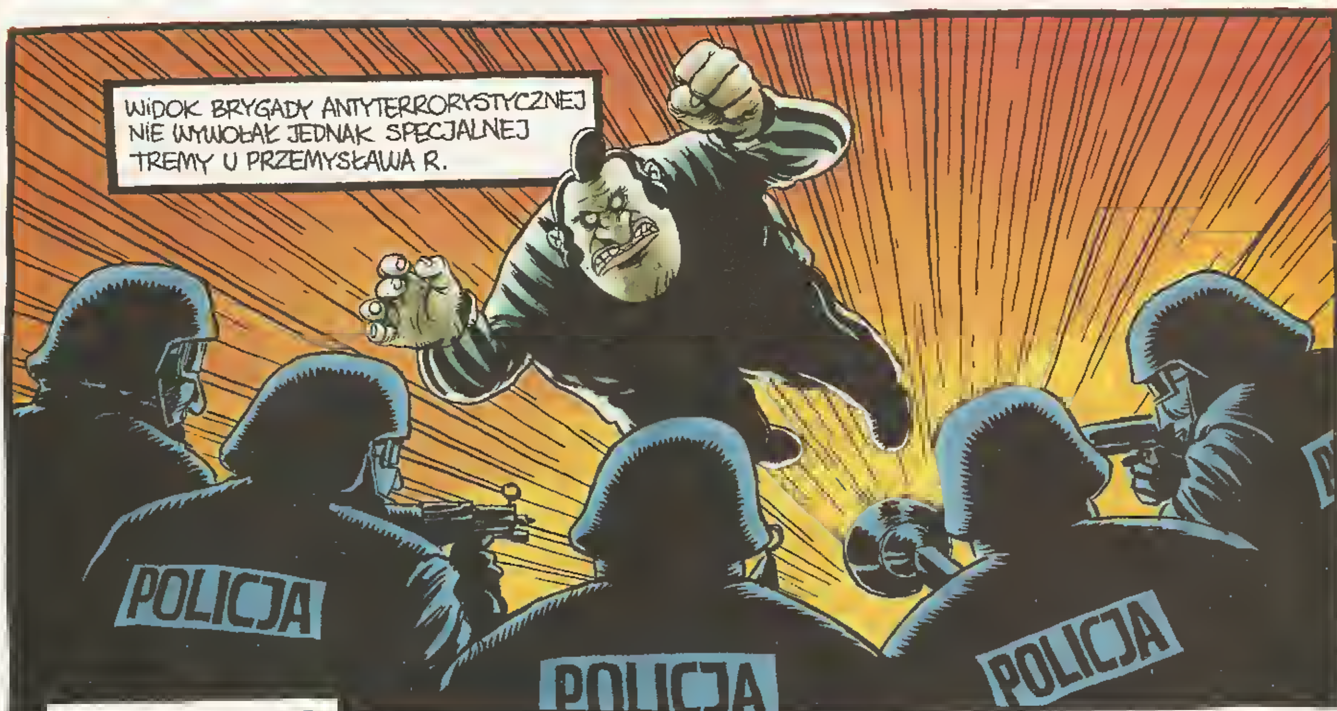
1975 – rok urodzin Allena Ezaila Iversona
1994 – rozpoczęcie studiów i gry na uniwersytecie Georgetown
1996 – wybór z pierwszym numerem w Drafcie NBA przez Philadelphia 76ers
1997 – wybór na Debiutanta Roku (Rookie of the Year)
1999 – tytuł najlepszego strzelca NBA i wybór do najlepszej piątki NBA
2001 – nagroda MVP, drugi tytuł najlepszego strzelca ligi i drugi wybór do All-NBA First Team, tytuł MVP meczu gwiazd, udział z 76ers w finale NBA
2002 – po raz trzeci tytuł króla strzelców NBA
2004 – udział w Olimpiadzie w Atenach z najlepszą średnią punktową w drużynie USA
2005 – tytuł najlepszego strzelca NBA po raz czwarty, trzeci wybór do pierwszej piątki ligi oraz rekordowe w karierze 60 punktów zdobyte przeciwko Orlando Magic

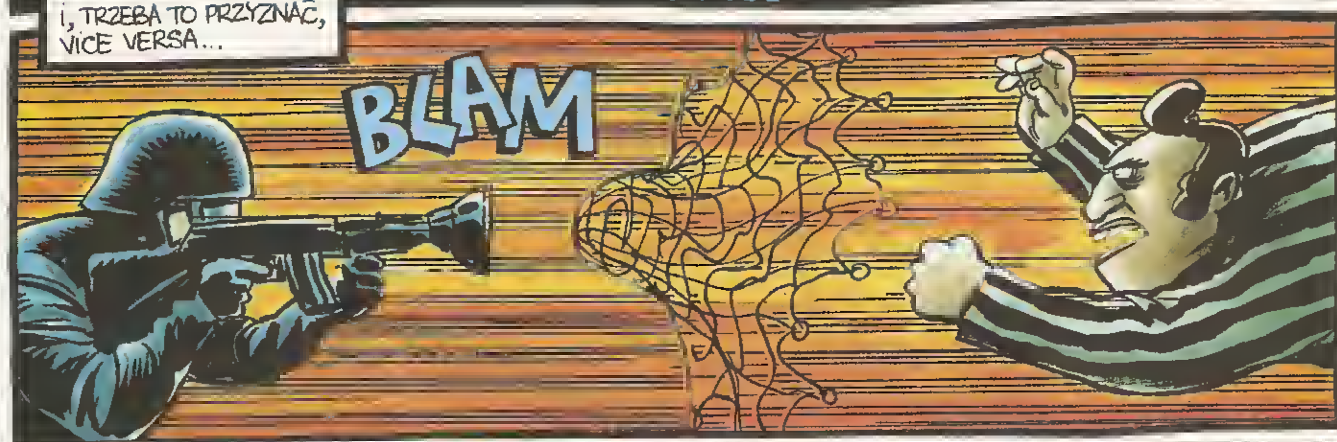
Ostatnimi czasy jednym z najważniejszych tematów w świecie NBA jest wprowadzony przez komisarza Sterna tzw. „dress code", czyli wytyczne dla zawodników ligi odnośnie ich ubioru. Zgadnijcie, kto jest jednym z najzagorzalszych przeciwników takich regulacji. Iverson preferuje ciuchy typowo hip-hopowe, których wdziewanie w USA jest utożsamiane z gangsterką, a władze ligi oczekiwałyby raczej odmiennego jej wizerunku. W końcu zdecydowana większość kibiców ma biały kolor skóry, hip-hopu nie słucha, a „thugów" się boi. Tymczasem spora część graczy – z naszym bohaterem na czele – wyglądała dotychczas jak żywcem wyjęta z klipu The Game'a. „To nie w porządku. Będę walczył przeciwko temu", oświadczył Al, a jedna z amerykańskich firm bukmacherskich zapowiedziała już, że pokryje wszelkie wydatki gracza związane z ewentualnymi karami finansowymi, jakie mogą go spotkać ze strony ligi za łamanie zasad. Bez względu na to, jak wydarzenia się potoczą, o Allenie znowu będzie przez jakiś czas głośno i znowu nie dzięki grze, a sprawom pozaboiskowym.

Iverson wiele do zawdzięczenia ma swojej matce, która jako tako była w stanie utrzymać go w ryzach w latach, gdy był młokosem, choć sama była od niego starsza tylko o 15 lat... To właściwie ona popchnęła go w stronę koszykówki, kiedy chłopak miał około 9-10 lat i wykazywał już pewne zdolności w tym kierunku, choć nie tylko, gdyż w szkole średniej okazało się, że futbolistą (o futbol amerykański rzecz jasna chodzi) też jest bardzo dobrym. Iverson stał się zatem – lokalną póki co – gwiazdeczką sportu. I właśnie wówczas przyszedł incydent, który zaważył na niezbyt dobrej reputacji w początkowych latach poważnej kariery Al. Gdy miał 17 lat, trafił on na pięć miesięcy do pudła za udział w bójce pomiędzy czarną a białą młodzieżą w kręgielni w Hampton. Jego kariera stanęła pod dużym znakiem zapytania, ale ostatecznie trafił na uniwersytet Georgetown, gdzie potwierdził swoje ogromne umiejętności. A mama? Panią Ann Iverson można ujrzeć na każdym meczu syna, trzymającą w rękach tablicę z napisem „That's my boy #3" („To mój chłopiec"). Allen stwierdził nawet w jednym z wywiadów, że nie wyobraża sobie życia bez matki u boku i jej ewentualnego odejścia boi się najbardziej ze wszystkiego. Gangster-maminsynek? Nic z tych rzeczy, po prostu kolejny dowód na to, że „The Answer" kieruje się przede wszystkim sercem.

Właśnie. „The Answer" – „Odpowiedź" – to dosyć nietypowy pseudonim. Warto zatem na koniec wyjaśnić, skąd się wziął. A wziął się ze sposobu gry Iversona, dzięki któremu rzekomo zawodnik ten ma odpowiadać nie tylko na wszystkie zagrania przeciwnika, ale także stanowić rozwiązanie wszelkich wątpliwości trapiących jego zespół. Zanim Al trafił do Sixers, byli oni drużyną okupującą dolne rejony tabel NBA. Przyjście gwiazdora oznaczało odpowiedź na pytania w stylu „kiedy zespół odzyska świetność", czy „kiedy zawodnik Philadelphii znów zostanie MVP". Przyznacie, że geneza nieco naciągana, ale i tak pseudonim Iversona jest jednym z najoryginalniejszych w historii amerykańskiej koszykówki. A ciekawe ksywki nadawane są interesującym postaciom, nieprawdaż?

txt: Rafał Skarżycki gfx: Tomasz Lew Leśniak







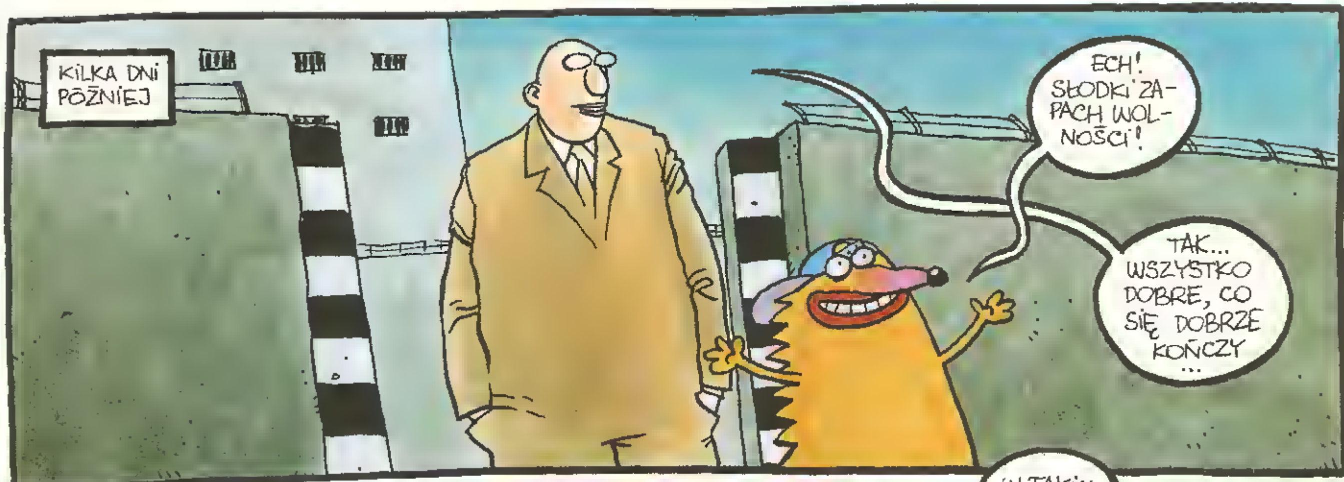


ZABIERZCIE TEGO SKURWYSY-NA! AHA! CHCĘ ZEBY JAK TYL-KO SIĘ OCKNIE WSADZIĆ MU BUTELKĘ W ODBYT I POTŁUC JĄ W DROBNY MAK!

TAK JEST!

POLIC




KILKA DNI PÓŹNIEJ
ECH! SŁODKI ZAPACH WOLNOŚCI!
TAK... WSZYSTKO DOBRE, CO SIĘ DOBRZE KOŃCZY...


CHCIAŁEM CI, NO WIESZ... PODZIĘKOWAĆ...
ZA CO?
NO, ZA TO, ŻE ZAŁATWIŁEŚ MI ZWOLNIENIE.


O, NIE, NIE, NIE! ZA CIENKI W USZACH JESTEM, ŻEBY CI COŚ TAKIEGO ZAŁATWIĆ...
W TAKIM RAZIE KTO?
LEW... OCZYWIŚCIE...
LEW? ALE JAK?!


WYSTARCZYŁO, ŻE SZEPNĄŁ PROKURATOROWI ODPOWIEDNIE SŁÓWKA...
A DOKŁADNIEJ?


DOKŁADNIE TO BYŁO JAKOŚ TAK: „JEŻ? JAKI KURWA JEŻ?! A MOŻE POSADZICIE JESZCZE KRECIKA?!?"
ROZUMIEM, ŻE PROKURATOR NIE BYŁ ZACHWYCONY?


NIE TYLKO ON...
NO TAK, JESZCZE ZIO...


EEE, ON TO NAWET NIE PRZESADNIE... BARDZIEJ SIĘ WKURWIŁ PRZEMYSŁAW... ZDAJE SIĘ, ŻE POPRZYSIĄGŁ LWU ZEMSTĘ... I GRUPIE TRZYMAJĄCEJ WŁADZĘ TEŻ...


SERIO? ZA TO, ŻE LEW UWOLNIŁ JEŻA?


POZWOLIŁEM SOBIE ZASUGEROWAĆ PRZEMYSŁAWOWI, ŻE TA BUTELKA TO POMYSŁ LWA... WIESZ, TAKA FILMOWA AKCJA...


DOBRA! CZAS NA MNIE!
JASNE! WPADAJ CZASEM!



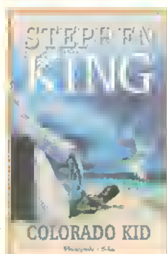

ZNACZY SIĘ... NAPISZ COŚ... KIEDYŚ...


OKEJ! NARA!


ZAMYKAĆ BRAMĘ!


ZGRZYT


I KIEDY JEŻ JERZY RUSZYŁ, BY SMAKOWAĆ WOLNOŚĆ NA CAŁEGO, LEW ODLICZAŁ DNI DO KOŃCA WYROKU W SWOJEJ NOWEJ, PRYWATNEJ CELI, A JEGO UMYSŁ WYPEŁNIAŁO TYLKO JEDNO PYTANIE...
Hard Rock
KURDE... CO BY NA TO POWIEDZIAŁ MÓJ LEKARZ ?!?
THE KONIEC



COLORADO KID

STEPHEN KING
PRÓSZYŃSKI I S-KA

Najnowsza powieść (a w zasadzie długie opowiadanie), w dorobku Kinga dość nietypowa. Jest to bowiem kryminał. Dwóch podstarzałych dziennikarzy wprowadza do zawodu młodą dziewczynę, opowiadając jej o niewyjaśnionym morderstwie na wyspie Moose-Lookit. Gdy policja była bezradna, obaj doświadczeni dziennikarze podjęli prywatne śledztwo, by ustalić okoliczności śmierci tajemniczego mężczyzny nazywanego Colorado Kidem. King utrzymuje wysoki pisarski poziom, nawet gdy oddala się od świata grozy, w którym czuje się najlepiej. I jak zwykle przemyca w swoich książkach dużo ważnych spostrzeżeń. Sensacyjna fabuła jest tu okazją do zbadania granic odpowiedzialności dziennikarza, zarówno wobec czytelników (czy prawdę można naginać, aby zwiększyć atrakcyjność artykułu), jak i ludzi, których życie się opisuje. Przy okazji, „Colorado Kid" powstał jako jedna z opowieści w cyklu, którego założeniem jest wskrzeszenie czarnego kryminału z lat 40. Jeśli pozostałe powieści z cyklu są tak udane jak próba Kinga, to chętnie bym je przeczytał. (jd)



MIASTECZKO SALEM

STEPHEN KING
PRÓSZYŃSKI I S-KA

Jeszcze jeden King, tym razem dobrze znana powieść - przycięła do amerykańskich realiów wersja klasycznej historii o wampirach. Dobra, nawet bardzo dobra, jednak nie to w wydaniu, którego okładkę widzicie obok, interesuje nas najbardziej. Nowa edycja „Miasteczka Salem" to przykład na to, jak praktyki rynku DVD trafiają na rynek książkowy, zresztą podtytuł wydania oryginalnego – „30th Anniversary Edition" – daje do zrozumienia, że nie jest to typowa publikacja. Otóż, oprócz zasadniczej treści powieści otrzymujemy tu masę dodatków. Po pierwsze, ilustracje, a raczej klimatyczne zdjęcia Jerry'ego Uelsmanna, urzekające posępnym, złowieszczym klimatem. Po drugie, nowy wstęp i posłowie Kinga (uznajmy to za rodzaj „reżyserskiego komentarza"). Po trzecie, blisko czterdzieści stron scen usuniętych z powieści. Po czwarte wreszcie, dwa opowiadania związane tematycznie z Salem: „Strzemiennego" i „Oola Jerusalem". I choć takie wydanie może się wydawać przede wszystkim próbą wyciągnięcia dodatkowej kasy z kieszeni czytelników, to jednak trudno nie odmówić mu klasy. Ja sam darzę Kinga olbrzymią estymą i nie miałbym nic przeciwko temu, żeby większość swoich powieści wypuścił w takich „rocznicowych" wydaniach. (jd)



NAZNACZENI BŁĘKITEM

EWA BIAŁOŁĘCKA
RUNA

Pierwsza część Kronik Drugiego Kręgu, czyli opowiadania wydane niegdyś w tomie „Tkacz iluzji", przekształcone na powieść. „Naznaczeni błękitem" opowiadają początki dziejów młodego maga Kamyka, jego przyjaciół i smoka, Pożeracza Chmur. Czytelników, którzy znają te historie ze wspomnianego tomu opowiadań, uspokajam: ta forma sprawdza się jeszcze lepiej. Białołęcka – z pewnością jedna z najlepszych autorek fantastyki w Polsce – nadała książce nowego rytmu, dorzuciła kilka wątków i uczyniła dzięki temu jej lekturę jeszcze większą przyjemnością. Bardzo dobra, mądra i uspokajająca fantasy dla wszystkich, którzy w tej literaturze szukają czegoś innego niż hordy barbarzyńców tłukących się ze stadami smoków.



KARAIBSKA KRUCJATA

MARCIN MORTKA
RUNA

Tego się, szczerze mówiąc, nie spodziewałem. Po poważnej „Ostatniej sadze" i mrocznej „Wojnie runów" Mortka dał prawdziwy popis dowcipu i znakomicie odnalazł się w przygodowej konwencji opowieści pirackiej. Co prawda, główny bohater William O'Connor, dowódca fregaty „Magdalena", piratem nie jest. Nie do końca potrafi się zdecydować, czy ma służyć Royal Navy (z której na początku powieści ochoczo dezerteruje), czy być korsarzem. W każdym razie wplątuje się w kolejne awantury, w których wspiera go załoga złożona z mniej lub bardziej podejrzanych, ale niesamowicie barwnych typów. Mortka bawi się zresztą znakomicie, wykorzystując do granic możliwości wszelkie stereotypy i schematy opowieści o piratach. Mamy tu więc ratowanie porwanej córki gubernatora, obronę oblężonego przez piratów miasta, abordaże i bitwy morskie – wszystko, czego dusza zapragnie. A na dodatek niezliczone odwołania do klasyki gatunku, wydarzeń historycznych, ikon popkultury. Zaiste, kolorowa, wciągająca i nieodparcie zabawna to książka. Aż żałuję, że Mortka planuje ją jako dylogię, bo wiem, że po drugim tomie za bohaterami „Karaibskiej krucjaty" będę tęsknił. Natomiast o samej treści nie ma co dużo pisać. Kolejne rozdziały to kolejne przygody, budujące bardziej złożoną fabułę – czuć, że książka powstała na podstawie sesji RPG. To jednak „rolplej" prowadzony przez wytrawnego mistrza gry, który zna się na swoim fachu. Nie ukrywam, że w rozgrywce prowadzonej przez Mortkę miałbym ochotę wziąć udział. (jd)



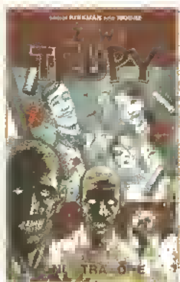
KRÓTKA HISTORIA SZTUKI KOMIKSU W POLSCE (1945 – 2003)

WOJCIECH OBREMSKI
WYDAWNICTWO ADAM MARSZAŁEK

Historia rzeczywiście krótka, ale książce warto przyjrzeć się bliżej, bo choć zwarte opracowania dotyczące sztuki komiksu pojawiają się u nas coraz częściej, to wciąż ich za mało. Od razu jednak muszę powiedzieć, że wolałbym, aby kolejne były nieco staranniejsze. Podstawą książki była praca magisterska i to widać od razu, co jeszcze wadą nie jest, choć przy redakcji można było zrezygnować z czysto akademickich sformułowań na rzecz większego luzu. Na szczęście czuć też, że autor jest pasjonatem i za to plus dla niego. Książka pobieżnie opisuje historię gatunku do roku 1945, skupiając się na latach późniejszych. Mamy też sylwetki najważniejszych rodzimych twórców, trzy „komiksy niezwykłe" (co ciekawe, żaden nie jest polski, choć „Szninkla" oczywiście rysował Grzegorz Rosiński) i przedstawia „popularyzowanie sztuki komiksu w Polsce", od konwentów w Łodzi po publikacje prasowe i wydawnictwa książkowe.

Podstawową wadą książeczki jest niestaranna korekta merytoryczna, co w przypadku takiej pracy razi. Niestety, momentami odnosiłem wrażenie, że autor przeglądając swoją „magisterkę" w niektórych momentach aktualizował dane, a w innych nie. Ot, skoro pisze, że magazyn „Aqq" już się nie ukazuje, to wypadałoby dodać, że wymienione obok „KKK" i „Krakers" również zakończyły swój żywot. Podobnie zresztą wydawnictwo Fun Media. Nie brakuje też błędów rzeczowych, może drobnych, a jednak dokuczliwych. Choćby takich: wydawnictwo „Podsiedlik, Raniowski i Spółka" nie pochodzi z Warszawy, ale z Poznania (i swoją drogą, podobnie jak Motopol, nie publikuje już albumów komiksowych). „Sin City" i „Hellboy" nie ukazały się – jak sugeruje Obremski – w serii „Mistrzowie komiksu". I tak dalej, o na szczęście nielicznych błędach korektorskich nie wspominając. Brakuje mi też szerszego opisania nowych polskich komiksów, które znaleźć się powinno, skoro zgodnie z tytułem opracowanie sięga roku 2003 (a czasami nawet zań wykracza). Pobieżne potraktowanie Jeża Jerzego, „Osiedla Swoboda" czy fenomenu Wilqa nie pozwala na dokładne przyjrzenie się rynkowi komiksowemu w naszym kraju. Dobrze, że chociaż „Mikropolis" zasłużyło na dłuższą wzmiankę. Dziwi też dobór tytułów do rozdziału „Komiksy niezwykłe". Dlaczego tylko trzy? Zgadzam się, każdy z nich zasłużył, by się tam znaleźć („Szninkiel", „Asterix" i „Maus"), ale gdzie są na przykład „Sandman" czy „Strażnicy", żeby pozostać przy wydanych w Polsce tytułach? Razi również, choć to już nie wina autora, bardzo słaba jakość reprodukcji plansz i okładek. Taki temat wymaga dobrych ilustracji!

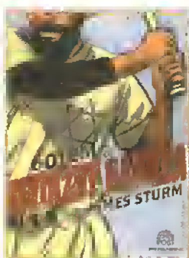
Żeby jednak oddać sprawiedliwość, książka Obremskiego ma kilka fragmentów, dla których warto ją kupić. Po pierwsze, świetna i drobiazgowa bibliografia prac Jerzego Wróblewskiego (szkoda, że autor nie pokusił się o takie opracowanie przy pozostałych biogramach artystów). Po drugie, wywiad z Januszem Christą, który zawsze ma coś ciekawego do powiedzenia. Po trzecie, zestawienie wszystkich odcinków „Kapitana Klossa" w wersji książkowej, telewizyjnej i komiksowej. Parę innych smakowitych ciekawostek również w „Historii..." znajdziecie. Czytajcie więc, ale uważnie i z dystansem. Ja zaś mam nadzieję, że autor przy ewentualnym wznowieniu poprawi swoje nieścisłości, bo wiedzy na dobrą książkę o komiksie na pewno mu nie brakuje. (jd)



ŻYWE TRUPY TOM 1 DNI UTRACONE

scenariusz: ROBERT KIRKMAN
rysunki: TONY MOORE
TAURUS MEDIA

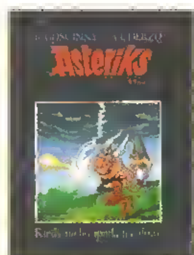
Postrzelony podczas akcji gliniarz, Rick Grimes, budzi się w szpitalu ze śpiączki, by odkryć, że świat zmienił się nie do poznania. Większość ludzi z nieznanych przyczyn zamieniła się w żądne krwi zombi. Część zginęła w nierównej walce z potworami. Niedobitki kryją się z dala od miast, które stały się siedliskami hord żywych trupów. Rick cudem odnajduje swoją zaginioną rodzinę i trafia do obozu podobnych im uciekinierów, z dnia na dzień walczących o przeżycie. Scenarzysta komiksu, Robert Kirkman, tchnął nowe życie w schematyczne i podobne do siebie horrory o zombi. Nie ustrzegł się oczywiście klisz (już sam początek komiksu przywodzi na myśl film „28 dni później" Danny'ego Boyle'a), ale stosuje je świadomie, z szacunkiem dla poprzedników i dla czytelników. Perfekcyjnie łączy grozę z dramatem, humor z tragedią. Wie, jak stopniować napięcie, kiedy wydarzenia spowolnić, a kiedy dosłownie zaatakować kolejnym zwrotem akcji. Kirkman dba o najmniejsze detale, choć do tej pory nie wiem, w jaki sposób Rick mógł przeżyć pod kroplówką w szpitalu pozbawiony całkowicie opieki i otoczony przez żądne krwi stwory. Bawi się również w podrzucanie śladów dla wiernych fanów zombi, np. jeden z pojawiających się na moment bohaterów nazywa się Duane Jones – tak jak odtwórca głównej roli w „Nocy żywych trupów". Świetną robotę wykonał też ilustrator Tony Moore, aż trochę żal, że w kolejnym tomie zastąpi go inny artysta. Znakomity komiks, ale – uwaga – nie dla wrażliwych odbiorców, bo krwi i bebechów zobaczycie tu naprawdę duże ilości (w pewnym momencie stwierdziłem wręcz, że to dobrze, iż album jest czarno-biały). Jeśli jednak Wam to nie przeszkadza, to polecam zdecydowanie. W ciągu ostatnich dwóch tygodni przeczytałem „Żywe trupy" co najmniej cztery razy. I nie zamierzam szybko przestać. (jd)



GOLEM I GWIAZDY DAWIDA

scenariusz i rysunki: JAMES STURM
POST

W latach 20. ubiegłego wieku baseballowa drużyna Stars Of David (jak sama nazwa wskazuje, złożona niemal wyłącznie z zawodników pochodzenia żydowskiego) przemierzała Stany Zjednoczone grając z lokalnymi zespołami w lidze. Gdy jednak seria porażek sprawiła, że sezon może skończyć się katastrofą, gracze postanowili powołać do życia golema, legendarną istotę z gliny, którą wskrzesić mogli jedynie biegli kabaliści. Pomysł, przyznaję, świetny (choć w historii nie ma żadnych elementów nadprzyrodzonych), niestety – ze względu na baseballową tematykę – bardzo hermetyczny. Fajna forma graficzna (proste, klarowne ilustracje, nawiązujące do amerykańskiego undergroundu), ważny głos na temat tolerancji, ale jako rozrywka nieco nużące. (jd)



ASTERIX. KIEDY NIEBO SPADA NA GŁOWĘ

scenariusz i rysunki: ALBERT UDERZO
EGMONT

Najnowszy tom przygód dzielnych Galów miał w Polsce premierę tego samego dnia, co we Francji i to z pewnością jest godne podziwu. Podobnie jak maestria rysunku Uderzo. Niestety, na podziw nie zasługuje już scenariusz albumu – tym razem wioska Galów staje się areną walki dwóch kosmicznych ras, pragnących zdobyć magiczny napój Panoramiksa. Niby komiks jest hołdem złożonym twórczości Walta Disneya, ale po raz kolejny potwierdza się przykry fakt, że Uderzo jest tak słabym scenarzystą, jak wybitnym grafikiem. Oglądanie nowych przygód Asteriksa, Obeliksa i spółki to jak zwykle ogromna przyjemność. Czytanie ich przyprawia jednak o ból zębów. W albumach pisanych przez Uderzo zniknęła cała magia, jaką miały komiksy Rene Goscinnego. Grafik najwyraźniej zapomniał, że komiksy o Asteriksie są przeznaczone nie tylko dla dzieci, ale również (a może nawet przede wszystkim) dla dorosłych. Szkoda. Aha, wierni fani serii zauważą zapewne, że tom nosi numer 33, a poprzedni wydany w Polsce („Asteriks i Latraviata") był trzydziestym pierwszym z kolei. Brakujący tom ukaże się – według słów wydawcy – na początku przyszłego roku. (jd)



ZA KRÓLOWĄ I OJCZYZNĘ SPALONA ZIEMIA

scenariusz: GREG RUCKA
rysunki: STEVE ROLSTON
TAURUS MEDIA

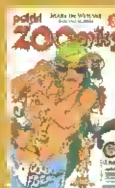
Historia z życia brytyjskich służb specjalnych, zgrabne i wciągające połączenie thrillera sensacyjnego z political fiction. Tara Chace, jedna z najlepszych agentek Secret Service, z powodzeniem wykonuje niebezpieczną misję w Kosowie: zabija współpracującego z mafią rosyjskiego generała.

krótko...



USAGI YOJIMBO tom 7

Wreszcie mamy „brakujące ogniwo", czyli ostatni ze „starych" komiksów o Usagim. Teraz można usiąść w spokoju, przeczytać wszystkie wydane do tej pory części dzieła Stana Sakai (to już siedemnaście tomów!) i niecierpliwie czekać na następne. W opisywanym albumie sporo dowiemy się o nosorożcu Genie, jest też śmieszny epizodzik z dzieciństwa Usagiego i kilka opowieści o duchach i demonach. Niby to samo, co zawsze, ale „to samo" jest niezmiennie najwyższej jakości. (wyd. Mandragora)



POLSKI ZOOMIKS #1

Być może i wśród czytelników „Ślizgu" znajdą się osoby, które pamiętają nadawany niegdyś w telewizji program „Polskie Zoo", w którym postaci z życia publicznego przedstawione były za pomocą niby-zwierzęcych kukiełek. „Zoo" zniknęło z ekranów TV dawno temu, a teraz powraca w formie komiksowej. Tylko po co? Na naszych oczach rodzi się teraz IV Rzeczpospolita, więc nie ma się z czego śmiać... Nie zmienia to jednak faktu, że „Polski Zoomiks" to jedyny wysokonakładowy komiks polityczny w naszym kraju. Stabiusieński i niezbyt śmieszny scenariusz Marcina Wolskiego, niezłe ilustracje Termosa (tego od „Ciach Bajery"). Nie wróżę sukcesu, niestety. (wyd. Mandragora)



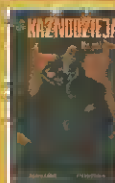
PRZED INCALEM tom 5&6

Wizje Alejandra Jodorowsky'ego bywają oszałamiające („Kasta Metabaronów"), ale czasami męczą. Tak jest w przypadku sześcioczęściowego prequelu do „Incala". Zapewne i wydawcę zmęczyła ta seria, bo ostatnie dwa tomy wypuścił w jednym albumie. Przeczytać można, ale niekoniecznie. Mam za to nadzieję, że szybkie zakończenie cyklu to wstęp do tego, by już wkrótce ukazał się „Incal" Moebiusa. To o wiele lepsza lektura. (wyd. Egmont)



MON-STAR ATTACK tom 1

Jak się okazuje, nawet w Niemczech można robić mangę. Ukrywające się pod pseudonimem „Incredible Duo" dwie dziewczyny mają do Japonii nawet dalej niż my (oczywiście, jeśli wybierze się drogę na wschód), ale wielkie oczy, pokemonopodobne postaci i niskich lotów humor to dla nich chleb codzienny. Niby parodia – dwie sprzedawczynie stawiają czoła najeźdźcom z kosmosu, dowodzonym przez demonicznego Dra K. Rólika – ale jakoś mało to śmieszne. Udawana manga, udawany humor, udawana rozrywka. (wyd. Egmont)



KAZNODZIEJA NA POŁUDNIE

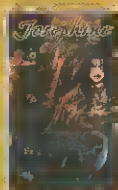
Jesse próbuje odnaleźć Boga za pomocą magii voodoo, Les Enfants du Sang próbują wyrównać rachunki z Cassidym, ten próbuje poderwać Tulip, a Gębodupa próbuje odnaleźć swoje miejsce na ziemi... W kolejnym tomie „Kaznodziei" dzieje się dużo, a w przyszłości wydarzy jeszcze więcej. Co dodać więcej? Jak mantrę mogę powtarzać: czytajcie, bo to dzieło wybitne. Każdy kolejny tom zaskakuje, bawi, przeraża i trzyma w napięciu. A Ennis i Dillon na finał (do którego w polskim wydaniu jeszcze daleko) przyszykowali jeszcze więcej. (wyd. Egmont)

recenzje komiksowe



KAJKO I KOKOSZ SZKOŁA FURGANIO NA LATOWISKU

Okładki wyglądają znajomo? No pewnie, bo oba albumy to nie nowe przygody dzielnych wojów Mirmiła, ale dwa klasyczne komiksy, „Szkoła latania" i „Na wczasach". Tyle że przetłumaczone, odpowiednio na gwarę śląską i kaszubską. A będzie jeszcze góralska „Ogromniasto gońba", czyli „Wielki turniej". Fajny eksperyment, choć gdybym nie znał wcześniej tych historyjek, to pewnie niewiele bym zrozumiał... Polecam, głównie jednak Ślązakom i Kaszubom. Dla pozostałych czytelników lepsze będą wydania oryginalne. (wyd. Egmont)



JOSEPHINE TCHNIENIE CZARNEGO LADU tom 2

Dwa lata trzeba było czekać na drugą część „Josephine", ale opłacało się. Komiks Clarence'a Weatherspoona to udane połączenie przygody z odpowiednią dawką niesamowitości. Dobrze poprowadzona fabuła, świetne rysunki (mocno inspirowane twórczością Mignoli) i tylko szkoda koloru – drugi tom wydany jest w czerni i bieli. Za to dwa razy grubszy. Warto przeczytać (wyd. Mandragora)



SIN CITY DO PIEKŁA I Z POWROTEM

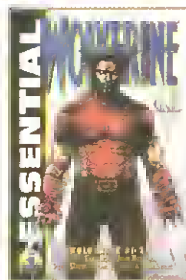
Jak głosi podtytuł, „love story z Miasta Grzechu". Tym razem bohaterem jest były żołnierz, Wallace, który ratuje przed samobójczą śmiercią piękną i tajemniczą Esther. Tym samym wplątuje się w aferę, w której stawką będzie życie jego, dziewczyny i jeszcze wielu innych ludzi... No, nic nowego w Mieście Grzechu, ale czyta się jak zwykle z zapartym tchem. Fascynująca oprawa graficzna w przypadku Franka Millera też nie jest zaskoczeniem. Uwagę zwraca przede wszystkim kilka w pełni kolorowych plansz przedstawiających narkotyczne wizje Wallace'a („spotyka" w nich m.in. Rambo, Hellboya i wikinga Hagara). Swoją drogą, nieźle przewrotny to pomysł: czarno-biała rzeczywistość przeciwstawiona barwnym halucynacjom. Solidna porcja lektury na bardzo wysokim poziomie. (wyd. Egmont)

Podpisuje tym samym na siebie wyrok śmierci – gangsterzy wyznaczają milionową nagrodę za jej głowę. Tara musi liczyć na samą siebie, tym bardziej, że nagle znajdzie się w samym centrum politycznej rozgrywki pomiędzy Secret Service, MI5, CIA i służbami rosyjskimi. Dobra historia, prowadzona niespiesznie, ale konsekwentnie, z pewnością bardziej realistyczna niż niesłychane przygody najsłynniejszego agenta Jej Królewskiej Mości, oznaczonego numerem 007. Dodatkowo uwagę przykuwają świetne okładkowe ilustracje Tima Sale'a (szkoda, że nie rysował całości) i krótka historyjka uzupełniająca, której autorem jest Stan Sakai. Fajnie zobaczyć, jak radzi sobie z opowieścią stricte realistyczną „ojciec" Usagiego Yojimbo. (jd)



JUTRO BĘDZIE FUTRO
scenariusz i rysunki: JOANNA KARPOWICZ
ATROPOS

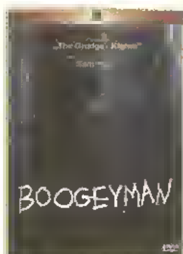
Początek XLI wieku. Od ponad tysiąca lat Ziemię dzielą między siebie – żyjąc we względnej zgodzie i przyjaźni – ludzie i inteligentne zwierzęta. W olbrzymim, wielopoziomowym mieście New Rome dochodzi jednak do wydarzeń, które zwrócą przeciwko sobie rasy. Niezwykły splot wydarzeń sprawi zaś, że Lupita (kobieta) i Jesus (pies) będą musieli połączyć siły, by wyplątać się z nie lada kabały. A sytuacja w mieście robi się coraz bardziej napięta... Ciekawe i obiecujące st. Karpowicz dała się poznać jako autorka ilustracji kontrowersyjnej (i nie do końca udanej, przynajmniej pod względem literackim) „Szminki". Tutaj, w swoim w pełni autorskim albumie, daje pokaz swoich nieprzeciętnych graficznych możliwości. Także scenariusz jest zadowalający. Może zabrakło w nim tego nieokreślonego „czegoś", co pozwoliłoby uznać „Jutro będzie futro" za album w stu procentach udany. Ale i tak jest dobrze: fabuła trzyma się kupy, dialogi brzmią w miarę naturalnie, co pozwala mieć nadzieję, że kolejne części będą jeszcze lepsze. Polecam. (jd)



ESSENTIAL WOLVERINE
RÓŻNI AUTORZY
MANDRAGORA

Wszyscy miłośnicy komiksu znają Wolverine'a, czy też, jeśli wolicie, Logana. Etatowy członek X-Men, obdarzony przez naturę mutacją przyspieszającą gojenie ran, zaś przez naukę niezniszczalnym szkieletem i zabójczymi pazurami z adamantium. Zajebista postać, bohater wielu wydanych również w Polsce komiksów. Nie mogło być chyba lepszego marvelowskiego bohatera, by rozpocząć u nas edycję „Essentiali", zbierających kolejno zeszyty z przygodami danej postaci. W tym przypadku mamy więc 23 odcinki serii „Wolverine" (oryginalnie publikowane od listopada 1988 do kwietnia 1990) – łącznie blisko 550 stron lektury. Wystarczy, by zająć kilka ładnych wieczorów. Logan miał przy tym sporo szczęścia do dobrych twórców. Niektóre scenariusze co prawda nieco już trącą myszką, przygody Wolverine'a są czasem sztampowe (ratowanie niewinnych, osobista zemsta, itp.), ale mimo wszystko czyta się to naprawdę dobrze. Tym bardziej, że za stronę artystyczną odpowiedzialni tu byli zdecydowanie utalentowani rysownicy: John Buscema, John Byrne i Bill Sienkiewicz. Kapitalna sprawa! Warto się „Essentialami" zainteresować, bo po Wolverinie doczekamy się podobnego wydania dziejów Daredevila, a potem będą kolejne (wśród nich być może Spider-Man i Punisher, ale to kwestia, która jeszcze w przyszłości się wyjaśni). Niech Was też nie odstraszy spora cena (prawie 80 złotych), bo „Essential" to produkt warty tej kwoty w stu procentach. Aha, o okładce, której autorem jest Marek Oleksicki, pisaliśmy w ubiegłym miesiącu, teraz więc tylko przypominam dla formalności. Swoją drogą, wydawnictwo Mandragora planuje, by do każdej serii „Essentiali" okładki projektował inny polski rysownik. Mam nadzieję, że ten pomysł wypali. (jd)

animacje



BOOGEYMAN
REŻ. STEPHEN KAY
MONOLITH

Zaczyna się nieźle. Ośmioletni Tim jest świadkiem porwania własnego ojca przez Boogeymana (w dużym uproszczeniu – potwora z szafy bądź spod łóżka, którego boją się zapewne wszystkie anglosaskie dzieci). Czy jednak był to tylko wytwór jego wyobraźni? „Oficjalnie" tata porzucił rodzinę, a chłopak w tak dziwny sposób poradził sobie z traumatycznym doświadczeniem. Po latach Tim wyrósł na nieco znerwicowanego, zamkniętego w sobie młodzieńca, wciąż walczącego z demonami przeszłości. By je oswoić, postanawia spędzić noc w dawno opuszczonym rodzinnym domu. Gdyby oglądał więcej horrorów, wiedziałby, że to bardzo niedobry pomysł. Szkoda, że twórca „Boogeymana" dał się skusić prostym patentom rodem z tanich opowieści grozy, bo miał szansę nakręcić przyzwoity dramat psychologiczny. Ok, byłaby to psychologia typowo hollywoodzka, ale zawsze. Tymczasem marnując dobre pomysły (niektóre rozwiązania przypominają filmy Davida Lyncha, choć oczywiście „Boogeymanowi" do takiej „Zagubionej autostrady" bardzo, bardzo daleko) zdecydował się na najbardziej oczywiste i na dodatek mało straszne rozwiązania. Ale w sumie po co mierzyć się z zawiłościami ludzkiego umysłu, skoro łatwiej wypuścić z szafy potwora? (jd)



KRÓLESTWO NIEBIESKIE
REŻ. RIDLEY SCOTT
UNIVERSAL

Koniec XII wieku. Młody kowal Balian wyrusza do Ziemi Świętej bronić Jerozolimy przed potężną armią Saladyna. Szybko udowadnia swoje męstwo, staje się poważanym żołnierzem i dowódcą, cieszącym się zaufaniem samego króla Jerozolimy, Baldwina IV. Od Baliana też zależeć będą losy armii krzyżowców w ostatecznym starciu z wojskami Saladyna. Kolejny epicki film historyczny Scotta budzi we mnie mieszane uczucia. Zrealizowany jest znakomicie. Sprawna reżyseria, piękne zdjęcia, dbałość o wizualne detale, dobra obsada – trzeba przyznać, że do „Królestwa niebieskiego" realizatorzy się przyłożyli. Nie przyłożył się za to scenarzysta. Film opisuje ostatni okres drugiej krucjaty i prawdy historycznej trzyma się wtedy, kiedy mu to pasuje. Niby większość faktów się zgadza, jednak nagle są do wizji dwóch godnych siebie wojowników (Baliana i Saladyna), którzy wśród krwawego zamętu są w stanie odnaleźć nić porozumienia. No cóż, w końcu to tylko film, a nie wykład z historii. Co ciekawe, część amerykańskich krytyków oskarżała Scotta o zbyt łagodny wizerunek Arabów (!), nie mając zapewne świadomości, że akurat Saladyn należał do władców sprawiedliwych i szlachetnych. Zwłaszcza w porównaniu z tym, co przez wieki wyprawiali w Jerozolimie chrześcijańscy krzyżowcy z Europy. Ale to już zupełnie inny problem. (jd)



STRUŚ PĘDZIWIATR
NAJLEPSZE Z NAJLEPSZYCH
WARNER

Beep-beep! Nadciąga (z ponaddźwiękową prędkością) Struś Pędziwiatr i wiecznie na niego polujący Will E. Kojot. W głowie geniusza animacji Chucka Jonesa narodziło się mnóstwo fantastycznych kreskówek. To on reżyserował najfajniejsze epizody Looney Tunes z Bugsem, Daffym i Yosemite Samem, stworzył najlepsze odcinki Toma i Jerry'ego, ale najbardziej kocham krótkie filmiki ze Strusiem i Kojotem. Wiadomo, nieustający pościg, niezliczone wypadki i fenomenalne gadżety prosto z firmy Acme... Te kreskówki to perełki humoru (tylko ktoś naprawdę błyskotliwy mógł wymyślić suszone kamienie!), świetna robota animatorów i kilkadziesiąt minut dobrej zabawy. DVD dodatkowo jest dobrze przygotowane: przy kilku animacjach możemy wysłuchać komentarzy specjalistów czy wybrać alternatywną ścieżkę dźwiękową. Płyta ukazuje się w serii „Dzieci to lubią". No cóż, dorośli również. (jd)



CZŁOWIEK PIES
REŻ. LOUIS LETTERIER
MONOLITH

Bezwzględny gangster Bart hoduje sobie maszynę do zabijania. Konkretnie Danny'ego, mężczyznę opóźnionego w rozwoju, ale niesamowicie sprawnego i wytrenowanego we wszelkich sztukach walki. Taki Danny to przydatny koleś: zarobi dla szefa kupę kasy (nie ma na niego mocnych w nielegalnych walkach), a i dupę skopie dłużnikom, jeśli potrzeba. Wszystko się jednak zmieni, gdy Danny pozna niewidomego pianistę, dzięki któremu będzie mógł wreszcie zacząć żyć normalnie. Kolejny film spod pióra Luca Bessona, który od momentu porzucenia reżyserii tłucze scenariusze niemal seryjnie. Niektóre udane, niektóre nie. Na szczęście „Człowiek pies" należy do tych lepszych. Sporo wnoszą też nieźli aktorzy – Bob Hoskins, Morgan Freeman i Jet Li, który faktycznie walczy w tym filmie niczym połączenie maszyny i zwierzęcia. Warto też zwrócić uwagę na ścieżkę dźwiękową Massive Attack. Solidna robota dla amatorów kopaniny z głębszym przesłaniem. (jd)



SUICIDE GIRLS. THE FIRST TOUR
EPITAPH

Internetowa witryna suicidegirls.com wyrosła w ciągu kilku ostatnich lat na fenomen cyberkultury. Strona przedstawiająca rozbierane sesje zdjęciowe dziewcząt o subkulturowej proweniencji bije rekordy popularności. Jej autorzy postanowili wykorzystać sławę Suicide Girls i zorganizowali w ubiegłym roku objazdową rewię z udziałem swoich modelek. Rewia okrążyła całe USA, a jej dokumentacja trafiła teraz na płytę DVD. Dzięki niej możemy prześledzić przebieg tej niecodziennej trasy, obejrzeć wywiady z jej uczestniczkami, ich sceniczne występy (swoją drogą przypominają one swoisty konkurs talentów) i materiały z sesji zdjęciowej dla suicidegirls.com. Jako że witryna ma charakter łagodnie erotyczny, nie oczekujcie tu akcji jak z filmów XXX. Zapewniam też, że nie zobaczycie ani jednego silikonowego biustu, za to całkiem słuszną liczbę tatuaży i ekstrawaganckich fryzur. A wszystko to przy akompaniamencie muzyki z kręgu punk/HC/emo/goth. Aha, na okładce widnieje znaczek informujący o ograniczeniu wiekowym. Nie ma to jak zgrabny chwyt promocyjny :) /SBTN/

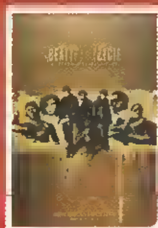


GNIJĄCA PANNA MŁODA
REŻ. TIM BURTON, MIKE JOHNSON
WARNER

Nowa animacja firmowana przez Tima Burtona. Każdy, kto widział wcześniejsze „Miasteczko Halloween", wie mniej więcej, czego się spodziewać. W dużym skrócie – historia młodego człowieka, który przez pomyłkę poślubia zwłoki. Do tragicznej pomyłki doszło, gdy nieszczęsny Victor powtarzał sobie w lesie ślubny ceremoniał i założył obrączkę na coś, co wyglądało jak gałązka, a okazało się ręką zabitej przed laty młodej kobiety. Gest ten przywołał ją z powrotem na ziemię, by mogła zabrać swojego przypadkowego oblubieńca (w którym zresztą zakochuje się od pierwszego wejrzenia) do Krainy Umarłych. Brzmi to niczym gotycka opowieść grozy, ale film jest de facto romantyczną i bardzo miejscami zabawną komedią. Owszem, korzysta z całego sztafażu horrorowego, ale zmyślnie naginając go do potrzeb opowieści. Np. Kraina Umarłych jest o wiele barwniejsza i weselsza od przypominającego ponurą, wiktoriańską Anglię świata żywych. Ale w końcu, jak mówi jeden z bohaterów, „ludzie umierają, by się tu dostać". Pełno tu znakomitych pomysłów, fajnych postaci i doskonałej muzyki (jej autorem jest stały współpracownik Burtona, Danny Elfman). Na dodatek film ma obsadę, jakiej mogłaby pozazdrościć niejedna fabularna produkcja. Swoich głosów (a niekiedy i twarzy) udzielają tu m.in. Johnny Depp, Helena Bonham Carter, Albert Finney i Christopher Lee. Prawdziwa perełka! (jd)

newsy

Ahoj! Kolejny miesiąc za nami, a ja mimo nawałnicy obowiązków ciążących na mej skromnej osobie w związku z objętą niedawno zaszczytną fuchą sekretarza redakcji SLG wciąż zasypuję Was stosami newsów. Zatem „dzieciaku i ty, dziewczynko", nie martwcie się faktem nastania w naszym kraju IV Rzeczypospolitej, nie martwcie się, że twarze dziewczyn promujących nowy materiał WWO są pozakrywane (mają wszak odkryte co innego...), nie martwcie się nawet taką tragedią, że niebawem do sklepów trafi nowa płyta Verby i trzeba się będzie pilnować, żeby nikt nam jej nie podrzucił podstępem do koszyka z zakupami. Będzie dobrze, wszystko się ułoży, ale jakby nie było, to – jak to mawiali piloci odrzutowców po bitwie o Troję – zawsze lepiej być dobrze poinformowanym niż nie być dobrze poinformowanym, nieprawdaż? Zatem do lektury przystąp!



a początku grudnia do polskich księgarni trafi książka o tytule ***„Beaty, Rymy, Życie. Leksykon Muzyki Hip-Hop"*** autorstwa Radka Miszczaka i współpracującego z naszą redakcją Andrzeja Cały, inaczej zwanego Całakiem. Chłopaki postarali się i mają Wam do zaoferowania ponad 500 stron informacji o hip-hopie: od leksykonu wykonawców (ponad 900 artystów!), przez słowniczek pojęć, po przewodnik po wytwórniach i stylach rapowych. A to jeszcze nie wszystko. Jeśli zatem chcecie się dowiedzieć więcej o Waszej ulubionej muzyce, to nie żałujcie paru złotych na tę pozycję. Znając kompetencje i rzetelność obydwu autorów, mogę Wam „Leksykon" serdecznie polecić.

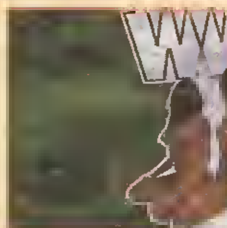
8 grudnia to prawdopodobna data premiery płyty ***Afro Kolektywu*** „Czarno widzę". Ukazać się ten krążek ma nakładem Kreska Records. Na wokalu oczywiście Afro Jax, a obok niego gościnnie Duże Pe i Lilu oraz w chórkach Kinga Miśkiewicz. Produkcja wyjść ma m.in. spod ręki Wielkiego Szu.

Mimo wcześniejszych zapowiedzi, ***Duże Pe*** kontynuuje beef z ***Pihem***. Pamiętamy: był diss białostockiego emce i odpowiedź warszawianina z zastrzeżeniem, że to już koniec. Ale nie był to wcale koniec, jak się okazało, gdyż na kolejny diss Piha („Co!!!") przyszła szybka odpowiedź Pe („P. S."), na którą przyszła jeszcze szybsza odpowiedź Piha („Nie wiesz co cię spotka jutro"), na którą przyszła podwójna odpowiedź Pe („Jutro" oraz „Errata Do Post Scriptum"). Nadążyliście? Heh, rozkręciło się widowisko nieźle, publika szaleje, a raperzy miotają na siebie nawzajem brzydkie wyrazy...



a tymczasem za oceanem wręcz przeciwnie – dwaj wielcy i zdawałoby się odwieczni rywale, ***Nas i Jay-Z***, zakończyli swój spór w wielkim stylu. A było tak. Wszyscy oczekiwali na koncert Jaya, podczas którego miał on jakoby zaatakować kogoś ważnego w rapowym światku (mówiło się głównie o 50 Cencie, Game'ie lub Cam'ronie) i wywołać wojnę. Tymczasem tłum zdębiał, kiedy Hova zaprosił w czasie występu na scenę Nasa i wykonał z nim kilka numerów na przypieczętowanie zgody. „Jesteście świadkami historii. Wszyscy w tym budynku są świadkami historii. Cały ten beef jest do dupy", oświadczył Jay-Z. No to teraz pozostaje nam oczekiwać wspólnego występu Piha z Dużym Pe za parę lat, co panowie na to?

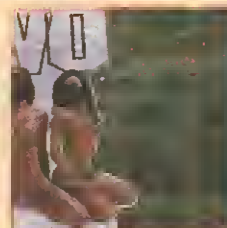
recenzje muzyczne



W WITRYNACH ODBICIA

ŻYCIE NA KREDYCIE
PROSTO





W WYJĄTKOWYCH OKOLICZNOŚCIACH

WITAM WAS W RZECZYWISTOŚCI
PROSTO



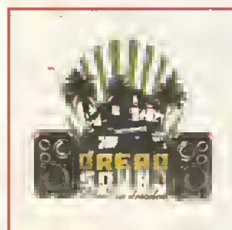
Rozmach towarzyszący obydwu płytom WWO wprowadza nową jakość do rodzimego hip-hopu. Raperzy nie próżnowali.

Progres Jędkera jest ewidentny. Rymuje staranniej, wchodzi na beat z większą uwagą i trzyma się go bliżej. Trzeba posłuchać, jak mota w kapitalnym „Minorum Gentium". Z drugiej strony, jego nawijka to rap pod nieustannym napięciem, ale zarazem rap gubiący wątki, nieco chaotyczny. Słuchacz zapytany po przesłuchaniu albumu, o czym nawijał mc, mógłby mieć problem. U Sokoła jest porządek i konsekwencja, a przede wszystkim ten budzący zazdrość dar rymowania obrazami: „umorusane dzieci meneli charchające resztką nadziei" czy panna, która „gardłem doi fiuty zamiast ręką doić krowy". „Narrator" pozbył się też towarzyszącego mu dystansu – będziecie mogli posłuchać, jak patrzy na śmierć ojca, jak przesypiał noce w autobusach, jak przeżywa dzień atakowany przez natrętów. Stając się bardziej ludzki, stał się przy okazji raperem kompletnym.

Zarzutów do WWO nie ma wiele, raczej jest jeden poważny. Słaba kompozycja. Obydwa krążki mają bardzo, bardzo mocne początki, po czym w środku tracą impet. U Jędkera za sprawą zdominowanych przez L. A. B. Z. (formacja producencka, której stanowi 50%) beatów. To styl świeży i pełen animuszu („Energia" jest idealna na koncert, „I tak osiągnę" to „beat-forteca"), ale to nieokrzesanie w nagromadzeniu nuży, podkłady proszą o więcej kosmetyki, dobry aranż. Płyta przeładowana jest plastikiem. „Tylko my" Zoober Slimma czy wreszcie „Granice wytrzymałości" na laidbackowym kozaku od Horsemen przynoszą wyraźną ulgę i pozwalają pokazać raperowi nieco inne oblicze. Takich rzeczy jest za mało.

U Sokoła męczy nadmiar gości i patentów. Jego płyta jest jak potrawa, do której dorzuca się na siłę więcej i więcej, choć jest wystarczająco dobra. Fajnie mieć na płycie księdza, ale czy za cenę spójności kawałka? Miło zaprosić ziomków, ale duża część występu takiej Firmy nasuwa na myśl starą manierę wokalną Jano, jest nie w tempo i nijak ma się do melodyki utworu.

Tak ambitnie zakrojonego przedsięwzięcia jeszcze nie mieliśmy. Trzeba zapytać więc, jaki jest efekt. W wypadku Jędkera udany, w wypadku Sokoła nieco więcej niż udany, w wypadku Deszcza imponujący. Drugi z wymienionych na zimno znęca się nad rzeczywistością, kontrastując z tym pierwszym, który z niewyczerpywalną energią przelatuje przez beaty. Obserwowanie tego kontrastu to frajda wystarczająca, by polecić kupno obu płyt. **(flint)**



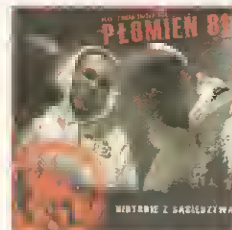
DREADSQUAD

DREAD ZA DREADEM
WIELKIE JOŁ



Rarytas! Harmonijna, przebojowa podróż przez klasyczne reggae, ragga, dancehall, a nawet dub, idealna na imprezę, ale i poranek zachmurzonego dnia. Łącznikiem jest porywająca produkcja Marka Bogdańskiego – to dużo melodii, jeszcze więcej dzikiej energii w perkusjach i bardzo dobre brzmienie. O syntetyczne hiciory byłem spokojny, chociażby z racji na znane wcześniej, a tu obecne, kawałki Bandy Tre, i rzeczywiście są – choćby Tedunio szalejący na riddimie korzystającym z „I like to move it" Reel 2 Real. Miłe zdziwiłem się poaranżowanymi subtelnie i z użyciem żywych instrumentów trackami w klimatach roots – ten z NOK to kwintesencja pozytywności, a Ras Luta w „Mama" nawiązuje do reggae'owej „martyrologii" w udany sposób. Album skomponowany jest jak mixtape, utwory przechodzą w siebie i mimo występów obcojęzycznych (Papastyle&Baldas i Tony Junior Big – bardzo miłe dla ucha), wszystko bez zarzutu funkcjonuje jako całość, łącznie z mistrzowskim, odległym, uspokajającym „World of Creation". Można poszerzyć horyzonty – antyfani Sidneya Polaka muszą przyznać, że utwór z nim ma wiele fantazji, humoru i buja. Tu na jednym krążku hermetyczni hip-hopowcy usłyszą Fu, Mercedresa, Tedego, Numera i Dużego Pe, a w „Mistrzach mikrofonu". Pablopavo (Zjednoczenie, Vavamuffin) odda szacunek hh, prezentując zarazem swoje poglądy na jego historię. Świetna zabawa, piękna rzecz. **(flint)**

UWAGA KONKURS!!!
Szukaj na stronie 10.



PŁOMIEŃ 81

HISTORIE Z SĄSIEDZTWA
KONKRET PROMO



Dawna zajawkowość prysła, dostajemy nawijki typów, od których bije frustracja, zmęczenie szołbiznesem i rutyna. Tylko poprzeciągane wyrazy mają świadczyć o wyluzowaniu. Liczyłem na ursynowską płytę, w końcu złaziłem tę dzielnicę wzdłuż i wszerz, ale lokalnego kolorytu jest tyle co kot napłakał, wypiera go rozczarowanie i marudny typ nostalgii. Jeszcze beaty dobrali sobie panowie, jakby wybierali się na wojnę, a nie nagrywali album w osiedlowych klimatach. Są szare, zimne i nieprzyjazne jak nagrobne płyty,

nie bujają, nie dają kopa wokalom. Przeważa Scoop, który dał się poznać z przebojowych, podbarwionych westcoastem produkcji. Tu nie ma śladu tego, z czego zasłynął, jest sporo nudy, jakiś standard na wokalnym samplu i próba summer hitu. RX ma na koncie dobre syntetyczne bangery. Tu również jego brak. Ośka, Kociołek, Zjawin i Klimson celują w bezbarwność. Dobrze, że pojawił się Nowator, bo ktoś przynajmniej zdradza tu chęć życia. Wyjaśnijmy coś: Pezet i Onar (swoją drogą ma tu sporo lepszych linijek od bardziej utytułowanego kolegi) to na tyle dobrzy mc, że poniżej pewnego poziomu nie schodzą nigdy i nawet zdarzają się na tym krążku wypasy („Jestem przeciw"), tak samo jak produkcja wykazuje realizacyjną poprawność. Jednak przy reanimacjach przynoszących tak rozczarowujące efekty, chyba lepiej dać umrzeć legendzie w spokoju. **(flint)**



V/A
CZARNY PIĄTEK. POLSKI BEAT VOL. 1
SONY BMG



Pomysł wydania składanki z polskim hip-hopem jest jak najbardziej szczytny, pozostaje natomiast pytanie, czy trafny. W założeniu krążek ma chyba ukazywać szeroki przekrój naszej rodzimej sceny, gdyż mamy tu zarówno ZIPów i Hemp Gru, jak i Vavamuffin oraz Natural Dread Killaz, o reprezentacjach Asfaltu i Embargo nie wspominając. Trudno powiedzieć, czy taka różnorodność to dobre rozwiązanie, a dodatkowo można się zawsze spierać nad doborem repertuaru. Jednak, jako że jest to składanka autorska (kawałki dobierał oczywiście gospodarz audycji „Czarny piątek" w radiowej „Trójce", Hieronim Wrona), czepiać się można ewentualnie jedynie jej pomysłodawcy, czego robić nie mam zamiaru. Każdy może spojrzeć na tracklistę i ocenić, czy chce krążek nabyć. Jest na tej składance smaczek w postaci premierowego kawałka Łony we współpracy z Lilu, nagranego specjalnie na tę kompilację. Numer to zupełnie „nielonowy", ze specyficznym klimatem, w sumie bardzo... romantycznym. Miłe i warte sprawdzenia, tym bardziej, że i Lilu daje radę. A na koniec moja osobista uwaga. Otóż uważam, że można było bardziej przyłożyć się do tworzenia wkładki do płyty – numery opisywane są nie po kolei, a na dodatek z licznymi błędami (interpunkcja się kłania) i beznadziejną czcionką. Do poprawy na vol. 2! **GRB**

UWAGA KONKURS!!!
Szukaj na stronie 10.



V/A
MUZYKA MIEJSKA CZĘŚĆ I
EMBARGONAGRANIA



Embargo jest ważnym graczem na rynku wydawniczym i po próbkach w przewadze udanych bardzo płyt zamieszczonych na tej składance doskonale to widać. Mamy utwory Pezeta i Noona, Praktika, Grammatika, 2cztery7, JWP (z drugiej „U ciebie w Mieście") i niestety nawet Noconcreto. Wybór jest poprawny i zupełnie przewidywalny, smakowite są bonusy. O ile dasz radę przełknąć potworny refren u Dizkreta, to można się cieszyć handclapem na werblu, ciepłym klawiszem i nieco oldschoolowym stylem nawijania, który niepotrzebnie porzucono: starannym, rytmicznym, blisko werbla. Dizky pojawia się jeszcze raz (choć nie odnotowuje tego okładka), by umiejętnie wesprzeć Lilu. Dziewczyna występuje równolegle na składaku Hirka Wrony i nie ma się co dziwić, że chętnie po nią sięgają – większość przez beaty pełznie, ona chodzi po nich na paluszkach. „0000" to najlepszy jej udział na legalu i trzeba dodać, że pulsowania muzyki Nega nie zapomina się długo. Ostatnią premią jest instrumental Praktika na koniec – wyrazisty rytmicznie, z syntezatorem na pierwszym planie i gitarą skradającą się w tle. Dobry, jak zwykle dobry. Zapomniałbym – gratką dla kolekcjonerów będzie druga płyta z ósemką klipów. **(flint)**



WSZ & CNE
JESZCZE RAZ
WIELKIE JOŁ



CNE jest raperem przyzwoitym, czasem zaskakującym bardzo miłe (kozacka zwrotka w „Baku Baku Potęga"), rzadko kiedy niemiłe (bo wersy o „płodnym" chłopaku, który marzy, że „oddadzą mu się dziewice", brzmią wyjątkowo sztucznie). WSZ na beat wchodzi od niechcenia, niezależnie od kawałka ma w głosie tę niepoważną nutę i wpada na nieprzewidywalne rymy. Z kartką czy bez kartki, to po prostu Cygan topiący podkłady w swojej osobowości. Tę dwójkę albo darzysz sympatią za luz, konsekwencję w trzymaniu się obranych styli i niecodzienność, albo jej nienawidzisz i plasujesz w trzeciej lidze rapu. Niezależnie od gustu przyznać trzeba, że „Jeszcze raz" ma kilka sporych zalet, które czynią ją sympatyczną: zróżnicowanie tematyczne (od analizowania różnic płci po astrologię); dobrze dobranych i dobrze dysponowanych gości – Anię Sool, Brodkę (!) Daba („Piszę teksty z moją córą na kolanie / a konkurenci mają plamę na piżamie"), Jokę (choć niedolarły ten flow jeszcze...), Jajo (za mikrofonem!), HST, Numera, Kotcza, Analogię; świetnych i póki co mało eksploatowanych producentów, pośród których dominują Mateo i eRAeF! gwarantujący bangery na ciętych samplach i pokombinowaną elektronikę (choć reszta, a zwłaszcza Młody Grzech, też zasługuje na ciepłe słowo). Wreszcie hity oparte o udane teksty – piątka i dziewiątka na płycie porywa i po 30 przesłuchaniach. Sprawdźcie. **(flint)**

UWAGA KONKURS!!!
Szukaj na stronie 10.



NOWATOR
ALFABETYCZNY SPIS
CAMEY RECORDS



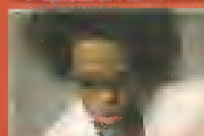
Zerkam na okładkę i przypominają mi się czasy, kiedy pirackie kasety leżały na bazarach obok czosnkowych kiełbas. Uśmiecham się, patrząc na listę dzwonków pod listą tracków. Oooo, dopchnięto „Moją panienkę", żeby na pewno się sprzedało... Dzwoni mi w uszach to singlowe, idealne na wesele ragga. I trochę mi żal, bo choć bliżej tym rytmom do Polsatu i biesiad piwnych niż do Jamajki, to technicznie to nawijanie wychodzi Nowatorowi lepiej niż sporej części nadających wciąż o końcu Babilonu. Raperem też potrafi być niezłym – trzeba docenić ironię w „Automatycznej sekretarce", dobrą historię w „Filmie" oraz punchlines w „Gdzie byłaś" i „Ustaw na full". „Hola" to kolejny „must have" dla fanów



Pewnie już wszyscy znacie artystów nagrodzonych w tegorocznej edycji ***VIBE Awards***. Ja niestety w tej chwili jeszcze nie, ale przynajmniej jestem w stanie podać info o nominacjach. Najwięcej, bo aż pięć z nich przypadło Ciarze (na zdjęciu), w tym do nagrody dla artysty roku (obok 50 Centa, Johna Legenda, Kanyego Westa oraz Mariah Carey). Najlepszy album zostanie wybrany spośród ostatnich wydawnictw Johna Legenda, Kanyego Westa, The Game'a, Lil' Kim i Mariah Carey. A najlepszym raperem zostanie ktoś z piątki: T. I., The Game, Ludacris, 50 Cent, Kanye West. Niestety, organizatorzy gali nie wzięli pod uwagę cyklu wydawniczego „Ślizgu" i laureatów podam Wam dla przyzwoitości w przyszłym miesiącu.



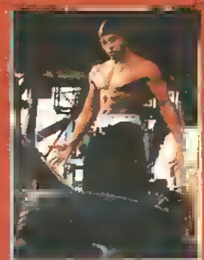
Już za dzień, dwa w sprzedaży za oceanem znajdzie się drugi solowy krążek ***Juelza Santany*** „What The Game's Been Missing". Ostatnio pojawiły się pogłoski, jakoby Juelz miał spory problem, gdyż znalazł się w środku sporu pomiędzy szefem Def Jamu, Jayem-Z (czyli wydawcą jego materiału), a Cam'ronem i Jimem Jonesem ze składu Santany, The Diplomats. Raper wynalazł jednak ciekawy sposób na zażegnanie tych plotek. Założył mianowicie specjalną infolinię, na której zostało nagrane jego oświadczenie na ten temat oraz zachęta do kupna płyty. A to spryciarz z tego Juelza.



„Fire & Glory" to tytuł nadchodzącej drugiej płyty ***Kardinala Offishalla***. Krążek miał być początkowo nazwany „Firestarter Volume 2: The F Word Theory". Spodziewać się go możemy na początku 2006 roku, gościnnie zaś wystąpią na nim Vybz Kartel, Spragga Benz, Busta Rhymes i Akon. Produkcją zajmą się m.in. Cipha Sounds, Nottz i Jake One.



Sen Dog z Cypress Hill i Mellow Man Ace połączyli swe siły i założyli projekt ***The Reyes Brothers***. Efektem tego ma być album duetu pod tytułem „Ghetto Therapy". Wyda go label należący do będących naprawdę braćmi raperów, Latin Thugs Records. Ponoć wydawnictwo Reyesów było w planach już od dobrych paru lat. Album ukaże się w styczniu, na pewno na mikrofonie pojawi się Warren G, a wśród producentów będą DJ Muggs, B-Real i Fredwreck. Ponadto, obydwaj emcees mają w planach wydanie materiałów solowych.



Już chyba zdążyłem Was przyzwyczaić do informacji na temat kryminalnych przypadłości gwiazd amerykańskiego hip-hopu. Czasem jednak raperzy potrafią zaskoczyć swoją inwencją w łamaniu prawa. ***Sticky Fingaz*** na przykład – bo to o członku Onyxu będzie mowa – w swej przenikliwości zostawił ostatnio w hotelowym pokoju w Nowym Jorku naładowany pistolet, znaleziony następnie przez pokojówkę, która oczywiście zawiadomiła władze. Raper oddał się w ręce policji. Sticky Fingaz przebywał

w Wielkim Jabłku, gdyż trwały tam zdjęcia do film „Karma Confessions & Holy", w którym emce gra jedną z ról.



Spore zamieszanie wywołała decyzja komisarza NBA, Davida Sterna, o wprowadzeniu **„dress code"**, czyli wyznacznika ubioru dla koszykarzy grających w tej lidze. Generalnie chodzi o to, żeby kibice nie brali gracza siedzącego „w cywilu" na ławce rezerwowych lub idącego do klubowego autokaru/samolotu za 50 Centa lub (w przypadku białych zawodników) Eminema. Nie wolno ubierać t-shirtów, szortów, podkoszulków. szerokich spodni, a także przeróżnych kajdanów. Duża część graczy zaprotestowała (patrz art o Allenie Iversonie), ale np. taki Stephon Marbury (na zdjęciu) sam zakupił swoim młodszym kolegom z drużyny New York Knicks komplet garniturów. Przypuszczam, że ciąg dalszy nastąpi.



Tymczasem mamy kolejnego rapera-koszykarza. Tym razem jest nim francuski rozgrywający mistrzów NBA San Antonio Spurs, **Tony Parker**. Parker dał się poznać jako emcee podczas parady po zwycięstwie Spurs w NBA, kiedy wykonał swój numer przed 65 tysiącami widzów. Teraz nagrał kawałek z Fabolousem („Top Of The Game", w którym pojawia się także francuski raper Booba) i ponoć w wolnych chwilach pracuje nad materiałem na swój album. Czas na Maćka Lampego. Chłopaku, łap za majka!

Skandal w brytyjskiej rodzinie królewskiej! Pupilek Anglików, **książę Harry**, został przyłapany na niesłychanym wykroczeniu – na imprezie urodzinowej pewnego rugbisty bawił się w rytm gangsterskiego hip-hopu. Stateczni Brytyjczycy są oburzeni, gdyż Harry dodatkowo pił przy tym alkohol i palił papierosy. Gwoli ścisłości warto wspomnieć, że słuchanymi przez księcia numerami były „Cave Bitch" Ice Cube'a i „Ghetto Gospel" 2 Paca. A te, ale z niego za wykolejeniec!



A jeśli już przy plotkach jesteśmy, to nie można nie wspomnieć o ogłoszeniu romansu przez **Lil' Wayne'a i Trinę**. Najnowsza para gołąbków w hip-hopowym showbiznesie zdemaskowała się publicznie na niedługo przed premierą płyty prezydenta Cash Money „Tha Carter 2". Sam krążek ukaże się w sklepach w Stanach już niebawem, bo na początku grudnia. Z kolei Trina właśnie zadebiutowała w serialu „With Friends Like This", gdzie gra właścicielkę agencji modelek, która popada w kłopoty podatkowe.

Coś dla miłośników mniej komercyjnego hip-hopu, tak żeby nie było, że ich pomijam. Od paru dni w USA można już kupić drugi album składu **The Lone Catalysts**, „Good Music". Pierwszy krążek duetu J. Rawlsa i J. Sandsa ukazał się aż cztery lata temu. Na bieżącym wydawnictwie gościnnie pojawią się Masta Ace, El Da Sensei, Jonell i Grap Luva. Wyda je B. U. K. A. Entertainment.

Cam'ron został postrzelony podczas próby kradzieży jego Lamborghini w Waszyngtonie. Gdy Cam wracał w nocy z imprezy, zajechał mu drogę terenowy Ford. Wysiadł z niego napastnik, który chciał wysadzić rapera z auta, a kiedy ten nie chciał się na to zgodzić oddał w jego stronę strzał, po czym uciekł. Cam'ro-

pijackich hymnów, choć raczej dzięki najlepszemu na płycie beatowi RX'a i Onarowi (w formie). „Otwórz te drzwi" polecam z racji na koncept oraz Mesa i Piha. Nowator poza nadawaniem produkuje większość tracków – nie ma własnego stylu, nie ma też strasznych wpadek, „akceptowalne" to dobre słowo. Chłopak z Opoczna wypuścił chwytliwy produkt na jeden sezon – są tu ładne i łagodne rzeczy dla siusiumajtek, tony dla imprezowiczów, pełne bluzgów, dynamiczne kawałki dla sympatyków ostrzejszego rapu, a nawet (infantylna strasznie „Dwuznaczność słów") zabawy słowem. Jest tu potencjał, brak za to wyczucia, zdecydowania, osobowości. (flint)

UWAGA KONKURS!!!
Szukaj na stronie 10.



TEN TYP MES
ALKOPOLIGAMIA – ZAPISKI TYPA
T1

$$$$$◇

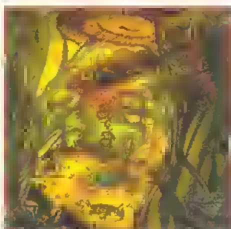
Ależ bym chciał ponarzekać, że brakuje mi bezczela sypiącego punchlines na poczekaniu i dusznego, do przesytu doładowanego basem stylu produkcji z nielegala. Tyle że musiałbym być idiotą. Typ po raz pierwszy umiejętnie wyliczył drogę między Mesem-lajzą a Mesem-jęczybułą. Wisi sobie gdzieś pomiędzy LL Cool J'em i Bukowskim. Nagrał płytę szczerą, spójną, bardzo dojrzałą i zupełnie niedojrzałą. Żeby się uśmiechnąć, zaraz potem zamyślić, docenić klasę metafory („Cygara i pety"), podziwiać koncept i dar narracyjny („Zdrada") i słuchać, słuchać, słuchać bez przełączania tracków. Brak nudy, brak szarży, duży, słyszalny progres w kwestii flow (zawsze było dobre, ale teraz doszło więcej zabaw z tempem, więcej pokory przy przyśpiewkach, a ponadto zdarzają się wersy prawie wykrzyczane, kipiące emocjami). W bogatych, organicznych beatach sporo mięciutkiego, lekkostrawnego jazzu skonfrontowanego z mocnymi perkusjami. Rozbudzić się można przy funky-singlu (Demen), skrajnie dynamicznym „Stop!" czy syntetycznej awangardzie od Emade, pod którą raper rzucił abstrakcyjną historię. Bardzo dobre. Album nie do pojechania, chyba żeby się czepiać okładki wyglądającej jak robiona po znajomych, po godzinach i po kosztach. Uwaga! Warto zainwestować w wersję dwupłytową – choćby tylko dla dwóch niepublikowanych kawałków. (flint)



PROJEKTANCI
MAMY TO WE KRWI!
T1

$$$$◇◇

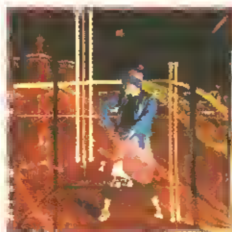
Po przesłuchaniu płyty wiadomo już, że należy ich chwalić, tyle że dość trudno znaleźć epitety. Może niech przemówią linijki: „Nie patrz tak na mnie, brak tu moralizatorstwa / to zimna kalkulacja dla skurwysyńskich postaw", „Dziewczyno, chcesz by szanowali cię wszyscy? / to pokaż, że masz serce, tam gdzie inni widzą cycki", „Nie mamy nic więcej, niż te zwrotki / nic więcej / ale przynajmniej wypluliśmy z ust kneble". Wiadomo, o co chodzi: wersy proste, silne, pełne godności i dumy. Tematyka i follow up'y nie pozostawiają wątpliwości – tak, to hardcore, uniwersalny (zadający kłam stwierdzeniom o sensie dzielenia hh i jego odbiorców), ale i bardzo szczeciński, przesycony innym klimatem, innym slangiem. Puszczając „Daj to głośniej" traficie na wzorcowy refren muzyki osiedli. W „Ludzie odchodzą" ślad zostawił Łona, a to rzadkość. Kilkukrotnie pojawia się Aha, fajnie ją słyszeć, choć raczej z sentymentu, bo rwie się jej ten flow. Co nam zostało? Ano, produkcja. Udana, stylowa, z nerwem. Skoro zdominował ją OSTR (jest Rolo i Twister, ale mam wrażenie, że gdyby coś spartaczyli, dostaliby od Webbera po łapach), a brzmieniem zajął się Magiera, można być przecież zupełnie spokojnym. Wady? Rymek jest stanowczy, bardziej doświadczony, jednak linijkom Glowy i Klemy brakuje jeszcze pewności, nadrabiają ją przejęciem. Zdarzają się zwrotki marudne, przeciąganie słów umie zirytować. (flint)



ŁĄKI ŁAN
ŁĄKI ŁAN
OFFMUSIC/TOTAMTO

$$$$◇◇

Zespół ten darzę osobistym uczuciem. Nie wstydzę się tego przyznać, bo każdy, kto widział ich kiedykolwiek live (a w Warszawie jest na to szansa przynajmniej raz w miesiącu), musi ich kochać. Ponury lokal w podziemiach, tłok, mrok i zewsząd dobiegający bujający groove. Wszyscy klubowicze w podskokach, bo nie da się inaczej. A na scenie muzycy w owadzich strojach napinają bez opamiętania. Książę Sporysz (wokalista) przyrządza w sokowirówce napój z biedronek, nalewa do kubeczków i rozdaje publiczności. Zajebisty szoł i genialna muzyka taneczna, że ach! A jak to wygląda na płycie? Na pewno żart jest tu mniej wyraźny. Sama nie wiem, czy „Texasco" – wieśniackie country (masło maślane) – to żart, czy oni tak na poważnie. Bo że hardcore'owe „Szoping" ma być dowcipnym przerywnikiem, jest już bardziej jasne. No i nie wiem, co myśleć o – cytuję – „starej, smutnej, brudnej kurwie", co nikt już jej nie będzie ruchał no more (ballada „No more"). Ale chyba myślę, że jest śmieszna. No cóż, to młodzi chłopcy i oni tacy wyluzowani po prostu są... Tak to widzę. Poza tym zresztą nie ma się do czego przypiąć – już tylko zażerający funko-house z moim ulubionym „Hononatono" na czele. Fala



MARIA PESZEK
MIASTO MANIA
KAYAX / POMATON

$$$$◇◇

Dobra aktorka Maria Peszek okazała się również dobrą wokalistką. Nagrała fajną, jazzująco-chillującą-leniwą płytę, zgodnie z tytułem bardzo miejską. „Miasto mania" przywołuje na myśl zarówno zadymione maleńkie kluby, jak i spacery po pustych nocą ulicach Warszawy. Płyta ma klimat lekko, hmm, bohemiarski, ale w tym przypadku to nie zarzut, ale atut. Jednak ta sympatyczna płyta nie znalazłaby się zapewne pośród ślizgowych recenzji, gdyby nie udział, jaki w jej nagraniu miał klan Waglewskich. Autorem muzyki do większości utworów jest lider VooVoo, Wojciech Waglewski, ale i jego synowie mieli duży wkład w produkcję „Miasto manii". Emade płytę zmiksował i zajął się produkcją połowy nagrań, Fisz jest współautorem dwóch kawałków, w których również śpiewa – dziwnej, niepokojącej „Ballady nie lada" (współkompozytorem i producentem tej piosenki jest Envee) i kapitalnego „Lali lali". Fani twórczości obu braci na pewno choćby dla tych

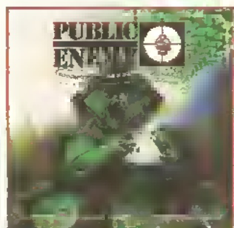
utworów – choć nie mają one już zupełnie nic wspólnego z hip-hopem – sięgną. Lecz „Miasto manii" powinni posłuchać wszyscy, którzy lubią inteligentną, dobrą muzykę, bo Peszek przygotowała naprawdę dużą i przyjemną niespodziankę. (jd)



SHAGGY
CLOTHESDROP
UNIVERSAL

$ $ $ ◇ ◇ ◇

Shaggy zawsze balansował na granicy popu i reggae. Zresztą dziękujemy mu bardzo – utorował drogę kariery dancehallowi, który przecież wszyscy bardzo lubimy, czyż nie? Ale właśnie wszechobecna dostępność jamajkowych graczy sprowadza pana Shaggy'ego do parteru. Gdyby nie jego niski, naburmuszony głos, który darzę afektem jeszcze z czasów dzieciństwa, nie zniosłabym „Clothesdrop" nawet do połowy. Naiwne podkłady, refreny i przyśpiewki, które niebezpiecznie coś przypominają. Na przykład featuring z Will. i. am'em z Black Eyed Peas brzmi jak featuring z Pharellem i nie jest to bynajmniej komplement. Raczej gwóźdź do popowej trumny. Reggae'owe melodie odsyłają nas w głębokie lata 90. Za grosz świeżości, zero pazura. Brakuje też wielkich hiciorów, które ratowały dotąd dokonania Shaggy'ego. Natomiast Shaggy śpiewa – może warto to usłyszeć, bo wychodzi mu całkiem słodko („Gone with angels" z towarzyszeniem chóru gospel). Z lepszych kawałków mamy tu kozacki „Wild 2nite" z Olivią z G-Unit, zażerający „Broadway" i zaangażowany politycznie „Repent". I tyle! Reszta to około erotyczne majaczenia 40-latka, co najlepiej podkreśla tytuł płyty. Ale rodzicom można na Mikołajki kupić. Fala

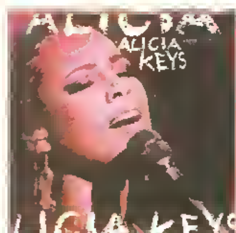


PUBLIC ENEMY
NEW WHIRL ODOR
SLAM JAMZ

$ $ $ ◇ ◇ ◇

Najnowsza produkcja jednego z najważniejszych zespołów w historii hip-hopu nieco rozczarowuje. Zdaje się, że Chuck D i spółka utkwili na początku lat 90. i to zarówno w warstwie tekstowej, jak i muzycznej. Kiedyś to było coś nowego, teraz trudno oczekiwać od PE przełomowego wydawnictwa. Wiadomo, że clue twórczości zespołu to przekaz, ale można było bardziej dopieścić technikę oraz postarać się o uwspółcześnienie brzmienia. Proffesor Griff nie wykazuje progresu jako beatmaker (o byciu „emce" nie wspominając), a Johnny Juice i Abnormal są co najwyżej poprawni. Wychodzi na to, że producentem wybijającego się traka „MKLVFKWR" (czyli kawałka mającego już grubo ponad rok) jest... Moby, a fakt ten mówi sam za siebie. Nie jest jednak aż tak bardzo źle. „Bring That Beat Back", „Makes You Blind" czy kawałek tytułowy to dobre numery, Chuck jak zawsze podejmuje trudne tematy, jest bezkompromisowy (miło posłuchać, jak dokłada choćby „bling-blingowym" raperom), z tym że po prostu od legendy należałoby oczekiwać nieco więcej. Ciekawą sprawą jest niemal zupełny brak Flavor Flava na płycie – chyba zabrakło mu chęci do bardziej aktywnego uczestnictwa w projekcie. Nie oszukujmy się, lata świetności Public Enemy i Chuck D mają już dawno za sobą. Szkoda. Ocenę podwyższam o pół „eśki" za dołączone do krążka DVD z dość ciekawym materiałem. GRB

UWAGA KONKURS!!!
Szukaj na stronie 10.



ALICIA KEYS
UNPLUGGED
SONY BMG

$ $ $ $ $ ◇

Nigdy nie byłam fanką tego cudownego dziecka szołbizu, choć wszyscy zawsze usiłowali mi wmówić, że powinnam. Bo talent pianistyczny i wokalny, i ten feeling, i to bluesowe frazowanie, i te nagrody Grammy. No, nic tylko usiąść i westchnąć nad geniuszem 24-latki. A ja nic. Gdybym jednak usłyszała jako pierwszą płytę „Unplugged", mogło by być całkiem inaczej. Jawiąca mi się dotąd jako nadęta, zbyt uduchowiona i przekombinowana małolata, okazuje się zwykłą dziewczyną z zamiłowaniem do darcia japy i oldskulowych zagrywek takich ze zbyt długim dźwiękiem a capella na końcach utworów. Do tego zabawną i naturalną (z nieskrywaną satysfakcją wyłapałam fałszyk w wokalizach), gadającą bzdury do publiczności... No, bo co też do nich gadać. Największym zaskoczeniem był dla mnie jednak jej głos. Nie cienki i nosowy jak w MTV, ale niski, dojrzały i zachrypnięty. I o to chodzi – żeby przywalić z płuca. Alicia śpiewa na płycie wszystkie hiciory plus próbki nowych kawałków. Najlepiej wypada „If I ain't got you" (pełna wczuwka), „Woman's worth" i cover piosenki Stonesów „Wild horses". Lekkim zawodem jest „Fallin'" w okrojonej wersji. Ale jest bonusik dla smakoszy: oprócz świetnej orkiestry i chórku, Alicii towarzyszą na płycie Mos Def, Common i Damian Marley. Końcówka albumu jest dzięki nim tak udana, że chce się włączyć od początku. Piękna płyta, dobra na jesienne wieczory, nasycona prawdziwym hip-hopowym duchem. Fala



BURNING SPEAR
OUR MUSIC
KARTEL MUSIC

$ $ $ $ ◇ ◇ (3,5)

„Our music" Winstona Rodneya (znanego głównie jako Burning Spear) to, jak nietrudno się domyślić, utrzymana w klimatach roots reggae płyta. Dodajmy, że przyjemna, choć dla ludzi podobnie jak ja niebędących proja-majskimi ortodoksami, miejscami może okazać się dość monotonna. Inni będą traktować ją jak świętość, wskazując na ponad 30-letnią karierę i otrzymane przez weterana nagrody (choćby Grammy). W prostych tekstach Rodney mówi o miłości, wolności, potrzebie powrotu do korzeni („Ona musi zdobyć jedzenie / dla swojej córki / i nie może polegać / na kawałku papieru"), wychwala też poczet swoich duchowych bohaterów: od Paula Bogle'a, Elijah Muhammeda, Macolma X, Martina Luthera Kinga aż po darzonego szczególną czcią Marcusa Garveya (deportowanego z USA autora podstawowych elementów ideologii rastafariańskiej). Co więcej, gospodarz całą płytę napisał i zaaranżował sam. Kierował nawet sekcją dęta, a ta ma duże zasługi w tym, że najlepsze, żywe i melodyjne „Try Again" trzeba przesłuchać koniecznie. Nie można ominąć też „Walk" i „Little Garvey". „Nasza muzyka, oni myślą, że ją straciliśmy", śpiewa artysta. Oni się mylą. I dobrze. (flint)

---

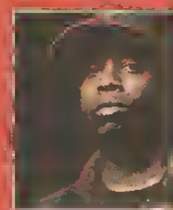
nowi nic poważnego się nie stało, został zraniony w obydwie ręce. Po zdarzeniu skomentował: „Ludzie są głupi, jeśli myślą, że stracę głowę i oddam im moją własność, kiedy tylko mi zagrożą". Twardy jest, ale co byłoby, gdyby złodziej wycelował troszkę lepiej?



Diddy szykuje się do wydania przez swój label Bad Boy płyty, na której znajdą się duety ***Notoriousa B. I. G.*** z dzisiejszymi (i wciąż żyjącymi, co najważniejsze) artystami. Krążek wyjdzie 20 grudnia i będzie nosić tytuł „The Notorious B. I. G. Duets: The Final Chapter". Obok legendarnego emce usłyszymy na tym wydawnictwie m.in. samego Diddy'ego, Eminema, Obie'ego Trice'a, Twistę, Bone Thugs-N-Harmony i Jaya-Z. Natomiast Swizz Beatz, Timbaland, Jazze Pha, Just Blaze, Havoc, Scott Storch, DJ Green Lantern i inni znajdą się wśród producentów tego projektu.



Planet Asia ma w przyszłym roku zamiar zasypać nas nowymi płyciwami swego autorstwa. Wydaje bowiem trylogię „The Medi-Cali Trilogy", której pierwsza część, „The Sickness, Part One", ukazać się ma pod koniec stycznia (gościnnie m.in. Rasco, Killa Ben i Moka Only, a wśród beatmakerów Jake One i Khalil). Po niej nastąpi druga część (a to ciekawe!), „The Diagnosis" we współpracy z DJ'em Warriorem, a po niej zamknięcie serii, „The Medicine". Szczególnie ten ostatni krążek godny jest uwagi. Mają się na nim pojawić Black Thought, Prodigy, Dilated Peoples, Defari i Strong Arm Steady (pisaliśmy o nich niedawno w SLG), a producentem całości będzie członek DP, Evidence.



Jednak nie Warner, a Koch będzie wydawcą płyty ***Taliba Kweliego*** „Right About Now...". Krążek już lada dzień w sprzedaży (w USA 22 listopada), gdyż na szczęście zamieszanie wokół spraw biznesowych nie opóźniło wydania albumu. Na płycie pojawiają się Mos Def, Planet Asia, Jean Grae, Phil Da Agony i Papoose.



Pisałem już niegdyś o niechęci, jaką żywią do siebie Jay-Z i R. Kelly po niewypale, jakim zakończył się ich wspólny projekt „Best of Both Worlds" i związany z nim tour obydwu panów. Perypetie zakończyły się pozwami sądowymi artystów przeciwko sobie nawzajem, a ostatnio R. Kelly dołożył kolejny. Chodzi o to, że Def Jam zatrudnił niedawno człowieka, który wcześniej zaatakował Kelly'ego w czasie jednego z koncertów. Dowodzi to, według piosenkarza, że napastnik działał w zmowie z Jayem przeciwko niemu. Na co obecny szef Def Jamu stwierdził, że R. Kelly chce po prostu odwrócić uwagę od czekającego go procesu za uprawianie seksu z nieletnią dziewczyną i szuka sensacji. Weź tu bądź człowieku mądry.



LL Cool J (tak, on jeszcze żyje!) przygotowuje się do wydania swego dwunastego albumu w karierze. Ukaże się on najwcześniej w połowie 2006 roku. Mary J. Blidge, Teairra Mari, Freeway, Genuwine i 112 to artyści, z którymi LL nagrał już kawałki na nowy materiał. Dodatkowo, kontynuując swoją przygodę z aktorstwem, raper wystąpi u boku Queen Latifah we wchodzącym do kin w styczniu filmie „Last Holiday".

przygotował Grabiszczy





CAPONE
PAIN, TIME & GLORY
FAST LIFE MUSIC

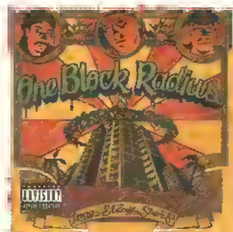
Doprawdy, trudno jest być zwolennikiem stylu Capone'a. Skrzeczący głos jak u przechodzącego mutację nastolatka, połączony z nieustannymi nawiązaniami do ciężkiego życia na ulicy, hustlerki i „bang, bang, Czarnuchu" – to bywa nie do zniesienia. A gdy do tego dodać stylistykę bitów, która owszem była modna, ale jakieś dziesięć lat temu, to otrzymamy dość nieciekawy produkt, jakim jest ten trwający aż 71 minut krążek. Nie żeby było kompletnie źle, bo dzięki dobrym trakom producentów takich jak Frank Nitty („Street's Favourite", „Where The Stuff At") i TWiNZ („The Manual") da się album przesłuchać do końca. Wracać jednak do więcej niż kilku numerów absolutnie nie mam zamiaru. W jednym z kawałków („All 4 U") Capone rapuje: „Sorry for all the weak songs I've sung". No, to po „Pain, Time & Glory" przyjdzie mu przepraszać za kilka kolejnych słabych piosenek... GRB





LOTEK HI-FI
MIXED BLESSINGS
BIG DADA

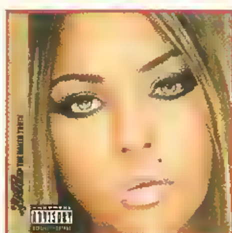
Album stanowiący dowód na popularną ostatnio tezę, że brytyjski hip-hop stanowi w tej chwili awangardę tego gatunku na świecie. Ale chwila, chwila... Przecież to nie jest wyłącznie hh w czystej postaci. Absolutnie nie. Mamy tu bowiem cały wachlarz przeróżnych wpływów innych gatunków, od dubu przez reggae do dancehallu, a to tylko wierzchołek góry lodowej. Można rzec, że „Mixed Blessings" to taka kwintesencja Jamajki, ale w zdecydowanie aktualnym brytyjskim klimacie – prawie na każdym numerze mamy w tle niepokojący smaczek, jakiś nieodłączny element grime'u. Całością produkcji zajął się współpracujący niedawno z Roots Manuvą (który zresztą gości na płycie w jednym numerze) Wayne 'Lotek' Bennet, udzielający się też wydatnie na wokalu. Obok niego w składzie crew mamy również Wayne'a Paula oraz dysponującego „chali2nowym" tembrem głosu Aureliusa. Dwaj pierwsi oprócz rapowania często podśpiewują, zaś ostatni dodaje swoim partiom niesłychanej mocy. Ta bardzo zgrana ze sobą trójka doskonale sprawdza się w każdej z konwencji, o które album się ociera – czy to w otwierającym płytę przebojowym hip-hopowym „Ram Dancehall" (najlepszy numer na płycie w mej ocenie), czy w reggae'owym „Sticks & Stones", czy też wreszcie w lekko tripowym „Slowburn". Co tu dużo mówić, kawał dobrej muzyki po prostu. Nie polecam tylko osobom mającym alergię na pierwiastki karaibskie w hip-hopie, bo zaiste jest ich tu dużo. GRB





ONE BLOCK RADIUS
LONG STORY SHORT
AVATAR

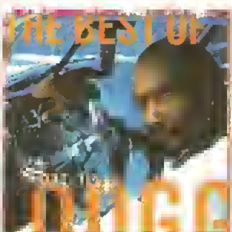
One Block Radius to trio, w skład którego wchodzą Marty James, Z-Man i DJ MDA. Pierwszy kontakt z płytą robi wrażenie, ale w miarę słuchania przychodzi refleksja, że ten porównywany do Black Eyed Peas eklektyzm po pierwsze, atakuje nas znikąd (BEP miało dwie świetne płyty, które stały się punktem wyjścia do eksperymentu), a po drugie, kryje za sobą zupełny brak stylu. Non stop doświadczane uczucie pt. „Już to gdzieś słyszałem" robi się zaś nieznośne i żenujące. „Look Out Below" od początkowych taktów kojarzy się z kawałkiem Mary J. Blige i Method Mana. „I Like him" i „Learn the words" to zupełna solówka Q-Tipa (zarówno beat jak i sposób rymowania!). „Alone" mógłby produkować Phil Collins, pod „Loud&Clear" podpisać się Andre z Outkast, a „Smokescreen" wyjść spod ręki Red Hot Chilli Peppers. Nie wiadomo, o co chodzi, gdy z jednej strony naciera... nie wiem, electro funk („Not Enuff", „Champion", „Purple&Orange"), z drugiej regularne popowe ballady („Black Mercedes", „Up in the hills"). Płyta dla wszystkich, a więc płyta dla nikogo. Choć, przynajmniej, dobrze zrobiona, zaskakująca nieraz przebogatą aranżacją i przejściami w beatach i przez pewien czas milutka dla ucha. (flint)





LIL' KIM
THE NAKED TRUTH
WARNER/ATLANTIC

Czwarta solówka Lil' Kim. Płyta, o której dużo się mówiło już przed jej wydaniem z powodu ciążącego na raperce wyroku. „The Source" przyznał temu wydawnictwu najwyższą z możliwych ocen, czyli „five mics". Czy słusznie? Niekoniecznie. Owszem, nie ulega raczej wątpliwości, że to najlepszy jak dotąd krążek Lil' Kim, ale nie jest to też w żadnym razie klasyk. Czego się wobec tego spodziewać? Wszystkiego po trochu – mamy więc agresywne dissy („Quiet" z The Game'em), braggi – obracające się głównie w sferze seksu, rzecz jasna („Kitty Box", „Gimmie That"), hołdy składane „sąsiedztwu" („Lighters Up", gdzie Kim zaskakuje stylizacją reggaeową, co wychodzi jej całkiem przyzwoicie), kawałki pseudo-gangsterskie („All Good", „Get Yours", „We Don't Give A Fuck"), a nawet klubowy banger („Whoa"). Różnorodnie jest też pod względem produkcji, choć trudno o jakikolwiek przełom. W sumie „The Naked Truth" to płyta przyzwoita, której warto posłuchać, a do kilku numerów z przyjemnością się wraca. U nas jednak zamiast maxa, tylko (czy też aż) cztery „eski". GRB





SNOOP DOGG
THE BEST OF
PRIORITY RECORDS

Kto zechce znaleźć na tej płycie hity Snoopa z czasów Death Row lub ostatnie przeboje z „R&G", srodze się rozczaruje. Kawałki zamieszczone tu pochodzą jedynie z czterech krążków, które Snoop wydał w Priority Records. Do tego dochodzi po jednym tracku ze ścieżki dźwiękowej filmu „Caught Up" i ze składanki „WWF: Aggression". Piosenek z ostatniej płyty Snoop Dogga nie ma, gdyż wydał ją Geffen. Numery z „Doggystyle" i „Tha Doggfa-

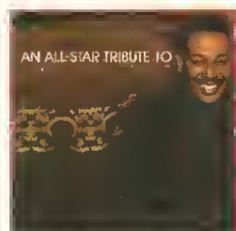
ther" nie mogły się tu znaleźć, bo prawa do nich dzierży Suge Knight. Na dobrą sprawę zatem wydawnictwo to nie powinno się było po prostu ukazywać pod takim tytułem. Więcej – nie powinno się było ukazywać w ogóle. Znalazło się na nim bowiem zbyt dużo kawałków po prostu kiepskich. Nie znaczy to, że nie ma tu kilku hiciorów (np. „Lay Low" czy „Beautiful", by wymienić tylko dwa z nich), jednak co tu dużo ukrywać – okres, kiedy Snoop związany był z No Limit Mastera P, jest najsłabszy w karierze rapera, a takie kwiatki jak „Stacey Adams" czy „Stoplight" nie wystawiają mu dobrej laurki. Trochę bez sensu. GRB



MS DYNAMITE
JUDGEMENT DAYS
POLYDOR



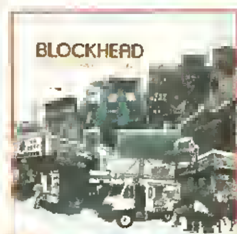
Po dwóch latach ucieczki od życia na brytyjskim świeczniku, urodzeniu syna, osiągnięciu pełni wewnętrznego spokoju, Ms Dynamite powraca z drugim względnie dobrym albumem „Judgement Days". Kontynuuje na nim swoją misję, za jaką uważa nagrywanie muzyki. Nie ma rewolucji, ani w sferze lirycznej (w dalszym ciągu to zaangażowane teksty traktujące raz o miłości, raz o społecznych bolączkach), ani w samym brzmieniu. Jedyny zarzut do Ms D, to negatywnie wpływająca na całość kooperacja z ludźmi produkującymi muzykę dla m.in. Britney czy Ashanti. Wypolerowali oni tę jakże uzależniającą mieszankę hip-hopu, R'n'B i jamajskiej wibracji z debiutanckiego „A Little Deeper". Efekt jest taki, że tu utwory porywające mieszają się z nudnymi trakami spod znaku banalnego, populistycznego R'n'B. „Judgement Days" słucham z przyjemnością, jednak lepszym albumem jest bardziej odważny debiut Ms Dynamite, „A Little Deeper". Stać ją na więcej. Tymoteusz Kubik



V/A
SO AMAZING. AN ALL-STAR TRIBUTE TO LUTHER VANDROSS
SONY BMG / JIVE



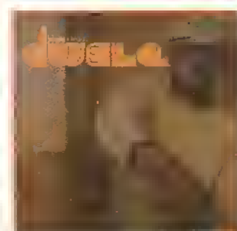
Gwiazdy R'n'B (Mary J. Blige, Alicia Keys, Beyonce, Usher czy John Legend), giganci soulu (Patti Labelle, Donna Summer, Aretha Franklin, Stevie Wonder), wreszcie czołowi artyści popowi (Elton John, Celine Dion) – oni wszyscy (a i to jeszcze nie komplet wykonawców) pojawiają się na tej ciekawej płycie. Cel był na tyle szczytny, że udało się ich zachęcić bez problemów. Artyści interpretujący utwory zmarłego kilka miesięcy temu Luthera Vandrossa brzmią przekonująco. Słychać, że każdy z nich włożył w nagranie maksimum wysiłku – dobry sposób na oddanie hołdu legendzie czarnej muzyki. Jednak kłopot w tym, że nie wszystkim starcza rzeczywistych wokalnych umiejętności do zmierzenia się z repertuarem mistrza. Dają radę głównie John Legend i Donna Summer, ciekawą wersję „Always & Forever" zaprezentował Wyclef. Duża jednak część gwiazd i gwiazdek daje nam tylko przeciętne utwory. Mogło być lepiej, ale dobrze, że w ogóle jest. GRB



BLOCKHEAD
DOWNTOWN SCIENCE
NINJA TUNE



Manhattańskie podziemie jest niebezpieczne, a czasem romantyczne. Taki jest też nowy album Tony'ego Simona vel Blockhead: bywa brutalny, bywa rozrzewniony. „Downtown Science, bo o nim mówimy, to płyta zadedykowana właśnie temu miejscu, ulicom, na których Tony dorastał, na których codziennie doświadczał skrajnych sytuacji, które tam są codziennością. Z takiej, a nie innej autopsji wypływa nam mroczny, głęboko emocjonalny instrumentalny hip-hop z często spiętrzonymi bębnami i romantycznymi cutami. Na „Downtown Scence" składa się 12 całkiem różnych od siebie mini-opowiastek, które mogłyby służyć jako tło muzyczne etiud filmowych, najzdolniejszych offowych reżyserów. Ciężko wytypować faworytów, każdy utwór ma swój wyrazisty charakter. Jeden dominują ostre riffy, inny przeszywający wokal czy pełna sekcja dęta. Hip-hopowy misz masz. Możesz to nazwać mieszanką Shadowa i RJD2, ale to jest po prostu indywidualny styl Blockhead. Tymoteusz Kubik



DWELE
SOME KINDA
VIRGIN RECORDS



„Some Kinda" to trzynastopiosenkowa subtelna muzyczna opowieść o miłości. Jej bazą jest muzyczne tło – nowoczesny soul z wyraźnymi wpływami stylistyki Detroit i z zachowaniem tradycji. Naszpikowany ciepłym basem i świetnymi wejściami sekcji dętej. Wypełniony chłopięcym wokalem. Bez potencjalnych hitów, za to bardzo równy. Rozkręca się z czasem, apogeum miłosnego liryzmu osiągając w tytułowym „Some Kinda" z Antwanem Gardnerem oraz w jazzowo-zabarwionym „Wake the Baby". Na półce w sklepie będzie leżał obok, pierwszego albumu Dwelego, „Subject" i pewnie obok „VooDoo" D'Angelo, ale od „Some Kinda" będzie bić wysublimowany blask najlepszej płyty tej kategorii. Cudowny krążek. Soundtrack do miłosnych uniesień z Waszymi partnerkami. Zainwestujcie w nią, a będziecie, co najmniej wniebowzięci. Tymoteusz Kubik



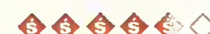
I AM GHOST
WE ARE ALWAYS SEARCHING
EPITAPH



Mrok, wampiryzm, melancholia i spora dawka ostrego grania. I Am Ghost to damsko-męski kwintet demonicznych goth-punków, a zarazem nowe odkrycie wytwórni Epitaph. Kalifornijskie wampiry mierzą się z przebojowym i niemal monumentalnym gotyckim punk rockiem, choć nie raz zdarza im się otrzeć o wrzaskliwy hardcore. Skojarzenia z takimi zespołami jak AFI, From First To Last czy Aiden będą zatem absolutnie na miejscu. Piosenki (o tytułach w rodzaju „Pretty People Never Lie / Vampires Really Never Die" czy „Lady Medeline in Her Coffin" i z tekstami jak z Edgara Allana Poe) są długie i bardzo starannie zaaranżowane – z mieszanymi wokalami, gitarowymi solówkami granymi unisono, a czasem z kojącymi dźwiękami pianina i skrzypiec. Bardzo przyjemna płyta na Halloween i ponętny fetysz dla wszystkich zwolenników mrocznej strony punk rocka. /SBTN/



FRANZ FERDINAND
YOU COULD HAVE IT SO MUCH BETTER
DOMINO



Szkocki zespół Franz Ferdinand narobił swoim debiutanckim albumem sporo zamieszania w ubiegłym roku. Niedługo przyszło nam czekać na kolejną płytę, trochę jakby muzycy chcieli jak najszybciej mieć z głowy drugi – jak się powszechnie uważa najtrudniejszy w karierze – album. „You Could Have It So Much Better" dowodzi jednak, że pomysłów na granie nowoczesnego, tajnego rocka Franzowi Ferdinandowi nie brakuje. Zespół miesza w swoich nagraniach najlepsze wpływy brytyjskiej muzyki popularnej. Jest tu trochę punkowej zadziorności, można usłyszeć echa twórczości The Strokes, Pulp czy nawet Beatlesów, połączone z niemal tunkowymi liniami basu i tanecznymi rytmami. Styl, w którym porusza się Franz Ferdinand, można – jakby chcieli niektórzy krytycy – zaliczyć do enigmatycznego nurtu „new rock revolution". Zespół jednak takich etykietek nie potrzebuje. Po prostu gra swoje: soczystą dawkę fajnego, łatwo przyswajalnego i energetycznego rocka. Tytuł płyty sugeruje, że zawartość krążka mogła być o wiele lepsza. No, nie wiem. Pewnie tak, ale muzyka Franza Ferdinanda sprawia, że nawet się nad tym nie zastanawiam. (jd)



HORRORPOPS
BRING IT ON!
HELLCAT / EPITAPH



Zastanawiam się, czy to kalifornijskiemu słońcu, litrom wypitego Jagermaistera, czy może po prostu miłości do rock'n'rolla zawdzięczają HorrorPops umiejętność pisania tak wystrzałowych piosenek. Na swoim drugim longpleju, duńsko-amerykańskie combo z poczuciem humoru i brawurą zbratało psychobilly, punk rock i surf. Nowy gitarzysta, Geoff Kresge zadomowił się już w zespole na tyle, aby zadbać o odpowiednią siłę gitarowego ognia. Drugi z gitarmenów, Kim Nekroman dorzuca riffy, których nie powstydziłby się król surfu Dick Dale, a jego małżonka Patricia Day namiętnym głosem wyśpiewuje ironiczne teksty, pogrywając przy tym na kontrabasie. I HorrorPops robią swoje bez pudła, bo każda z trzynastu nowych piosenek tego szalonego ansamblu jest autentycznym przebojem! „Bring It On!" słucha się tym lepiej, że płyta została świetnie wyprodukowana przez gitarzystę Bad Religion, a zarazem właściciela wytwórni Epitaph, Bretta Gurewitza, który wsparł zresztą wokalnie Patricię w świetnym „You Walk Like a Zombie". Jedna z najlepszych rock'n'rollowych płyt tego roku. Bring It On! /SBTN/











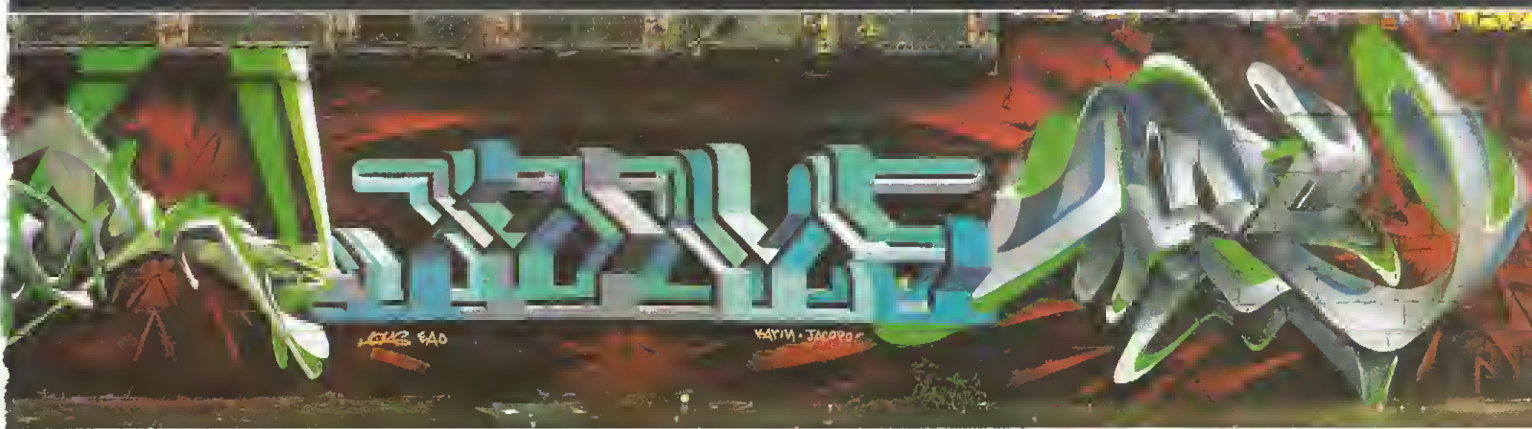










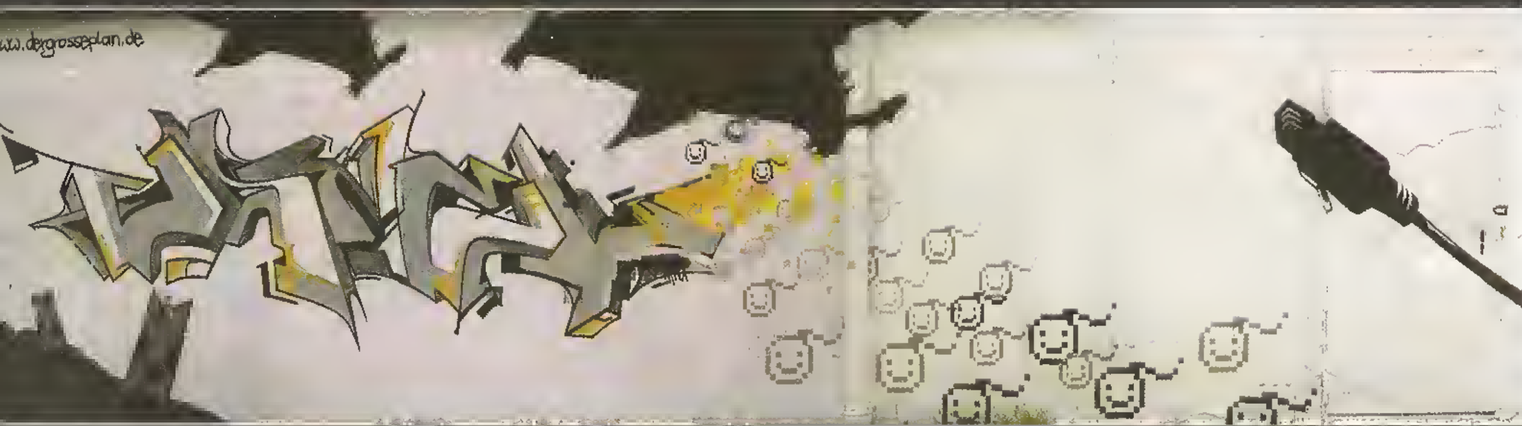











ww.dergrosseplan.de



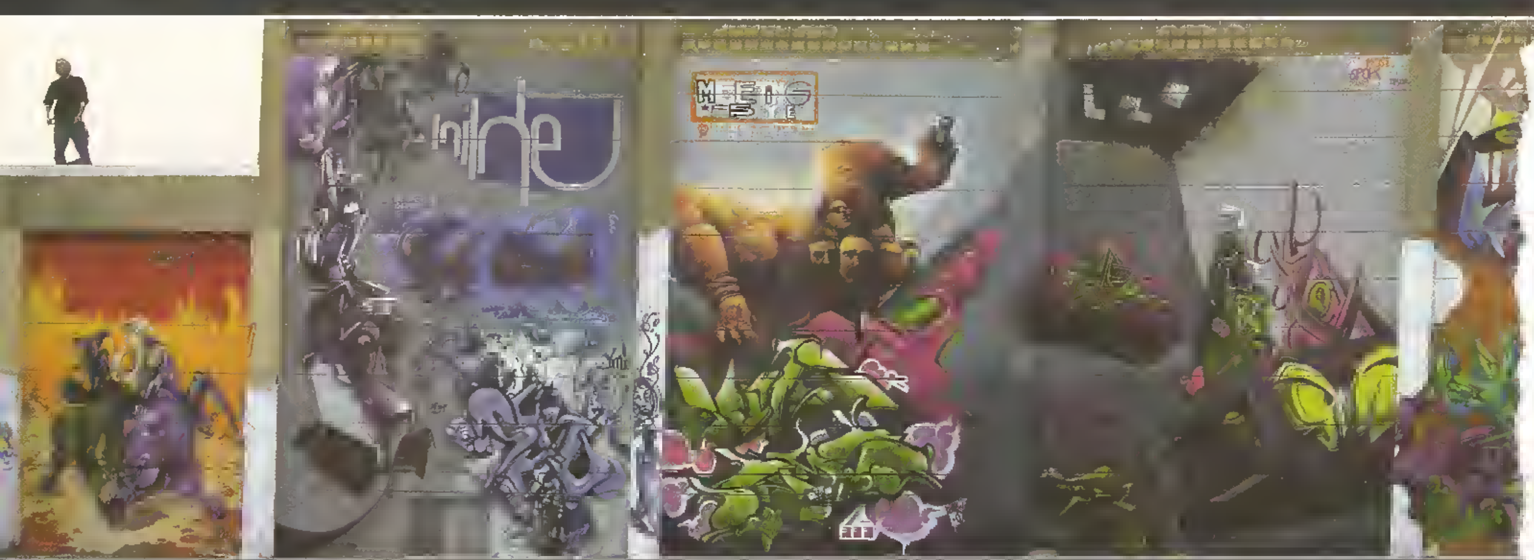





Gear, Catel, 2004


NEUE SUPERHELDEN BRAUCHT DAS LAND!!!










MITIN OF ESTAILO


KREATIVFABRIK


2.
3.
4.
5.










OF STYLEZ 2004



tu kupisz ślizg ↘

Przypominamy, że w dalszym ciągu możecie kupić specjalny numer naszego magazynu „Ślizg – Limited Edition" w całości poświęcony deskorolce, ze specjalnym dodatkiem, filmem „Adio Rock" na DVD! Magazyn możecie kupić w Empikach i dobrych skateshopach.

Jeśli macie problem z kupieniem go, możecie też zamówić egzemplarze w naszej redakcji, pod numerem telefonu **(22) 635-84-10 w. 131**

Możecie ponadto zamawiać archiwalne egzemplarze „Ślizgu"! Zachęcamy też do prenumeraty naszego pisma! Blankiet, na którym musicie dokonać wpłaty znajdziecie na poczcie lub w banku.

informacje dotyczące zamieszczenia loga (tel. 0-prefix-22 635 84 10 wew. 131)

Polecenie przelewu / wpłata gotówkowa

nazwa odbiorcy: TOWARZYSTWO WYDAWNICZE I LITERACKIE Sp. z o.o.

nazwa odbiorcy cd.: ul. BRZOZOWA 35 00-258 WARSZAWA

nr rachunku odbiorcy: 41 1500 1777 1217 7006 6518 0000

WP* waluta: PLN kwota: 75,90

nr rachunku zleceniodawcy (przelew) / kwota słownie (wpłata): SIEDEMDZIESIĄT PIĘĆ PLN 90/100

nazwa zleceniodawcy: JAN NOWAK

nazwa zleceniodawcy cd.: ul. WIERTNICZA 7 13-300 LUBLIN

tytułem: PRENUMERATA ŚLIZG NA 12 MIESIĘCY

tytułem cd.: OD NR 1/2006

pieczęć, data i podpis(y) zleceniodawcy

Opłata:

06

odcinek dla odbiorcy

Druk: DRUKARNIA Sieradzki tel./fax (0-22) 756-81-16, 729-49-49

ZERO GRAVITY™
freeski
snowboard
wyjazdy

WIELKI KONKURS DLA PRENUMERATORÓW!!!

Chcesz wyjechać na snowboard w Alpy?

Teraz masz niepowtarzalną szansę! Możesz pojechać do Les 2 Alpes w terminie 21.04 – 30.04.2006. Wszystko, co musisz zrobić, to zamówić prenumeratę „Ślizgu" na rok i opisać: **Z CZYM KOJARZY CI SIĘ ZERO GRAVITY?** Autor (lub autorka) najciekawszej, najbardziej zakręconej lub najzabawniejszej odpowiedzi wygra wyjazd na lodowiec Les 2 Alpes! Znajdzie się też kilka nagród pocieszenia:) A prenumerata się opłaca, bo za dwanaście numerów płacicie **75,90** złotych **(czyli jeden numer dostajecie gratis!).**

Odpowiedzi (wraz z załączoną kopią dowodu wpłaty za prenumeratę) wysyłajcie na adres „Ślizg", ul. Brzozowa 35, 00-258 Warszawa. Możecie też wysyłać maile (wówczas wymagamy skanu dowodu wpłaty w załączniku) na adres slizg@slizg.com.pl. Na Wasze zgłoszenia czekamy do końca stycznia 2006!

UWAGA: prenumeratę „Ślizgu" możecie zamówić korzystając z blankietu wpłaty dostępnego na poczcie lub w banku. Pieniądze wpłacajcie na konto nr

41 1500 1777 1217700 66518 0000

Możecie też wykonać przelew z konta internetowego. Pamiętajcie o podaniu swoich danych i numeru, od którego chcecie rozpocząć prenumeratę!!! Przysyłając odpowiedź konkursową podajcie też swój numer telefonu i e-mail – to ułatwi kontakt z Wami!

Les 2 Alpes to największy lodowiec w Europie i w sumie 200 km tras. Stoki rozciągają się tam od wysokości 1400 do 3600 m n. p. m. i gwarantują różny poziom trudności. Dzięki świeżym opadom śniegu Les 2 Alpes jeszcze w kwietniu oferuje niezliczone tereny do jazdy poza trasami. W miejscowości Les 2 Alpes znajdziecie wszystkie atrakcje (sklepy, bary, restauracje i kluby) potrzebne do miłego spędzenia tygodnia w Alpach.

- Dwa snowparki z halfpipe'em i super tereny do freeride'u!
- Możliwość szkolenia snowboardowego i narciarskiego, a także zrobienia stopni PZN i PZS!
- Zawody „Coalition Contest" w slalomie i freestyle'u!
- Wypasione imprezki w „Le Brasilien"!

Nagroda obejmuje: dojazd autokarem, zakwaterowanie, skipass, ubezpieczenie i opiekę pilota.



Nagrodę ufundowało Zero Gravity www.zerogravity.pl

NA DESER. EDYCJA MŁODZIEŻOWA.

W tym miesiącu na deser mamy dla Was sylwetki dwóch bardzo młodych wokalistek, które ostatnimi czasy zawładnęły sercami fanów na całym świecie. Jak bardzo są one młode? No cóż, jedna z nich to dwudziestolatka, a druga nie skończyła jeszcze nawet osiemnastu wiosen, ale obydwie zdążyły już odnieść wielki sukces. Co tu dużo mówić, jakkolwiek nie byłyby utalentowane, ich uroda na pewno kulą u nogi przy zdobywaniu fanów nie była, zresztą wystarczy spojrzeć na zdjęcia obok

CIARA NA POCZĄTEK

Jako że pierwszeństwo należy się starszym, zaczynamy od Ciary. Została ona nazwana pierwszą damą nowego podgatunku czarnej muzyki, czyli crunk & B (dla tych, którzy mają problemy z kojarzeniem – jest to połączenie crunku z R'n'B; pierwszym numerem nagranym w konwencji crunk & B było „Yeah!" Ushera), co nie dziwi, biorąc pod uwagę, że od kilkunastu lat mieszka w Atlancie – stolicy tego typu wynalazków. Ciara urodziła się w Teksasie, potem jako brzdąc dużo podróżowała, gdyż tatuś jest wojskowym, aż wreszcie jej rodzina osiadła w A-Town.

Odkrywcą talentu wokalistki został Jazze Pha, który po raptem pięciu dniach współpracy w studiu zaoferował jej kontrakt w swym labelu Sho' Nuff. Kiedy zaś potem do mieszanki dołączył sam król crunku, wiadomo było, że musi z tego wyjść hit. I tak się stało. Nieco ponad rok temu wyprodukowany właśnie przez Lil' Jona singiel „Goodies" zaczął mieszać na listach przebojów na całym świecie, potem bębenek podbił numer „1, 2 Step" z Missy Elliott, a w międzyczasie ukazał się debiutancki longplay Ciary, pod tym samym tytułem, co pierwszy singiel. W samych Stanach sprzedaż tego krążka wyniosła grubo ponad 2 miliony egzemplarzy. Patent chwycił, Ciara wdrapała się na piedestał, a teraz lata kolejny hit z jej udziałem – numer innego „juniora", Bow Wowa, zatytułowany „Like You" z wokalistką na featuringu.

Ułagodzony crunk w damskim wykonaniu Ciary to (na szczęście?) coś innego niż jego męski odpowiednik, którego teksty opierają się na przeróżnych połączeniach słów „motherfucker", „fuck", „bitch" i „nigga". Dziewczyna stara się pisać sama swoje piosenki, a że ma tyle lat, ile ma, to i jakieś przerewelacyjne one nie są. Jednak dobra aranżacja, produkcja oraz nienajgorszy głos i... uroda wokalistki złożyły się – jak to takich przypadkach bywa – na ogromny sukces.

Rihanna

Ciara Rihanna



RIHANNA W ŚRODECZKU

Druga z naszych bohaterek, Rihanna, również bardzo szybko wybiła się w showbiznesie. Ta pochodząca z Barbadosu nastolatka stała się trzecim artystą (po Teairrze Mari oraz Nee-Yo), którego Jay-Z przyjął za swojej kadencji prezydenta w poczet Def Jamu, po tym jak jej umiejętności (i pewnie fotografie...) przedstawił mu producent Evan Rogers. Piosenka „Pon Da Replay" to prawdziwy klubowy hit na całym globie (chociaż cholera wie, czy Kim Dzong-Il dopuścił ją w swej Korei Północnej, ale to trochę nie w temacie), triumfy święci także debiutancki album Rihanny „Music Of The Sun". Owa „muzyka słońca" stanowi połączenie R'n'B z pierwiastkami karaibskimi, coś na kształt nieco ugrzecznionego Sean Paula w kobiecej (tudzież dziewczęcej) wersji. Tak jak Ciara współpracuje z raperami z południa, tak Rihanna nagrała na płytę numery z Kardinalem Offishallem, Elephant Manem i Vybez Kartel, co tylko jeszcze dobitniej pokazuje, w jaką stronę kierują się jej zainteresowania muzyczne.

Jako siedemnastolatka Barbadoska ma jeszcze kupę czasu, by udowodnić, że nie jest tylko efemerydą na scenie, jakich wiele było i jeszcze będzie. Jedno jest pewne. Barwa głosu Rihanny jest niespotykana i przy odrobinie pracy może stać się on bardzo charakterystycznym elementem światowej sceny muzycznej. Dodatkowo, dziewczyna wydaje się mieć równo pod sufitem, twardo stąpa po ziemi, a wygląda tak, że dech zapiera. Materiał na gwiazdę, która świecić może bardzo, bardzo długo.

TRZY MĄDRE SŁOWA NA KONIEC

Fakt, obydwu dziewczętom można zarzucić, że są kolejnymi „robotami do podboju rynku" i pewnie będzie w tym jakieś ziarenko prawdy. Z drugiej strony jakże łatwiej jest wypromować zdolną piosenkarkę, jeśli ma śliczną buzię oraz to i owo na właściwym miejscu. Bo jeśli ktoś nie lubi słuchać, to może zawsze wyłączyć fonię i nasycić sobie oczy, czy nie mam racji?



